www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 47 (1037)
18-24.11.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

Nowa Huta
Spisek hindusko-rządowy

Andrzej Boreyko
Filharmonia z dala od polityki

Stare-nowe pomysły na ekologię

Policja
Od państwowej do granatowej

CELIBAT DOGORYWA

SETKI LAT NIELUDZKIEGO EKSPERYMENTU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311904 47 >

eprasa.pl/4601838bb1

16 DNI
PRZECIW PRZEMOCY WOBEC KOBIET
TO JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH PATOLOGII, ŻE W XXI W. SĄ EUROPEJKI, KTÓRE NIE MOGĄ CZUĆ SIĘ BEZPIECZNE WE WŁASNYM DOMU. CZAS NA RATYFIKACJĘ PRZEZ UE KONWENCJI STAMBULSKIEJ!
MYŚL KRYTYCZNIE WSPIERAJ ZMIANĘ
TRZYMAJ STRONĘ KOBIET
S&D
Group of the Progressive Alliance of Socialists & Democrats in the European Parliament
posłanka do PE
dr Sylwia Spurek

CYTATY

KEN LOACH,
reżyser brytyjski
Dopóki lewica nie zaprezentuje spójnej wizji, będą wygrywać skrajni demagodzy i populiści.
„Polityka"

PROF. JERZY HAUSNER,
były wicepremier
W polityce dostrzegam tabuny hipokrytów, którzy co innego myślą, co innego głoszą i co innego robią.
„Dziennik Gazeta Prawna"

PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ,
seksuolog
Gdyby kobiety nie miały hamulców natury moralnej, toby zadziwiły męski świat tym, do czego są zdolne.
„Polska The Times"

KATARZYNA SKRZYNECKA, aktorka
Kobieta powinna mieć w życiu tak zwane jaja.
„Viva!"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Gęganie prezydenta

Wiecznie z siebie zadowolony i ciągle podkreślający wielkie zalety swojej służby Polsce prezydent Duda zaczął ostatnie półrocze. I oby faktycznie była to końcówka tego eksperymentu Kaczyńskiego. Wyciągnięty z szuflady prezesa Duda miał kandydować, ale tak, by wstydu PiS nie przynieść. Nikt z liczących się polityków prawicy nie chciał się zmierzyć z ówczesnym pewniakiem. Czyli prezydentem Komorowskim. Wystarczy sięgnąć do ówczesnej prasy i zobaczyć, co i jak w listopadzie 2014 r. pisano o szansach kandydatów do prezydentury. Życie boleśnie zweryfikowało ówczesne prognozy.

Duda wygrał jednak nie dlatego, że widziano w nim jakąś szczególną wartość, ale dlatego, że sztab Komorowskiego pobił rekordy nieudolności i lenistwa. I dlatego, że macierzysta partia urzędującego prezydenta, z Tuskiem włącznie, tylko pozorowała w kampanii aktywność. Walory organizacyjne i zdolności koncepcyjne wielu sztabowców PO z tamtego okresu mogliśmy zobaczyć również w tegorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego i krajowego. I ta ekipa jest nadzieją Dudy na reelekcję. Jeśli jednak ci powszechnie znani nieudacznicy zostaną odesłani w stan spoczynku i wyeliminowani z wpływu na przebieg kampanii, Duda może przegrać wybory w II turze z każdym.

Pisowski nominat upojony własnymi słowami i przemówieniami, których mu nikt nie przerywa, przekona się niebawem, że dostanie w kampanii wyborczej to, co sam sprokurował. Czekają go najgorsze miesiące w życiu. I to zasłużenie najgorsze. Bo gdy pięć lat temu ślubował jako prezydent wierność konstytucji, Polska nie była tak podzielona i skłócona jak dziś. Duda ma w tych podziałach i kłótniach własny, autorski wkład.

Kończy tę kompletnie nieudaną kadencję z wielkim deficytem prawdy, godności sprawowania urzędu i ponadpartyjnego obiektywizmu. Okazał się prezydentem, który kłamał prawie w każdym przemówieniu. Politykiem tak bardzo dyspozycyjnym wobec matki partii, że zasłużył na określenie długopis prezesa. I tak bardzo przywiązanym do prestiżowych i materialnych atrybutów prezydentury, że dla przedłużenia tego dolce vita gotów jest zrobić wszystko. Nie będzie się ograniczał. Już zaczął swoje gęganie. I z pewnością do maja pobije rekord obietnic. Będzie się wdzięczył, puszył i nadymał. Na powagę urzędu w wykonaniu prezydenta Dudy na pewno nie możemy liczyć.

BĄKOWSKI

Poczta Polska

Uwaga Czytelnicy!

W związku z sygnałami, że niektóre urzędy pocztowe, np. z Białegostoku, Wrocławia, Wieliczki, odmawiają przyjmowania prenumeraty PRZEGLĄDU na 2020 rok, informujemy, że jest to działanie całkowicie bezprawne.

PRZEGLĄD jest w wykazie prenumerat w każdej placówce pocztowej w kraju. Jeżeli macie problem z zamówieniem prenumeraty na poczcie, prosimy o kontakt z redakcją. Tel. 22 635-84-10 wew.118.

Będziemy interweniować

eprasa.pl 4601838bb1

W NUMERZE

KRAJ

8 **Opozycja rześka jak nigdy**
Parlament po wyborach

11 **Nowa historia Janosika według PiS**
Daje emerytom, zabiera niepełnosprawnym

16 **Piec gaśnie po wyborach**
Gorzki prezent na 70-lecie Nowej Huty

20 **Trudna droga do sprawiedliwości**
Molestowanie to dopiero początek

KOŚCIÓŁ

12 **Celibat się żeni**
Kościół polski daleko za Amazonią

ZAGRANICA

24 **Katalońska kość niezgody**
Po wyborach w Hiszpanii

27 **Polonijna szkoła trąci myszką**
Korespondencja z USA

30 **Kanadyjski eksperyment**
Korespondencja z Kanady

32 **Migracyjne fake newsy**
Uchodźcy nadal tematem numer jeden

34 **Kto powiedział Hitler?**
– rozmowa z Volkerem Weissem

HISTORIA

38 **Od państwowej do granatowej**
Policja w II RP i w czasie okupacji

KULTURA

42 **Muzyka niech łagodzi obyczaje**
– rozmowa z Andrzejem Boreyką

46 **Qulturalia**

66 **Ignacy Witz. Oczy są radarem mózgu**

EKOLOGIA

48 **Tęsknota za butelkami na wymianę**
Obiad za plastik, kaucja na papierosy

ZDROWIE

50 **Test na padaczkę**
– rozmowa z dr Kingą Szydłowską

KSIĄŻKI

52 **Portret myśliciela**
O Zygmuncie Baumanie

54 **Ludwik Stomma: w sercu zawsze maj**

56 **Zaczytane mikołajki**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Gęganie prezydenta

19 **Roman Kurkiewicz**
Cicho sza, to nasz, polski terrorysta

37 **Tomasz Jastrun**
Wielki strateg ma kłopot

47 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Zabawy z mitem

55 **Wojciech Kuczok**
Zabójcza miłość

16
KRAJ

PIEC GAŚNIE PO WYBORACH
Gorzki prezent na 70-lecie Nowej Huty

34
ZAGRANICA

KTO POWIEDZIAŁ HITLER?
– rozmowa z Volkerem Weissem

48
EKOLOGIA

TĘSKNOTA ZA BUTELKAMI NA WYMIANĘ
Obiad za plastik, kaucja na papierosy

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK, STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

eprasa.pl 4601838bb1

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Literatura faktu, poradniki, biografie, albumy
Książki pod choinkę

Biznes na miejskich maratonach

Olga Bieniek, reżyserka
Kazik i Kult – zawsze aktualni

Mniejsze okręgi, jedna lista

Nie podobają mi się te metody liczenia głosów. Im więcej kombinacji, tym więcej możliwości oszustwa. Wybory powinny być w ordynacji większościowej, wyborca powinien dostać jedną kartę do głosowania z kandydatami umieszczonymi w porządku alfabetycznym. Dobrze by było, by wyborca mógł postawić na tej liście tyle krzyżyków, ile jest mandatów do obsadzenia. Byłoby to bardziej skomplikowane, bardziej czasochłonne przy liczeniu głosów, ale też bardziej sprawiedliwe.

KRAJ

Gdyby liczyć głosy metodą Sainte-Laguë, PiS miałoby 200 posłów

Robert Walenciak

I znów mniejszość będzie rządzić

Sprawdziliśmy to, Sejm wyglądałby zupełnie inaczej.

D'Hondt kontra Sainte-Laguë

Żeby tę wadę wyeliminować, w demokracjach opracowano inne metody, zmacznie dokładniej wiążące liczbę mandatów z wynikiem wybor-

Okręgi mogłyby być mniejsze, np. w granicach powiatu. Mniejsze powiaty miałyby jeden mandat do obsadzenia, większe – więcej. Dobrze byłoby również, gdyby parlamentarzyści tak wybrani byli zależni od wyborców, bo to ich przedstawicielami powinni być.

Józef Brzozowski, Żory

WYWIAD

System wyborczy nie powstaje w próżni

Powinniśmy dyskutować nad obniżeniem ustawowego progu wyborczego

DR ADAM GENDŹWIŁŁ

System wyborczy nie powstaje w próżni

Dr Adam Gendźwiłł (PRZEGLĄD nr 46) uważa, że powinniśmy dyskutować o obniżeniu ustawowego progu wyborczego. Moim zdaniem obniżenie progów wyborczych bądź zmiana systemu podziału mandatów doprowadziłyby do olbrzymiej niestabilności politycznej oraz całkowitego rozdrobnienia partyjnego. Do Sejmu wchodziłyby ugrupowania typu Partia Przyjaciół Piwa. Bardzo trudno byłoby powołać rząd, często następowałyby jego zmiany.

Krzysztof Szastok

Małe błędy w wielkiej sprawie

W tekście „Małe błędy w wielkiej sprawie" (PRZEGLĄD nr 44) panowie Jakub Dymek i Robert Walenciak krytykują warszawską listę kandydatów Koalicji Obywatelskiej do Sejmu. Lista liczyła 40 osób i chyba była dobra, skoro wygrała z PiS 42% do 27%.

KRAJ

Małe błędy w wielkiej sprawie

Przeanalizowaliśmy wyniki wyborów. W kilku okręgach można było PiS ograć

Jakub Dymek, Robert Walenciak

Czytam, że Urszula Zielińska uzyskała lepszy wynik niż Klaudia Jachira, choć kandydowała z ostatniego miejsca. W rzeczywistości Zielińska startowała z miejsca dziewiątego i dostała wystarczająco dużo głosów, by zająć siódme miejsce, za nią były Jachira i Fabisiak. Z ostatniego miejsca startowała Aleksandra Gajewska i uzyskała piąty wynik, za Kidawą-Błońską, Lubnauer, Rosatim i Szczerbą. Przed Zielińską była jeszcze Piekarska. Jachira z 13. miejsca wskoczyła na miejsce ósme, a więc kilkoro kandydatów przeskoczyła.

E. Nawrocka

ZDJĘCIE TYGODNIA

Prezydencki niedźwiedź. 15 listopada Andrzej Duda powołał na urząd premiera Mateusza Morawieckiego.

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 4601838bb1

Sędzia Anna Wierciszewska-Chojnowska z Sądu Okręgowego w Warszawie uznała, że nadużywana jest definicja zbrodni przeciwko ludzkości. IPN rozciąga według własnego uznania zarzuty i ściga ludzi za „zbrodnie komunistyczne, będące również zbrodniami przeciwko ludzkości". Na tej podstawie ścigano i skazywano byłych komendantów wojewódzkich MO, wojskowych i urzędników państwowych.

Bożena Aksamit (pośmiertnie) za reportaż „Sekret św. Brygidy. Dlaczego Kościół przez lata pozwalał ks. Jankowskiemu wykorzystywać dzieci?", **Tomasz i Marek Sekielscy** za film „Tylko nie mów nikomu" i **Małgorzata Bujara** za reportaż „Historia sprawy księdza z Tylawy" otrzymali **Nagrody Towarzystwa Dziennikarskiego za 2019 r.**

14 dworców kolejowych już zostało zmodernizowanych, a do 2023 r. będzie ich łącznie prawie 200. Zarezerwowano na to ponad 1,5 mld zł.

44 tys. dzieci cudzoziemców uczy się w 7 tys. polskich szkół. Gdy PiS objęło władzę w roku szkolnym 2015/2016, takich dzieci było 14 tys. w ponad 3 tys. szkół.

800 mln zł otrzymają samorządy w 2020 r. na dofinansowanie deficytowych lokalnych linii autobusowych.

22 tys. uczestników tegorocznego Biegu Niepodległości w Warszawie to rekord imprezy, która odbyła się po raz 31.

Od 2013 r. życie Polaków przestało się wydłużać. W 2018 r. przeciętna długość życia Polaka to 73,8 roku, a Polki 81,7.

W siedmiu na 10 szpitali brakuje pielęgniarek i lekarzy.

Zbigniew Ziobro od 10 września nie brał udziału w siedmiu kolejnych posiedzeniach Rady Ministrów. Zarobiony był. Ale mógł przecież Morawiecki pojechać do niego. Oczywiście z całym rządem.

Prof. Andrzej Kochański został konsultantem krajowym w dziedzinie genetyki klinicznej. Dla PiS to idealny kandydat, bo **jest ekspertem z Ordo Iuris, zwolennikiem całkowitego zakazu aborcji, przeciwnikiem in vitro i badań prenatalnych.**

Ks. Jerzy Uchman, proboszcz parafii św. Bartłomieja w Nienadówce (powiat rzeszowski), podziękował wiernym, że dobrze zagłosowali. Dobrze, bo **wybrali Pokorę i Skromność (PiS).** I jak tu nie sypać kasy takim proboszczom?

Marian Banaś, „prezes" NIK, zaszczycił swoją osobą prezydenta Dudę i nowo wybrany parlament. Pisowski wynalazek kadrowy z przytupem robi rzeź wśród dyrektorów NIK i z tupetem paraduje po Sejmie.

PRZEBŁYSKI

KOD pilnuje konstytucji

Z pięknego Szczecina przybyła do Sejmu Magdalena Filiks. Z tegoż Szczecina, który zdaniem prof. Grodzkiego, nowego marszałka Senatu, został wyzwolony w 1945 r. przez krasnoludki. A później odbudowany przez anonimowych ludzi dobrej woli. Pal licho marszałka Grodzkiego. Kłamie już jak jego poprzednik, też lekarz, Karczewski. Nas bardziej raduje jego krajanka, posłanka Filiks. Wybrana z listy PO trafiła do Sejmu jako bardzo aktywna działaczka Komitetu Obrony Demokracji. A w Sejmie pokazała parlamentarzystom konstytucję. Tę samą, którą tak wielu tam zebranych zdążyło już złamać. Niektórzy nawet wiele razy. Rozbawiła ich tym gestem. A nam zaimponowała.

Szalik Wiosny

O konstytucji przypomniała też Sejmowi Anita Sowińska z Wiosny, która reprezentuje okręg piotrkowski. To region, gdzie się urodziła (Tomaszów Mazowiecki) i ukończyła LO im. Żeromskiego (też Tomaszów Mazowiecki). Jako ekolożka, ekonomistka i menedżerka, a przede wszystkim jako polityczka serio traktująca konstytucję, będzie miała dużo pracy. Szalik na zimę już ma.

Wojciechowski: między sądem a modelką

Kim jest Józef Wojciechowski, właściciel J.W. Construction? Ci, którzy kupili budowane przez niego mieszkania, większych złudzeń nie mają. Mniejszych zresztą też. Standard tych lokali zdecydowanie odbiega od standardu życia prezesa.
Najlepiej Wojciechowskiemu wychodzi wymiana partnerek. Młodszą o 40 lat żonę, eksmodelkę Laurę Michnowicz, zastąpił młodszą o 45 lat Beatą Pruską. A tę – młodszą o 50 lat studentką z Wrocławia, Patrycją Tuchlińską.
Dobre wyniki miał też Wojciechowski w pozyskiwaniu polityków lewicy, którzy odwdzięczali mu się kasodajnymi decyzjami. Wstyd. Ale kto się jeszcze przejmuje czymś takim jak wstyd? Szedł więc Wojciechowski krętą drogą od wykidajły w knajpach i handlarza kiełbasą do potentata budowlanego. I mniej znaną drogą od procesu sądowego do procesu sądowego. O oszustwa, o doprowadzenie do bankructwa i upadku firm.

Pawlicki – producent niezłomny

Tego knota nie chce lansować nawet ultraprawica. Głucha cisza towarzyszy filmowi „Legiony". Wyprodukowanemu przez Macieja Pawlickiego za skromne 27 baniek. Jeszcze ciszej jest w pustych salach kinowych. Tak pustych, że od razu zauważono by siódemkę Pawlickich, którzy mieli szczęście znaleźć się na liście płac u Macieja Pawlickiego. Trudno im się dziwić. Są przecież jakieś granice katowania własnego organizmu.
Jan Wróbel w „DzGP" zastanawia się, dlaczego film Pawlickiego został odrzucony przez Polaków. Tak jak kiedyś odrzucone zostały Legiony Piłsudskiego. Widzowie nie poszli do kin, bo komu chce się oglądać „sztampowy wątek miłosny, przy którym można się zaziewać na śmierć"? Filmu Pawlickiego nie da się zrozumieć bez tłumacza.

FOT. WWW.SEJM.GOV.PL (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4601838bb1

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie cechy musi mieć kontrkandydat Dudy?

DR PAWEŁ SĘKOWSKI,
Stowarzyszenie „Kuźnica"

Ta osoba powinna przede wszystkim być koncyliacyjna, gdyż wymaga tego charakter urzędu Prezydenta RP. Nie powinna być kojarzona z przewodzeniem konkretnej partii, aczkolwiek nie ma przeciwwskazań, by była związana z jakąś formacją polityczną. Powinien to być ktoś, kto będzie w stanie przekonać swoją ofertą programową przynajmniej część elektoratu obecnej partii rządzącej. Wydaje mi się, że z tego punktu widzenia otwierają się spore możliwości dla kandydata lewicy, akcentującego poparcie dla socjalnego kierunku w kształtowaniu spraw państwowych. Zarazem konieczne jest, by był to kandydat mocno osadzony w elektoracie dzisiejszej opozycji, kładący nacisk na kwestie związane z praworządnością i przestrzeganiem konstytucji, której prezydent powinien być strażnikiem.

STEFAN ZGLICZYŃSKI,
„Le Monde diplomatique – edycja polska"

To trudne pytanie. No bo skoro ktoś taki jak Duda może być prezydentem dużego europejskiego kraju, cieszyć się popularnością i mieć szansę na reelekcję, to równie dobrze może nim zostać każdy. Serce podpowiada mi dwie kandydatury – Adama Bodnara i Roberta Biedronia. Rozum jednak mówi, że największe szanse na pokonanie Dudy ma Małgorzata Kidawa-Błońska – osoba mająca chyba najmniejszy elektorat negatywny. A to zapewne w ostatecznej rozgrywce będzie się liczyło bardziej niż program, który w wyborach prezydenckich nie odgrywa żadnej roli. Najważniejsze, żeby prezydentem RP została osoba odporna na polecenia z Nowogrodzkiej. Ta cecha przyszłego prezydenta wydaje mi się najważniejsza.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

W tej chwili nie widzę żadnego kandydata, który byłby w stanie pokonać Andrzeja Dudę – chyba że, przywołując znane stwierdzenie, ten przejedzie po pijanemu na pasach zakonnicę w ciąży. Władysław Kosiniak-Kamysz jest postacią groteskową i pod wieloma względami niewiele odbiegającą od urzędującego prezydenta. Lewica jeszcze nie ma odpowiedniego kandydata, zresztą w parlamencie jest zbyt świeżo, by myśleć o swoim prezydencie. Również PO nie ma kogo wystawić. Gdyby od roku pracowali nad Jackiem Jaśkowiakiem albo gdyby Grzegorz Schetyna nie był małostkowym ambicjonerem, tylko postawił np. na Bogdana Zdrojewskiego, mogłoby to zacząć już przynosić pozytywne skutki. W tej chwili, jeśli wybory miałby jakimś cudem wygrać kontrkandydat Dudy, musiałby wyskoczyć niczym diabeł z pudełka. Opozycja zmarnowała cztery lata i teraz będzie miała tak „dobrze", że dobrze jej tak.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
KONRAD BORYCZKO

Nieistotne. Ktokolwiek by to był, musi otrzymać poparcie całej opozycji w II turze. Na cechy nikt patrzeć nie będzie.

EWA GOJAWICZYŃSKA

Prawdomówność. Poszanowanie prawa i obywatela. Impregnację na próby manipulacji. Elokwencję, ogładę, poczucie humoru i życzliwość wobec świata.

ROBERT WIEJEK

Dojrzałą samoświadomość: swojego języka i ciała, pełnionej funkcji, relacji z innymi podmiotami państwa.

MICHAŁ SIEMIŃSKI

Być jakimś. A nie tak bezpłciowym jak Duda, Tusk, Kidawa-Błońska.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 4601838bb1

Robert Walenciak

Opozycja rześka jak nigdy

Nic z zaskoczenia w tym parlamencie nie da się już przeprowadzić

Karty rozdane. Prawo i Sprawiedliwość rządzi, ale już teraz widać, że jest w znacznie trudniejszej sytuacji niż w poprzedniej kadencji. Każdy dzień przynosi Jarosławowi Kaczyńskiemu złe wiadomości. PiS zaczyna powoli przypominać Guliwera skrępowanego przez Liliputów setkami cienkich nitek. W Sejmie Kaczyński ma niewielkie pole manewru i nic nie wskazuje na to, by mogło ono się poszerzyć. W Senacie trudno nawet o tym mówić, bo tam rządzi opozycja. W klubie Zjednoczonej Prawicy Gowin walczy z Ziobrą, a z nimi zakon PC. Do tego na horyzoncie rysują się kłopoty gospodarcze i – rzecz najważniejsza – mamy wybory prezydenckie. Trudno i darmo, do wyborów, do maja, PiS będzie jechało na zaciągniętym hamulcu. A może i dłużej.

Senat – przyczółek

Zacznijmy od Senatu. Senat jest zbiorowym bohaterem ostatnich dni, no i ma nową gwiazdę – marszałka Tomasza Grodzkiego. Kto o nim słyszał parę miesięcy temu?

Zwycięstwo kandydatów niepisowskich w wyborach do Senatu nie było niespodzianką. O tym, że porozumienie opozycji przyniesie tu efekt, pisałem w PRZEGLĄDZIE parę miesięcy temu. Emocje polegały na czym innym. Na dogrywce. Opozycja uzyskała w wyborach senackich minimalną większość 51 mandatów. I przez prawie miesiąc trwały zabiegi PiS, by z tej grupy kogoś wyrwać. Pisowcy zresztą tego nie ukrywali – co parę dni mieliśmy informacje, że trwają rozmowy, krążą różne oferty, że właściwie w Senacie zrobiło się już 50:50, a sytuacja jest dynamiczna, więc i to może się zmienić. Na oczach Polaków PiS próbowało przekupić demokratycznie wybranych polityków. Bez cienia wstydu. I do ostatnich dni nie było za bardzo wiadomo, jak sytuacja się ułoży. Czy marszałek Karczewski obroni swoją posadę, czy się z nią pożegna?

Marszałek Senatu o czasach PiS: każda choroba kiedyś się kończy.

Jacek Sasin będzie wicepremierem i ministrem aktywów państwowych. Mariusz Kamiński pozostał szefem MSWiA i koordynatorem służb specjalnych.

Senatorowie nie pękli. Żaden się nie złamał. Minimalna większość, jednego głosu, została utrzymana. Marszałkiem został kandydat PO Tomasz Grodzki. Profesor nauk medycznych ze Szczecina, chirurg, transplantolog.

Co to oznacza? Na pierwszy rzut oka prof. Grodzki wydawał się osobą powolną, niezdecydowaną. Tymczasem jego pierwsze działania zupełnie zaskoczyły światek polityczny. Oto bowiem dzień po wyborze prof. Grodzki zgłosił TVP, że zgodnie z przysługującym mu prawem prosi o czas antenowy, by wygłosić orędzie. Marszałek Senatu, trzecia osoba w państwie, ma takie prawo. Poprzednicy Grodzkiego z niego nie korzystali. A tu mieliśmy pełne zaskoczenie.

Drugim zaskoczeniem okazało się samo orędzie – niby łagodne, zapowiadające współpracę z sejmową większością, a jednocześnie bardzo twarde w ocenie rządów PiS.

To było orędzie jak z notatnika lewicowego inteligenta, tłumaczące, jaka jest rola polityków i polityki. Odrzucające filozofię podziału na lepszy i gorszy sort, o którym tak chętnie mówi PiS, a wprowadzające w to miejsce pojęcia wspólnoty, różnorodności, szacunku.

„Nikomu nie wolno dzielić ludzi na lepszych czy gorszych, gdyż przeczy to szacunkowi dla przyrodzonej godności człowieka – mówił Grodzki. – Tylko wtedy, gdy spowodujemy, że wszyscy będziemy czuli się w naszym pięknym kraju szczęśliwi i spokojni o swój los, będziemy mogli uwolnić ogromną energię, która drzemie w naszym narodzie i która może przekształcić się w niezwykłe osiągnięcia i dokonania. Tylko wtedy będziemy mogli zapewnić naszym dzieciom,

eprasa.pl 4601838bb1

wnukom i nam samym bezpieczeństwo i dobrobyt".

Marszałek zaznaczał, że „siłą naszego społeczeństwa jest różnorodność, za którą idzie kreatywność i energia Polek i Polaków, których nigdy nie da się stłumić próbami wtłoczenia nas wszystkich w ramy jednej, sztywnej, czasem dziwacznej ideologii". A kończył optymistycznie, mówiąc, że każda choroba też kiedyś się kończy.

Tak oto Tomasz Grodzki narzucił polityczną agendę na najbliższe dni, a może i tygodnie. I narzucił styl.

Sejm – koniec z ustawami przyjmowanymi nocą

Sejm miał z kolei swojego antybohatera, a okazał się nim marszałek senior Antoni Macierewicz. Jego przemówienie inauguracyjne, ostre, konfrontacyjne (czy mogło być inne?), okazało się zupełnie nietrafione. Bo mamy dziś, przynajmniej w sferze deklaracji, czas politycznej miłości. Pojednawcze przemówienie wygłosił Andrzej Duda. Miły dla wszystkich był Jarosław Kaczyński, który mówił, że cieszy go, że kończy się czas opozycji totalnej, i miło gawędził z Katarzyną Piekarską.

O co w tym wszystkim chodzi? Skąd nagle ta moda na politykę miłości? Odpowiedź jest prosta, wystarczy spojrzeć na wyniki wyborów i kalendarz wyborczy.

Wyniki pokazały, że PiS ma szklany sufit i pewnych poziomów nie jest w stanie przekroczyć. Podczas kampanii niektórzy publicyści prawicy marzyli o wielkim zwycięstwie partii Kaczyńskiego, o większości konstytucyjnej, tymczasem nic takiego się nie zdarzyło. PiS otrzymało o 900 tys. głosów mniej niż PO, Lewica i PSL razem, a większość w Sejmie zawdzięcza ordynacji i układaniu okręgów wyborczych. Pisałem o tym dwa tygodnie temu.

Porównajmy zresztą sytuację Senatu i Sejmu – są niemal bliźniacze. W Senacie opozycja ma większość na minimalną zakładkę, na jednego senatora. Ale w Sejmie PiS ma zakładkę nie większą. Jeden senator to 1% wszystkich członków izby refleksji. W Sejmie liczącym 460 posłów 1% to pięciu posłów. I właśnie taką większością PiS dysponuje.

Praktyka pokazuje zaś, że to za mało. Niektórzy posłowie znajdą się w rządzie, więc nie będą regularnie brać udziału w pracach sejmowych i rychło się okaże, że w komisjach sejmowych PiS zacznie przegrywać głosowania. Nie te najważniejsze, na sali plenarnej, bo na takie głosowanie wszyscy się mobilizują, ale tam, gdzie trwać będzie praca nad ustawami.

Jeżeli w poprzedniej kadencji PiS rozwiązywało ten kłopot (też miało 235 posłów), dobierając sobie potrzebne głosy spośród posłów klubu Kukiz'15, to dziś ten wariant wydaje się niemożliwy. Opozycja jest bowiem bardziej zdeterminowana niż cztery lata wcześniej. I to zarówno ta wywodząca się z lewicy, z PO i z PSL, jak i prawicowa Konfederacja.

> Gdyby PiS straciło prezydenta, władza Jarosława Kaczyńskiego stałaby się iluzoryczna.

Konfederatów jest w Sejmie 11 i chyba oni jedyni nie ulegli modzie na miłość. Od pierwszych godzin atakują PiS. Tu na żaden sojusz się nie zanosi. PiS, a dokładnie Zjednoczona Prawica, jest więc w Sejmie samotne i izolowane. I dysponuje 1% przewagi.

Jeżeli więc jest miłe dla opozycji, to nie ze względu na ładną pogodę. Po prostu, znalazło się w takiej sytuacji, że miłe być musi.

Dorzućmy do tego jeszcze jedną rzecz – otóż tracąc Senat, PiS straciło jedno z najważniejszych narzędzi, którymi dysponowało w poprzedniej kadencji. Przerwany został tzw. ciąg technologiczny, który pozwalał uchwalać ustawy w 48 godzin. Tak było chociażby z ustawami o Sądzie Najwyższym i ich późniejszymi nowelizacjami. W sumie ustawę o Sądzie Najwyższym PiS zmieniało siedem razy, za każdym razem błyskawicznie. W Sejmie lotem błyskawicy, najlepiej nocą, następnie w jeden dzień ustawę zatwierdzał Senat, a potem – bywało, że i w nocy – podpisywał ją prezydent Andrzej Duda.

Teraz ta taśma produkcyjna nie działa. Senat ma 30 dni na rozpatrzenie sejmowej ustawy, może ją zmieniać, może nad nią dyskutować, także urządzając publiczne wysłuchanie… Skończył się więc czas nocnego blitzkriegu. A to oznacza, że skończył się też czas nocnych ustaw o Sądzie Najwyższym, o KRS czy ustaw, o których mówiono jeszcze podczas kampanii wyborczej, np. dotyczących mediów. Z zaskoczenia, na ostro, niczego w tym parlamencie nie da się już przeprowadzić.

Premier ciepła woda

To również zmusza PiS do zmiany taktyki. Bo w tej kadencji opozycja jest zbyt silna i zdeterminowana, by z nią walczyć ostro. Kaczyński będzie próbował najpierw osłabiać jej zwartość, dzielić, wciągać do wspólnych prac.

Sprzyjać temu będzie też inny element – otóż kampania wyborcza do parlamentu pokazała, że decydującą rolę w zwycięstwie PiS odegrały obietnice transferów socjalnych. Owszem, był to także pojedynek kulturowy, pojedynek prowincji z aglomeracjami, ale tym, co przechyliło szalę na korzyść Kaczyńskiego, były pieniądze. PiS wygrało wybory w dwóch grupach – osób o niskich kwalifikacjach zawodowych, ze słabym wykształceniem, oraz wśród emerytów. Czyli w grupie beneficjentów 500+ i 13. emerytury.

Jeżeli więc układ sił w Sejmie i w Senacie zasadniczo utrudnia PiS prowadzenie wojen kulturowych, walki z „elitami III RP", to na pewno nie będzie przeszkadzał w sprawach transferów socjalnych. Można zakładać, że w najbliższych miesiącach PiS i premier Morawiecki będą się prezentować jako „przyjaciele ludu".

> Konfederatów jest w Sejmie 11 i od pierwszych godzin atakują PiS.

Pewnie pod tym hasłem rząd będzie bronił kolejnych obciążeń, które wprowadza, szukając w kieszeniach obywateli pieniędzy, zwiększając akcyzę na używki czy przesuwając limit składek ZUS.

Będzie też pewnie kolejna próba zbudowania obrazu PiS i samego premiera jako pragmatyków, ludzi skutecznych, dbających o rozwój kraju i pomyślność obywateli. „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatnio" – hasło Edwarda Gierka będzie krążyło nad tymi wszystkimi działaniami. Z przestrogą, że walce o dobrobyt zagraża agresywna opozycja. Innymi

eprasa.pl 4601838bb1

słowy, PiS i Morawiecki będą budować prawicową wersję ciepłej wody w kranie.

Czy Duda się uda?

Ale miłe uśmiechy Jarosława Kaczyńskiego wynikają nie tylko z sytuacji w Sejmie. Jest jeszcze inna ich przyczyna, chyba zresztą ważniejsza – wybory prezydenckie.

Są one kluczowe dla władzy PiS. Gdyby PiS straciło prezydenta, władza Jarosława Kaczyńskiego stałaby się iluzoryczna. Nowy, niepisowski prezydent mógłby – wetując ustawy – sparaliżować działania rządu. Ale przede wszystkim zburzyłby przekonanie, chyba wciąż obecne w obozie władzy, że PiS będzie rządziło długo i tak jak mu wygodnie. A to oznaczałoby rozbicie Zjednoczonej Prawicy, najpewniej wcześniejsze wybory do parlamentu, no i utratę władzy przez Jarosława Kaczyńskiego. Oto więc prezes, którego władza wisi na włosku, na Andrzeju Dudzie.

Dlatego wybory prezydenckie są dla PiS rzeczą absolutnie priorytetową. A ich wynik jest dziś absolutnie nie do przewidzenia. Bo Polska dość równo dzieli się na PiS i anty-PiS, co pokazały wybory parlamentarne, wyborcy są uodpornieni na propagandę, swoje wiedzą, a metoda D'Hondta nie obowiązuje. Można tylko zakładać, z dość dużą dozą pewności, że do II tury dostaną się Andrzej Duda oraz kandydat(ka) największej partii opozycyjnej, czyli PO, i walka między nimi rozstrzygnie się na małe punkty. Nokautu nie będzie.

To oznacza, że gra toczy się o pozyskanie nawet niewielkich grup. I raczej o środek, o niezdecydowanych, bo wyborcy ze skrzydeł, twardo prawicowi i twardo antypisowscy, są już zmobilizowani.

A jeżeli walka będzie się toczyć o centrum, to trzeba mówić jego językiem. Mamy zatem kolejne wytłumaczenie powiewu pisowskiej łagodności. Oni pewnie wdaliby się chętnie w ostrą awanturę z opozycją, ale wyższe cele im przyświecają.

Opozycja – kamyczki i kamienie

Podobnie rzecz się ma z opozycją. Jej też nie opłaca się wszczynać wielkiej awantury z PiS. Opozycja pamięta, że w przeszłości takie awantury raczej PiS wzmacniały, a ją osłabiały. Gdy Grzegorz Schetyna na początku poprzedniej kadencji zadeklarował: „Będziemy opozycją totalną", to potem przez cztery lata pisowskie media i pisowscy politycy codziennie mu to przypominali.

Marian Banaś, który pojawił się na pierwszym posiedzeniu nowego Sejmu, będzie kłopotem dla partii rządzącej.

Teraz opozycja będzie działać inaczej. Ma Senat, w którym może poddawać rządowe ustawy krytyce. Ma niezłe narzędzie w postaci prawa Senatu do inicjatywy ustawodawczej (reguluje to art. 118 konstytucji), może więc nagłaśniać swoje działania.

Ma również sporo „prezentów" z poprzedniej kadencji, z kampanii wyborczej, może zatem wrzucać kamyczki do pisowskiego ogródka. Na pewno dla partii rządzącej bardzo niewygodne będzie przypominanie sprawy Mariana Banasia. Co istotne, po 13 października w sprawie prezesa NIK zaszła zasadnicza zmiana – bo teraz, gdyby Marian Banaś jakimś cudem zrezygnował ze stanowiska, jego następca mógłby zostać wybrany tylko w wyniku porozumienia Sejmu i Senatu. Czy to oznacza, że za chwilę PiS ogłosi, że Banaś jest czysty jak łza?

Kolejną sprawą, którą opozycja musi doprowadzić do końca, jest upublicznienie list poparcia kandydatów do nowej KRS. Wygląda to źle dla PiS i dla nowej KRS, może więc się okazać, że partia rządząca będzie chciała wszystko załatwić jakąś nową ustawą. Ale przecież nie przeprowadzi jej w atmosferze wojny z opozycją.

Posłowie PO czekają poza tym na upublicznienie deklaracji majątkowej żony premiera i też się nie zanosi, by tę sprawę sobie odpuścili.

Z kolei posłowie lewicowi deklarują, że będą walczyć o demontaż barierek otaczających Sejm. Mają również swój pakiet ustaw społecznych i dotyczących praw kobiet.

Z drugiej strony pakiet podobnych spraw zamierza wnieść pod obrady Konfederacja. Tej grupie zależy z kolei na podkręcaniu atmosfery, na udowadnianiu, że PiS zapomniało o prawicy, o prawicowych wyborcach.

PiS jest miłe dla opozycji, bo po prostu musi.

Co ciekawe, można odnieść wrażenie, że PiS nie ma pomysłu, jak z Konfederacją sobie radzić. Owszem, ma polityków, którzy mówią językiem skrajnej prawicy – daleko nie szukając, taki jest Antoni Macierewicz, ale co z tego, skoro nie ma on wpływu ani na narodowców, ani na korwinistów.

Konfederacja psuje więc Kaczyńskiemu szyki. I to w sposób bardzo dlań bolesny, co zresztą widać już było w noc wyborczą.

•

Tak czy inaczej – mimo że Sejm IX kadencji rozpoczął się zaklęciami o tolerancji, współpracy i wzajemnym zrozumieniu, wiadomo, że ta atmosfera długo nie potrwa. Za chwilę rozpocznie się ostra gra, zwłaszcza że już za parę miesięcy będziemy mieli wybory, które rozstrzygną o polskiej scenie politycznej na lata. Bo albo oddadzą władzę PiS do roku 2023, albo rozpoczną demontaż jego władzy. I wiadomo, że jeńców nikt brać nie będzie.

Robert Walenciak

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA GAZETA, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 4601838bb1

W czasie protestu osób niepełnosprawnych w Sejmie wiosną 2018 r. politycy PiS (nz. ówczesna rzeczniczka rządu Joanna Kopcińska) obiecywali im wsparcie. Na obietnicach się skończyło.

Nowa historia Janosika **według PiS**

Daje emerytom, zabiera niepełnosprawnym

Anna Brzeska

Wiadomo już, skąd rządzący wezmą pieniądze na 13. emerytury. Zabiorą je ze środków, które przed niespełna rokiem obiecano osobom niepełnosprawnym. Konkretniej – z Solidarnościowego Funduszu Wsparcia Osób Niepełnosprawnych, powołanego ustawą z jesieni 2018 r. Miał on częściowo spełnić obietnicę pomocy dla tej grupy społecznej, złożoną przez rząd po wiosennych protestach jej przedstawicieli w Sejmie.

Niepełnosprawni i ich opiekunowie nie zdążyli się nacieszyć dodatkowymi środkami. Składki na SFWON miały pochodzić z pieniędzy najlepiej zarabiających podatników, pobieranych w postaci tzw. daniny solidarnościowej, stanowiącej 4% kwoty, o którą przekroczą oni milion złotych rocznego dochodu. Część środków trafiała do funduszu również ze składek na Fundusz Pracy.

13 listopada do Sejmu wpłynął jednak projekt poselski przewidujący możliwość finansowania ze SFWON 13. emerytur, obiecanych przez PiS przed wyborami. Aby wszystko się zgadzało pod względem formalnym, przewiduje się zmianę obecnej nazwy funduszu na Fundusz Solidarnościowy (już bez zdefiniowania, którą grupę społeczną miałby wspierać).

– Z funduszu finansowany jest m.in. program dotyczący usług opiekuńczych dla osób niepełnosprawnych, asystentów dla tych osób czy program tzw. opieki wytchnieniowej – mówi Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, posłanka Lewicy. – Część tych programów została uruchomiona w 2019 r. Jednak w obliczu zapowiedzi zmiany przeznaczenia funduszu – a sądzę, że tak należy ten projekt interpretować, bo w istocie brakuje 10 mld zł na wypłaty 13. emerytur i środki te nigdzie nie zostały zabezpieczone – pojawia się pytanie, w jaki sposób i czy w ogóle te programy będą kontynuowane.

Ustawa o powołaniu funduszu weszła w życie w styczniu 2019 r.

Solidarnościowy Fundusz Wsparcia Osób Niepełnosprawnych jeszcze na dobre nie zaczął działać, a już PiS zabiera z niego pieniądze.

Nie upłynął więc nawet rok, a już mamy do czynienia z sytuacją, gdy nie wiadomo, czy jej główny cel zostanie w jakimkolwiek stopniu zrealizowany. Co warto zaznaczyć, pierwsze składki (z daniny solidarnościowej od najbogatszych) miały trafić do funduszu dopiero w 2020 r. Eksperci szacowali, że łącznie (wraz ze składkami z FP) uda się uzbierać ok. 2 mld zł rocznie. Tymczasem przewidywany koszt wypłaty 13. emerytur w 2020 r. to ok. 10 mld zł.

To jednak nie wszystkie cele, które będą finansowane z funduszu, co oznacza, że jeszcze mniej środków – o ile w ogóle cokolwiek – zostanie na wsparcie dla niepełnosprawnych. Fundusz bowiem ma być również źródłem pieniędzy na renty socjalne i zasiłki pogrzebowe, wypłacane bliskim w przypadku śmierci osób pobierających to pierwsze świadczenie. Do tej pory były one finansowane z budżetu państwa.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk: – Oczywiście fundusz nie był spełnieniem wszystkich żądań protestujących opiekunów osób z niepełnosprawnościami i nawet jeśli pozostałby w obecnym kształcie, trudno byłoby powiedzieć, że osoby te są godnie traktowane. Jednak sytuacja, w której sięga się do ich kieszeni, żeby spełnić obietnice bez pokrycia, jest szczególnie przykra. To, co robi teraz PiS, to skłócanie dwóch grup społecznych potrzebujących wsparcia. Działanie antysocjalne i przykład polityki uprawianej pod hasłem, które kiedyś wypowiedział Jarosław Kaczyński do jednej z osób podnoszących kwestię osób niepełnosprawnych: „Prosimy nie przeszkadzać". Osoby z niepełnosprawnościami nadal są więc traktowane jako te, które można kompletnie zignorować i pominąć.

Posłanka zwraca również uwagę na to, że projekt został złożony przez posłów PiS, nie zaś przez rząd, co zwalnia z obowiązku przeprowadzenia konsultacji społecznych. Złożyła już interpelację do Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, by uzyskać odpowiedź, co się stanie ze wspomnianymi programami wsparcia osób niepełnosprawnych. Komentuje także sam pomysł wypłacania dodatkowych świadczeń emerytom: – Zgadzam się, że emerytury powinny być wyższe, bardziej stabilne, ale trzeba powiedzieć, że sama koncepcja trzynastek nie jest systemową poprawą sytuacji emerytów. Wzrost nakładów na świadczenia emerytalne nie powinien być jednorazowym, dodatkowym gestem łaski rządzących. ■

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

eprasa.pl 4601838bb1

Celibat się żeni

Kościół katolicki powoli wycofuje się z celibatu, ale oficjalnie twierdzi, że żadnego problemu z życiem seksualnym księży nie ma

Jakub Dymek

Abp Grzegorz Ryś zaczyna książkę o celibacie historią… średniowiecznego biskupa islandzkiego. Jón Arason, urodzony w 1484 r., był liderem kontrreformacji na wyspie. Biskup z miejscowości Skálholt, rówieśnik Marcina Lutra, nigdy nie pogodził się z ideą Kościoła państwowego i zwierzchności króla Danii nad wyspą. Popularna jest zresztą teza, że XVI-wieczny buntownik troszczył się równie mocno o islandzką autonomię i interesy wyspiarzy niechętnych kopenhaskiej metropolii, co o losy Kościoła. W wieku 64 lat Arason gorąco zagrzewał swoich zwolenników do walki ze stronnikami króla – aż podczas jednej z takich potyczek sam został pojmany i odprowadzony na pośpiesznie zwołany sąd. Skazano go na śmierć przez dekapitację.

I tu, zwraca uwagę abp Ryś, dochodzimy do najbardziej szokującego obecnie faktu. Arasona skazano na śmierć wraz z dwoma jego synami, o czym do dziś wspomina każde – także katolickie – źródło. Inne dodają, że Arason miał z kochanką (żoną? konkubiną? partnerką?) dużo więcej dzieci, a zabójstwo katów biskupa zleciła jego córka. Innymi słowy, nawet w XVI-wiecznej Europie fakt posiadania rodziny przez katolickiego księdza, a nawet biskupa, nie dziwił, choć reguła celibatu została oficjalnie potwierdzona przez synody kilkaset lat wcześniej. Rzeczywistość i doktryna spektakularnie się rozmijały.

Dlaczego jednak historia z XVI w. miałaby dzisiaj być aktualna? Dlatego, że Kościół właśnie najżywiej od przynajmniej pół wieku rozprawia o celibacie. I dochodzi do wniosku, że coś wydarzyć się musi.

Kierunek amazoński

Zakończony niedawno synod biskupi dla Amazonii uczynił celibat jednym z głównych tematów obrad – zresztą zgodnie z przewidywaniami watykanistów i publicystów katolickich po obu stronach oceanu. W Polsce Tomasz Terlikowski już w 2017 r. przestrzegał, że w Kościele znów mącą siły liberalne. Wprowadzenie celibatu do, jak to się teraz mówi, agendy obrad zapowiadały liczne wywiady hierarchów, przede wszystkim z Ameryki Łacińskiej, które ukazały się w miesiącach poprzedzających synod. Spekulacje dotyczyły głównie tego, czy pod przewodnictwem Franciszka biskupi zgodzą się na zniesienie celibatu (mało prawdopodobne), zostawią wszystko, jak jest, czy zainicjują reformę.

Sprawdziło się to ostatnie przewidywanie. Biskupi opowiedzieli się za wyświęcaniem na księży żonatych mężczyzn. Ten punkt dokumentu końcowego synodu zdobył 128 głosów przeciwko 41 i właściwie przesądzone jest, że uzna go papież, a więc stanie się on oficjalną częścią reguły. To jednak nie koniec celibatu ani umożliwienie zawierania związków małżeńskich przez katolickich księży. Chodzi o to, by ustalić procedurę powoływania „sprawdzonych" bądź „wypróbowanych" wiernych na księży w sytuacji, gdy nie ma możliwości wysłania na parafię kapłana. Taka sytuacja jest dziś w Amazonii, gdzie wiele parafii, obejmujących zresztą ogromne obszary, obywa się bez księdza.

Koncepcja *viri probati* znana jest chrześcijaństwu od wieków. W pewnych zatem aspektach wyświęcanie członków Kościoła katolickiego, którzy są „mężami jednej żony, prowadzą dom w sposób sensowny, są świetnymi mężami, ojcami i kimś w Kościele rozpoznawalnym" – tłumaczy arcybiskup – może być powrotem do tradycji.

„Dokument końcowy synodu podejmuje też w końcu bolesny problem niektórych wspólnot tubylczych, które pozbawione są stałej obecności kapłana – informuje oficjalny komunikat Watykanu. – Biskupi w sposób jednoznaczny doceniają znaczenie celibatu i zalecają gorącą modlitwę o liczne powołania. Mając jednak na względzie potrzeby wspólnot pozbawionych posługi sakramentalnej, synod wnioskuje o ustalenie kryteriów i dyspozycji, na podstawie których można by udzielać święceń kapłańskich diakonom stałym, którzy posługiwaliby w najodleglejszych regionach Amazonii".

Takie ujęcie sprawy nie ukazuje jednak całej prawdy.

Uchylona furtka

Dlaczego Kościół w ogóle musiał się zająć celibatem? Pytam o to Jarosława Makowskiego, filozofa i autora książki „Pobudka, Kościele!". – Ponieważ jest praktyczny. Brak księży doskwiera Kościołowi nie tylko w Amazonii, choć tam jest bardzo widoczny, ale i na ogromnych połaciach naszej planety. Wobec takiej sytuacji należało położyć na szali dwie wartości – celibat, obecny w tradycji od XI w., i Eucharystię, samą misję i serce Kościoła. Papież Franciszek uznaje, że ważniejszy jest dostęp do Eucharystii, możliwość uczestnictwa wiernych w mszy, niż utrzymywanie tradycji za wszelką cenę – tłumaczy Makowski.

W XVI-wiecznej Europie fakt posiadania rodziny przez katolickiego księdza, a nawet biskupa, nie szokował.

Rozróżnienie między tradycją a dogmatem jest niezwykle istotne – tę pierwszą można zmienić, nawet mimo oporu konserwatystów, drugiego lepiej nie podważać. Abp Ryś w cytowanej już książce „Celibat" również to podkreśla. Jezus nie związał się z żadną kobietą, ale jego uczniowie – owszem. Kościół przez stulecia nie był zgodny co do tego, czy i jaki nakaz czystości rzeczywiście obowiązuje.

eprasa.pl 4601838bb1

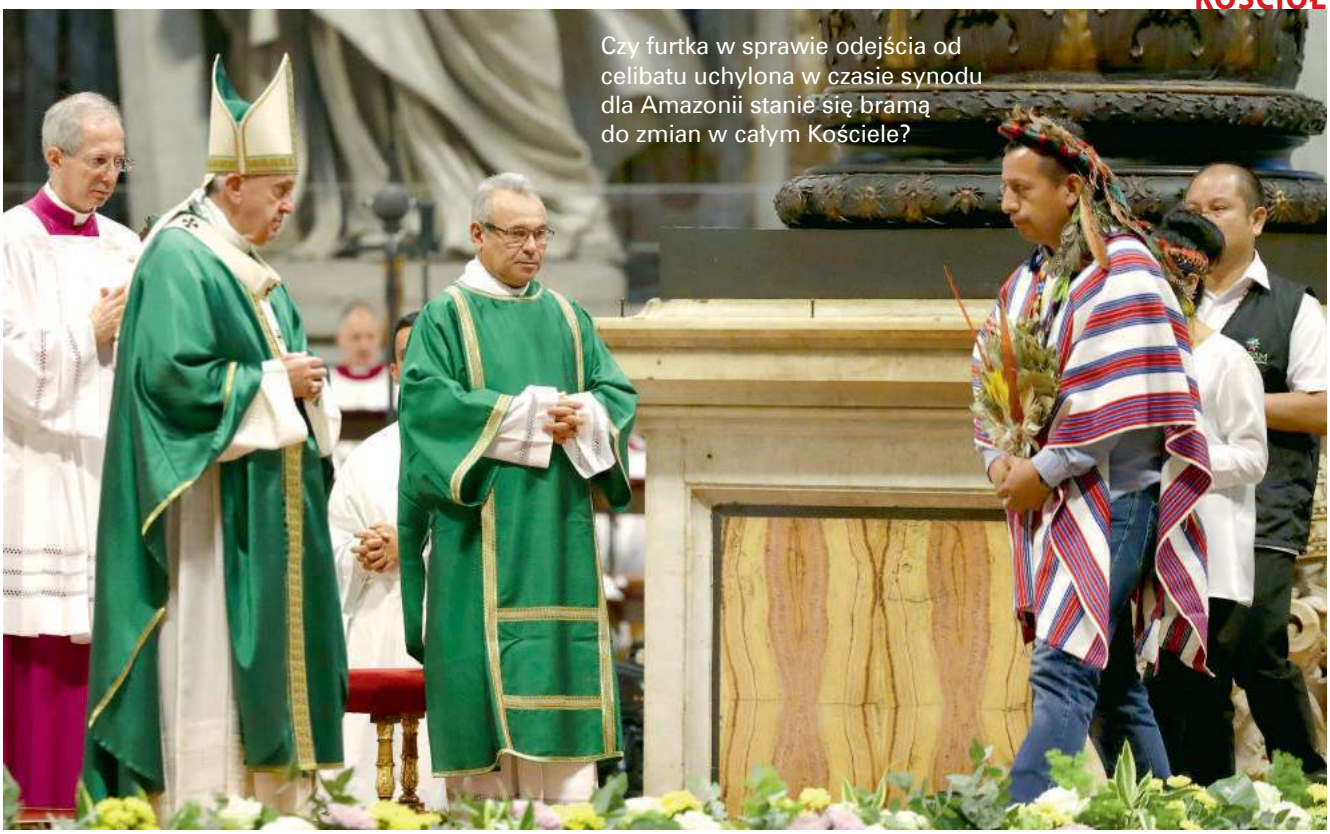

Czy furtka w sprawie odejścia od celibatu uchylona w czasie synodu dla Amazonii stanie się bramą do zmian w całym Kościele?

Ani, co teologicznie jeszcze trudniejsze, dlaczego.

Związków księżom zakazano w XI w., ale jak pokazuje przykład islandzkiego biskupa, jeszcze przez kilka wieków prymat miały lokalne zwyczaje i zakorzenione w tradycji rozumienie pojęć czystości i małżeństwa, a nie kościelna wykładnia. Bo gdy ksiądz np. wiązał się z kobietą, ale na podstawie cywilnego prawa czy plemiennego zwyczaju, nie było to małżeństwo. Ostatecznie nawet słowo celibat i jego znaczenie, jakie znamy dziś, zakorzeniło się dopiero w XX w. Co więcej – do dziś jest to tradycja najbardziej umocowana w myśleniu europejskim i zachodnim.

– W dużej części świata celibat jest zupełnie niezrozumiały, kompletnie obcy. W tzw. Kościołach Trzeciego Świata, jak mówiło się o nich dawniej, na latynoamerykańskiej prowincji czy w wielu krajach kontynentu afrykańskiego, zakaz posiadania rodziny wciąż jest uważany wśród wiernych za kulturowy absurd i problem. Papież Franciszek pochodzi z Ameryki Łacińskiej, słucha tych głosów i gotów jest odesłać celibat na emeryturę – wyjaśnia Makowski.

W tym myśleniu jest pewien wytrych, nawet jeśli Franciszek wcale nie chce znieść celibatu. Chodzi o to, że w Kościele każde uchylenie furtki, mówiąc obrazowo, może się skończyć otwarciem wrót. Dlatego konserwatyści czy tradycjonaliści słusznie podejrzewają Franciszka o pewien „spisek". Do kwestii złagodzenia celibatu w Kościele katolickim synod amazoński podszedł od strony globalnych peryferii – ale nowe zasady będą przecież obowiązywać powszechnie. Czy zatem ów kamyk nie uruchomi lawiny? – pytają.

„I nawet jeśli na początku zmiana dotyczyć będzie Amazonii, to raczej prędzej niż później zostanie ona przyswojona w całym Kościele katolickim (...). Nowa reformacja trwa i czas przyjąć to do wiadomości", pisał na łamach „Rzeczpospolitej" Tomasz Terlikowski.

Pęknięcie w poprzek Europy

Kard. Gerhard Müller, emerytowany przewodniczący Kongregacji Nauki Wiary, należy do najbardziej znanych hierarchów krytykujących liberalny kurs Franciszka. Domaga się on, co może brzmieć w uszach niewierzących nieco zabawnie, bardziej „katolickiej" korekty kursu Kościoła. „Myśl stojąca za szeroko dyskutowanym dokumentem roboczym Synodu Biskupów dla Regionu Panamazońskiego jest »projekcją« europejskiej myśli teologicznej, niezgodnej z teologią katolicką", cytowały niedawny wywiad Gerharda Müllera polskie media katolickie. Zasad celibatu nie można zmieniać, mówił wprost niemiecki kardynał i dodawał, że Kościoły protestanckie, gdzie nie ma celibatu, mają się gorzej niż katolicyzm w Polsce, z którą to opinią można polemizować.

Jeśli w związkach małżeńskich mogliby żyć księża w Amazonii, to dlaczego nie w Niemczech i na całym świecie?

„Müller ostrzegł niedawno publicznie przed wykorzystywaniem synodu amazońskiego do podważania istniejących struktur – relacjonowało radio Deutsche Welle. – Obawy kard. Müllera, że w Rzymie dojdzie do wielkich zmian, są zatem uzasadnione. Bo jeśli w związkach małżeńskich mogliby żyć księża w Amazonii, to dlaczego nie w Niemczech i na całym świecie?". Müller zresztą był jednym z kilku wysoko postawionych duchownych europejskich, którzy w ostatnich dniach synodu i po nim zabrali (krytyczny) głos.

Co ciekawe, właśnie Niemcy i niemiecki Kościół są w tym sporze

eprasa.pl 4601838bb1

awangardą, a Müller krytykuje (co z pewnością miłe dla uszu polskich konserwatystów) w pierwszym szeregu swoich krajan. „W Niemczech chcą zbudować na nowo cały Kościół", ogłosił. I tu, ponownie, obawy reprezentowanej przez niego zachowawczej części hierarchii nie są wyssane z palca. Rzeczywiście niemiecki episkopat rozpoczął prace, zwane drogą synodalną, które mają poddać refleksji kwestie roli kobiet w Kościele i celibatu. Dość powszechne przekonanie jest takie, że cokolwiek by wynikło z amazońskiego synodu, skutkiem tych prac będzie taka czy inna liberalizacja Kościoła w Niemczech. Przewodniczący episkopatu Niemiec, kard. Reinhard Marx, zapowiadał, że nie wyklucza nawet kapłaństwa kobiet i przychylnie mówił o idei zniesienia celibatu.

Kard. Gerhard Müller należy do najbardziej znanych krytyków papieża Franciszka.

Jasno więc widać, jak bardzo podzielone są zdania wśród samej hierarchii. Ale co do jednego biskupi i księża wydają się zgodni. Nie nazywają celibatu problemem. Nawet gdy ich własne działania pokazują, że jakiś problem musi być, bo inaczej nie byłoby ani konieczności reformy, ani tak dużego konfliktu opinii.

Polski problem?

Na końcu książki abp. Rysia przeprowadzający z nim rozmowę ksiądz cytuje słowa kard. Müllera: „Kryzys w chrześcijaństwie zachodnim nie ma nic wspólnego z faktem istnienia celibatu. Brak akceptacji celibatu jest wyrazem tego kryzysu". „Słusznie", odpowiada arcybiskup i na tym rozmowa się kończy.

Pytanie brzmi jednak: czy współcześni wierni w Europie nie akceptują celibatu, czy raczej hipokryzji? Kapłani greckokatoliccy mają rodziny – i nie budzi to sprzeciwu ani wiernych, ani Watykanu. Przeciwnie, to integralny element wyznania greckokatolickiego. Nie chodzi więc chyba o sam celibat, życie rodzinne lub czystość. Co innego, gdy księża mają rodziny, choć mieć ich nie powinni. Jak w Polsce.

Marcin Wójcik, autor książki „Celibat. Opowieści o miłości i pożądaniu", opowiada historię pani Wiesławy spod Wrocławia, która była w związku z księdzem profesorem. „Ten ksiądz był nie tylko rektorem, ale i ważnym proboszczem, miał tytuły, funkcję w episkopacie. A jednocześnie był w związku z panią Wiesławą, z którą miał syna. Kochali się i chcieli żyć razem. Chodzili do Ikei, wybierali meble do mieszkania – relacjonował Wójcik na łamach „Kultury Liberalnej". – Mimo to ks. Waldemar miał zostać biskupem. Tylko że pewien ksiądz, bliski przyjaciel Waldemara, nie wytrzymał i podczas decydujących rozmów w Watykanie powiedział, że ten ma kobietę i dziecko. Gdyby nie jeden sprawiedliwy pewnie ks. Waldemar zostałby biskupem".

Można powiedzieć, że to wyłącznie anegdota. Ale Kościół, tak jak nie nazywa tego zjawiska problemem, nie publikuje też, nawet jeśli je ma, żadnych danych pozwalających ocenić, jak często nakazy w zakresie celibatu są łamane. Ale że łamane są często, można się domyślić. Chęć posiadania życia rodzinnego jest jednym z najczęściej deklarowanych przez księży powodów odejścia z kapłaństwa; według jednego z badań trzy czwarte księży, którzy odeszli z tego powodu, zostałoby na swoich parafiach, gdyby mogli być w związku małżeńskim z partnerką.

Według głośnych ustaleń prof. Józefa Baniaka z Wydziału Teologicznego UAM (z którego został później zwolniony), opublikowanych dekadę temu, 60% księży ma relacje z kobietami, 15% ma dzieci. Jego wypowiedzi i wywiady są każdorazowo głośno krytykowane i podważane przez katolickich publicystów – obszerny list przeciwko Baniakowi opublikowała zaledwie kilka dni temu na swoich stronach internetowych Katolicka Agencja Informacyjna. „Z moich wieloletnich obserwacji wynika, że nie mówimy o marginesie. Nauka pozoranctwa jest systemowa", komentował te dane Wójcik.

Kościół nie publikuje żadnych danych pozwalających ocenić, jak często nakazy w zakresie celibatu są łamane.

To problem zaklętego kręgu – Kościół nie udostępnia danych, badacze publikują swoje, Kościół je kwestionuje, bo badacze nie mają dostępu do danych, powstają kolejne badania, ponownie są kwestionowane… „Jest szereg innych zagranicznych badań, które pokazują, że problem jest jeszcze większy, niż przedstawia to prof. Baniak", mówi Wójcik.

Jednak wbrew opinii Wójcika, że spokojnie można się oprzeć na iluś badaniach pokazujących, jak naprawdę jest z przestrzeganiem celibatu, dyskusja w praktyce odbija się jak piłeczka pingpongowa: od kilku popularnych raportów – z konieczności niepełnych – do publicystycznych konkluzji i z powrotem. Już pięć lat temu drwił z tego katolicki publicysta Szymon Hołownia w książce „Kościół dla średnio zaawansowanych": „Rzecz jasna wszyscy na poparcie swoich tez wyciągają z szuflad przeróżne statystyki i badania. (...) Czy o celibacie w ogóle da się rozmawiać? (...) Jedna ze stron wyciąga takie przykłady oraz badania, z których wynika, że księża zasadniczo mają kochanki, druga zaś przekonuje, iż bada-

eprasa.pl 4601838bb1

nia są do kitu, bo większość znanych księży kochanek bynajmniej nie ma".

„Kościół ma pełną świadomość, ilu księży odeszło z powodu celibatu – tłumaczył autor „Opowieści o miłości i pożądaniu" w rozmowie z Łukaszem Pawłowskim. – Znam też takie przypadki, gdzie biskupi wiedzą, że ksiądz prowadzi podwójne życie. Ale jest dobrym duszpasterzem, więc biskup się na to godzi".

Niedawno zresztą głośno było (przede wszystkim w mediach anglojęzycznych) o tym, że Kościół ma swoje procedury dotyczące postępowania wobec księży, którzy spłodzili dzieci. Czyli problem jest? Abp Ryś mówi tylko, że „momentem istotnym jest pojawienie się w związku dziecka. Wtedy kapłan zaciąga obowiązki wobec tej kobiety i potomstwa. (...) W sytuacji potwierdzenia takiego faktu radzimy księdzu, żeby wystąpił".

Tym z kolei tematem – dziećmi księży – zajęła się Marta Abramowicz, autorka bestsellerowego reportażu „Zakonnice odchodzą po cichu". Jej najnowsza książka nosi tytuł „Dzieci księży. Nasza wspólna tajemnica".

Jak mówiła w niedawnym wywiadzie udzielonym Monice Żmijewskiej z „Gazety Wyborczej", fakt posiadania przez księży dzieci to w Polsce wspólna tajemnica wiernych, samych kapłanów, ich partnerek i przełożonych. „Nie chodzi o to, że ludzie nie znali księży nieprzestrzegających celibatu, ich partnerek czy dzieci. Znali. Jednak kiedy prosiłam o pomoc w kontakcie z nimi, odmawiali, bo to wymagałoby nawiązania kontaktu, zagadania, przyznania się do tego – o czym wszyscy zainteresowani świetnie wiedzą – że się od lat o tym szepcze za plecami", opowiadała o swojej pracy nad książką.

Abp Grzegorz Ryś w swojej książce zaprzecza fałszywym tezom, że Kościół znał celibat od czasów starożytnych i że jest on częścią natury kapłaństwa.

60% księży ma relacje z kobietami, 15% ma dzieci.

Hipokryzja bije w oczy

Jeden z przeprowadzonych niedawno sondaży wskazywał, że 66% Polek i Polaków opowiada się za zniesieniem celibatu. To pojedynczy sondaż przeprowadzony na zlecenie tabloidu, ale majowe badania pracowni Ipsos przyniosły niemalże identyczny wynik. Może on być jednak wypaczony „efektem »Kleru« i Sekielskich", który radykalnie obniżył notowania Kościoła w badaniach przeprowadzanych w 2019 r. W rzeczywistości Polacy, owszem, uważają celibat za jeden z najpoważniejszych problemów Kościoła i kapłaństwa (inaczej niż hierarchia), ale według CBOS zwolennicy tak daleko idącej reformy jeszcze kilka lat temu nie byli większością.

W 2013 r., gdy pracownia pytała o konieczność reformy doktryny i zniesienie celibatu, spośród zwolenników reformy Kościoła mniej niż jedna trzecia uznała zniesienie celibatu za konieczne. To potwierdzałoby opinię, że wiernych w Polsce emocjonuje nie tyle sama kwestia celibatu, ile hipokryzja – w badaniach każdorazowo większy jest odsetek osób, które wskazują łamanie celibatu i podwójne życie duchownych, tuszowanie skandali pedofilskich i niezdolność do poradzenia sobie z różnymi aferami jako kwestie wymagające natychmiastowej poprawy.

– Wydaje mi się, że gdyby nasi księża byli żonaci, inaczej wyglądałaby rozmowa o pedofilii w Kościele czy homoseksualności kapłanów i kleryków. Gdyby księża mieli rodziny, trudniej byłoby udawać, że problem przemocy wobec dzieci jest marginalny czy nie istnieje, inaczej wyglądałaby kontrola społeczna i mniejszy byłby przymus utrzymywania tej hipokryzji, że duchowni nie mają seksualności – dodaje Makowski.

Z kolei Wójcik puentuje: „To są pozory na użytek wewnętrzny, których łatwo można się wyuczyć. Seminarium w tej formie to nauka pozoranctwa. Klerycy wyuczeni stwarzania pozorów zostają księżmi i później w kapłaństwie też świetnie grają – porządny ksiądz, modli się, a że ma dwójkę dzieci z dwiema kobietami…". Tłumaczenie polskiego episkopatu, że system i edukacja kandydatów na księży nie zawodzą, że winna jest współczesna kultura i rewolucja seksualna, Wójcik uważa za żenujące. I on, i prof. Baniak – należy tu być może dodać – byli alumnami seminariów.

Dziś to ich, krytyków celibatu (lub hipokryzji), głos jest donośniejszy. Kościół przygotowuje się do zmian, a papież Franciszek chce wykorzystać swój urząd do ich powolnego, acz skutecznego, wdrożenia. Jednak przyglądając się tej debacie z perspektywy Polski, zasadne będzie pytanie, czy to koniec pewnego historycznego procesu, czy – przeciwnie – dopiero jego początek. Bo jak ujawniają coraz to nowe książki i publikacje (obok wyżej cytowanych jeszcze choćby Pawła Reszki, Agaty Diduszko-Zyglewskiej czy Radosława Grucy), w kwestii gotowości do zmian i liczby niewypowiedzianych na głos problemów Kościół w Polsce jest być może daleko za Amazonią.

Jakub Dymek

FOT. EAST NEWS (2), GRZEGORZ MICHAŁOWSKI/PAP

eprasa.pl 4601838bb1

Piec gaśnie po wyborach

Gorzki prezent od ArcelorMittal na 70-lecie Nowej Huty

Dwa lata temu wielki piec nr 5 wyremontowano kosztem ponad 175 mln zł.

Leszek Konarski

Do końca tego roku miało być radosne świętowanie 70-lecia Nowej Huty, rocznicy rozpoczęcia budowy największego w Polsce kombinatu metalurgicznego i miasta dla pracujących w nim hutników. Przez całe lata gigantyczna huta była żywicielką tego miasta, finansowała obiekty kulturalne, sportowe i rekreacyjne, wspomagała służbę zdrowia, fundowała stypendia dla twórców. W latach 70. w Hucie im. Lenina pracowało 40 tys. osób, prawie w każdej rodzinie był hutnik lub budowlaniec. Za tydzień pracę w hucie straci kolejne 1,2 tys. osób, pozostanie ok. 1,8 tys. Zamiast świętowania są łzy.

W sobotę, 23 listopada, rozpocznie się procedura wygaszania ostatniego z pięciu wielkich pieców, która potrwa 24 godziny, zatrzymana zostanie praca stalowni. W 2017 r. ten największy z pieców, mający numer 5, został wyremontowany kosztem ponad 175 mln zł. Zakończenie remontu dało okazję do fety i nikt wtedy nie przypuszczał, że za dwa lata trzeba będzie piec wygasić. Zarząd spółki ArcelorMittal Poland twierdzi wprawdzie, że to tylko przerwa i gdy znajdą się nabywcy na wyroby stalowe, huta ponownie uruchomi część surowcową, ale mało kto w to wierzy. Rzeczywiście już raz, w sierpniu 2010 r., wygaszono wielki piec i stanęła stalownia, a po pół roku, w marcu 2011 r., gdy na wiosnę wzrosło zapotrzebowanie na stal, ponownie piec rozpalono. Wtedy wytłumaczono załodze, że spadło zapotrzebowanie na stal, wzrósł import tańszych wyrobów z krajów azjatyckich i trzeba chwilowo ograniczyć produkcję. Teraz przedstawiciele wszystkich związków zawodowych działających w hucie twierdzą, że cały czas byli okłamywani co do terminu wygaszenia pieca, a powodem były październikowe wybory parlamentarne.

Politycy wspólnie z zarządem spółki obiecywali na festynach, że nie dopuszczą do wyłączenia pieca, a po cichu wstrzymywali dostawy surowców.

Spisek hindusko-rządowy

O niespodziance, którą chce sprawić hinduska spółka na 70-lecie Nowej Huty, załoga kombinatu zaczęła szeptać już w maju tego roku. Dyrekcja huty informowała o osłabieniu popytu na stal, dużym imporcie tańszych wyrobów z krajów spoza Unii Europejskiej, rosnących cenach uprawnień do emisji dwutlenku węgla i, co najważniejsze, wysokich cenach prądu w Polsce.

Odpowiedzią rządu na wzrost cen energii elektrycznej była czerwcowa ustawa o systemie rekompensat dla przemysłu energochłonnego. Te rekompensaty miały utrzymać konkurencyjność polskich przedsiębiorstw wobec firm z zagranicy, gdzie prąd jest tańszy, i tym samym zabezpieczyć miejsca pracy. 900 mln zł, które rząd przeznaczył dla przedsiębiorstw, krakowskiej hucie niewiele pomogło. Nasza stal wciąż była droższa od chińskiej czy indyjskiej. Klienci woleli kupować tańsze wyroby z importu. Magazyny huty były pełne niesprzedanej stali. Zarząd ArcelorMittal stwierdził, że 1 września 2019 r. musi wygasić piec i wstrzymać pracę stalowni. Zaprotestowały wszystkie związki zawodowe. Pisano apele do rządu, do premiera Morawieckiego, grożono protestami, interweniowali krakowscy politycy.

Po tych protestach zarząd spółki ArcelorMittal Poland ogłosił, że zmienił decyzję, wielki piec w Krakowie nie zostanie wygaszony i nie dojdzie do zatrzymania stalowni. Natomiast od 6 września ponad

FOT. PAP/STANISŁAW ROZPĘDZIK

eprasa.pl 4601838bb1

700 osób zatrudnionych w administracji będzie pracowało tylko cztery dni w tygodniu, a część pracowników zatrudnionych w produkcji zostanie posłana na urlopy postojowe.

Wtedy to po całej hucie rozeszła się wiadomość, że premier Mateusz Morawiecki uzgodnił z zarządem hinduskiej spółki, że nie wygaszą wielkiego pieca przed wyborami 13 października. Rząd nie chce do wyborów żadnych strajków ani protestów. Nikt nie miał dowodów, że doszło do takich ustaleń, nikt nie widział dokumentów, ale wszyscy byli przekonani, że wiadomość jest prawdziwa. Do tego związkowcy zaczęli studiować harmonogramy dostaw surowców do huty oraz zlecenia na niektóre prace związane z koniecznością wygaszania pieca i doszli do wniosku, że piec jednak zgaśnie.

W czwartek, 10 października, związkowcy z NSZZ Pracowników ArcelorMittal Poland na konferencji prasowej poinformowali o rządowo-hinduskim spisku. Do wyborów nie będzie wstrzymywana produkcja, a potem dyrekcja huty może robić, co chce. Podali też, że według ich informacji wygaszenie pieca ma nastąpić dwa tygodnie po wyborach, 25 października. Pracę straci 1,2 tys. osób zatrudnionych w części surowcowej huty.

– Obserwujemy, że przygotowania do zakończenia pracy wielkiego pieca w krakowskiej hucie idą pełną parą – powiedział Krzysztof Wójcik, przewodniczący NSZZ Pracowników ArcelorMittal Poland. – To skrajnie bezduszne działanie. W zakładzie często pracują całe rodziny. Czy ktoś pomyślał, co włożą do garnka w listopadzie? Z czego będą żyć, jeśli z dnia na dzień stracą pracę?

– Oczekujemy jasnych komunikatów ze strony władz firmy – dodał Józef Kawula, wiceprzewodniczący tego związku. – Czujemy się oszukani i wykorzystani. Bo jak inaczej rozumieć zapewnienia polityków, którzy przyjeżdżają na festyny pracowników huty i wspólnie z zarządem spółki obiecują, że nie dopuszczą do wyłączenia pieca, a za naszymi plecami wstrzymują dostawy surowców? Zrobiono wszystko, aby temat huty przed wyborami nie istniał. A po wyborach zarząd obwieści nam, że wyłączają piec, a my lądujemy na bruku. Nie zgadzamy się na to!

Związkowcy stwierdzili, że nie pomogła interwencja prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, który napisał do premiera Morawieckiego: „Czując się odpowiedzialnym za los pracowników krakowskiej huty, ich rodzin oraz konsekwencje gospodarcze wygaszenia wielkiego pieca, wnoszę o podjęcie przez Pana Premiera stanowczych kroków wobec ArcelorMittal Poland". Jeżeli do wygaszenia dojdzie, zorganizują protesty, zablokują ulice, sparaliżują ruch w Krakowie. Rząd nie chciał tych protestów przed wyborami, to będą dwa tygodnie później.

W przedwyborczą sobotę, 12 października, zarząd ArcelorMittal Poland wydał oświadczenie, w którym kategorycznie zaprzeczył spekulacjom, jakoby do wyłączenia pieca miało dojść 25 października. Dyrektor Geert Verbeeck napisał do pracowników huty: „Jako dyrektor generalny chciałbym z całą mocą i całą odpowiedzialnością podkreślić, że nie zapadły żadne decyzje dotyczące daty rozpoczęcia ewentualnego postoju. Zgodnie z naszymi wcześniejszymi deklaracjami uważnie monitorujemy sytuację na rynku".

Nie po dwóch tygodniach, lecz po miesiącu, 12 listopada, ten sam Geert Verbeeck oświadczył: – Musieliśmy podjąć decyzję i ogłosić dzisiaj, że 23 listopada wielki piec i stalownia zostaną wyłączone z pracy.

Potwierdziły się przypuszczenia związkowców o rządowo-hinduskim porozumieniu. Do wyborów miał być w hucie spokój, żadnych protestów, a potem możecie sobie ją zamknąć.

ArcelorMittal w Polsce

ArcelorMittal Poland to największy producent stali w Polsce, zatrudnia 12 tys. osób w hutach w Krakowie, Dąbrowie Górniczej, Sosnowcu, Świętochłowicach i Chorzowie. Skupia 70% potencjału produkcyjnego naszego przemysłu hutniczego. Do tego koncernu należą także Zakłady Koksownicze Zdzieszowice, będące największym producentem koksu w Europie. Z kolei ArcelorMittal Warszawa jest właścicielem huty w stolicy. Polskie spółki należą do globalnego koncernu ArcelorMittal, największego producenta stali w świecie. Jego właścicielem jest mieszkający w Londynie Hindus Lakshmi Mittal.

Przedłuż prenumeratę PRZEGLĄDU na poczcie

Poczta Polska

Zamówienia można składać do 25 listopada 2019 r.

Prenumeraty pocztowe będą realizowane od stycznia 2020 r. po dokonaniu przedpłaty:

74 zł – I kwartał 148 zł – I półrocze 296 zł – cały rok

- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy;
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl.

Od stycznia 2020 r. nie kontynuujemy prenumeraty redakcyjnej.
Nie zapomnij jej przedłużyć na poczcie!
Prosimy o niedokonywanie wpłat na konto Fundacji Oratio Recta.
Liczymy, że pozostaniecie Czytelnikami PRZEGLĄDU.

eprasa.pl 4601838bb1

Co z pracownikami?

Dyrekcja huty zapewniła załogę, że gdy poprawią się warunki na rynku stali i uruchomienie części surowcowej stanie się ekonomicznie opłacalne, wielki piec ponownie zostanie rozpalony i zacznie działać stalownia. Nie można jednak podać, kiedy do tego dojdzie. Pozostałe wydziały huty będą pracować normalnie. Dla 1,1 tys. hutników zatrudnionych przy obsłudze pieca i stalowni przygotowano różne propozycje zatrudnienia. Część zajmie się konserwacją urządzeń, inni dostaną propozycję pracy w hucie koncernu ArcelorMittal w Dąbrowie Górniczej (ponad 100 km od Nowej Huty), a jeszcze innym będzie wypłacane obniżone wynagrodzenie, czyli tzw. postojowe. Niektórzy zostaną wysłani na urlopy postojowe. Przygotowano również porozumienie osłonowe dla tych, dla których nie znajdzie się praca, i będzie to negocjowane ze związkami zawodowymi. Od kilku dni w krakowskiej hucie trwają rozmowy z załogą wielkiego pieca i stalowni.

Wystawa o żywicielce

Wiadomość o wygaszeniu wielkiego pieca niemal zbiegła się z otwarciem w Muzeum Nowej Huty, które od marca tego roku mieści się w budynku dawnego nowohuckiego kina Światowid, wystawy „Mój drugi dom? Huta im. Lenina" ukazującej nierozerwalne związki kombinatu metalurgicznego z Nową Hutą, kiedyś miastem, a teraz dzielnicą Krakowa. Muzealne wystawy projektowane są z co najmniej rocznym wyprzedzeniem i mało kto przypuszczał, że huta, która przez lata była opiekunką miasta, żywicielką, fundatorką, wspomożycielką wszelkich inicjatyw, teraz sama będzie potrzebowała pomocy. Nikt jeszcze nie wyliczył, jaką skalę będą miały zwolnienia, ilu przybędzie bezrobotnych.

Kuratorzy ekspozycji, Piotr Kapusta i Karolina Żłobecka, przedstawili związki tego zakładu z miastem i wielki szok, jakiego doświadczyli mieszkańcy w czasach transformacji politycznej, gdy zaczęto zwalniać pracowników i stopniowo kończyły się opiekuńcze funkcje huty, która przestała prowadzić żłobki, przedszkola, domy kultury, ośrodki wczasowe. Otwierając wystawę, Piotr Kapusta powiedział: – Chcieliśmy pokazać funkcje opiekuńcze i socjalne huty, którą wiele osób wspomina z wypiekami na twarzy, bo ta huta dużo pracownikom dawała. Pokazujemy, jak zakład realizował różne inicjatywy na rzecz swoich pracowników, jak organizowano zbiorowe żywienie, jak zagospodarowywano czas wolny. Ale pokazujemy też tę ciemniejszą stronę kombinatu – zagrożenie wypadkami i chorobami zawodowymi, ciężkie warunki pracy.

W ostatnich dniach okazało się, że huta nie tylko nie wspomaga miasta, ale jeszcze za tydzień przestanie produkować stal. Wielkie kęsy stalowe do walcowania będą dowożone z Dąbrowy Górniczej i najpierw muszą wystygnąć, aby dało się je załadować na wagony, a w Nowej Hucie będą ponownie nagrzewane, aby można było je walcować, co powoduje ogromne straty energii. Czy to już koniec krakowskiego kombinatu?

Leszek Konarski

eprasa.pl 4601838bb1

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Cicho sza, to nasz, polski terrorysta

W przeddzień 11 Listopada przez niemal wszystkie polskie media, duże i małe, publiczne i prywatne, ogólnopolskie i lokalne, przetoczyła się fala niejasnych doniesień z podwarszawskich Włoch (taka dzielnica), gdzie na ulicy Paganiniego pojawiły się spore zastępy policji, antyterrorystów, pirotechnicy i karetki. Ulicę wyłączono na wiele godzin z użytkowania. Była to tzw. powtórka z rozrywki, bo przed kilku laty dokładnie w tym samym budynku dokonano podobnego przeszukania i zatrzymania jednego ze współpracowników Brunona Kwietnia, doktora nauk chemicznych skazanego później za przygotowywanie materiałów wybuchowych i zamachu. Pojawiały się informacje o polskim Sejmie jako ewentualnym celu. Skazany na dziewięć lat więzienia Kwiecień w sierpniu tego roku został znaleziony martwy w swojej celi we wrocławskim więzieniu. Nic nie wiadomo o jego wcześniejszych kłopotach ze zdrowiem.

Podczas ostatniej listopadowej akcji zatrzymano kilka osób, w tym także współpracującą czy współpracujące wcześniej z Kwietniem. Ich celem nie miał być polski Sejm, tylko polscy muzułmanie. Stanisław Żaryn, rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych, poinformował, że „poza szykanami i prześladowaniami (muzułmanów) grupa planowała również bardziej radykalne działania z wykorzystaniem broni palnej i materiałów wybuchowych". Dodał, że grupa wzorowała się na zamachach terrorystycznych dokonanych m.in. przez Andersa Breivika w 2011 r. w Norwegii, Brentona Tarranta w tym roku w Nowej Zelandii i Philipa Manshausa również w tym roku w Norwegii. Pierwszy z norweskich zamachowców został skazany za zamordowanie 77 osób: 8 w zamachu bombowym i zastrzelenie 69 dzieci z młodzieżówki norweskiej Partii Pracy (socjaliści) na wyspie Utøya. Drugi po zamordowaniu przyrodniej siostry ostrzelał meczet, ale po wdarciu się do środka został obezwładniony i nikt nie zginął.

Wedle wszystkich dostępnych nam definicji podobnych działań (przemoc lub przygotowanie się do radykalnego aktu przemocy, zamach bombowy, strzelanie do przypadkowej, nieznanej wcześniej napastnikowi grupy, motywowane politycznie, w tym wypadku nienawiścią o podłożu islamofobicznym) mamy do czynienia z terroryzmem, działaniami terrorystycznymi, terrorystami. W polskich doniesieniach medialnych to określenie właściwie się nie pojawia. Nawet mając informacje o przygotowaniach do ataków, polskie media wystrzegały się jak ognia słowa terroryści. Nie wierzycie Państwo? Proszę, oto krótki wybór tytułów i nagłówków. TVN 24: „Akcja ABW we Włochach. Zatrzymani są podejrzewani o szykowanie zamachu"; Radio ZET: „Tajemnicza akcja ABW w stolicy. Planowano zamach w Święto Niepodległości?"; WP.pl: „ABW zatrzymało niedoszłego zamachowca. Sprawdziliśmy, kim jest podejrzany z Warszawy"; RMF 24: „Warszawa: Tajemnicza akcja ABW na ulicy Paganiniego"; „Fakt": „Arsenał materiałów wybuchowych w Warszawie! Miały wybuchnąć 11 listopada?"; Polsat News: „Mieli szykować zamach na muzułmanów. Wzorem był dla nich Breivik"; „Wyborcza": „Tajemnicza akcja ABW we Włochach. Służby nabrały wody w usta"; TVP Info: „Agenci ABW w warszawskiej dzielnicy Włochy. Na miejscu pracują pirotechnicy"; „Newsweek": „Wspólna akcja ABW i policji w warszawskiej dzielnicy Włochy".

Gdzie są terroryści? Nie ma, rozpłynęli się w czystym polskim powietrzu. Wyobraźmy sobie sytuację, że podobna informacja dotyczy zatrzymania i rewizji Belga o korzeniach marokańskich z Brukseli, paryżanina z rodziny algierskiej, mieszkańca Liverpoolu z muzułmańskiej rodziny. Od słowa terrorysta byśmy się nie opędzili, byłyby czołówki, temat na wiele dni. A tu cisza. Podobna do tej, która zapanowała po zatrzymaniu w Lublinie małżeństwa zmierzającego z gotową bombą domowej roboty na Marsz Równości, którego ta dwójka była skrajnymi przeciwnikami. Cisza. Nic. Nie wiemy, co dalej.

To milczenie pokazuje przerażające, powszechne, ponadpolityczne przekonanie, które pozwala w taki medialny sposób zdjąć realną odpowiedzialność za rodzący się, czyhający za rogiem polski prawicowy terroryzm. On już tu jest. Oni tu już są, cali biali, cali katoliccy, cali rodzinni. Nienawidzący muzułmanów, gejów, lesbijek, lewaków, ateistek, feministek. Tym razem rewizja wyprzedziła zamach (czy dlatego, że zamachowiec z wyrokiem nawet nie zmienił piwnicy do majstrowania bomby?). Ale za ich terroryzm *in statu nascendi* odpowiadają politycy i media. Polscy. Polskie. Wasze. To jest wasza prawica. Po raz kolejny udało się uniknąć ofiar. Tak się spełnia sen o rządzeniu za pomocą nienawiści. I tylko nie zapominajmy, żeby nic nie mówić o faszyzmie, bo gdzie tu faszyzm? No tu, we Włochach pod Warszawą.

eprasa.pl 4601838bb1

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Trudna droga po sprawiedliwość

Najpierw była molestowana seksualnie. Potem za sprawą sądu i adwokata agresor poznał jej adres

To wydarzyło się na wieczorze panieńskim kumpeli, w marcu zeszłego roku – wspomina Ewa spod Bydgoszczy, 34-latka, z wykształcenia socjolog, przedsiębiorczyni. – W bydgoskim klubie Awangarda, w wydzielonej salce dla VIP-ów, w gronie kilkunastu dziewczyn (w wieku od 25 do 50 lat) bawiłam się dobrze – opowiada. – I nagle pojawił się mąż jednej z nich (nazwijmy ją Niemiłą, bo od początku była negatywnie do mnie nastawiona). Pan Grzegorz, w wieku ok. 45 lat, przyszedł w towarzystwie drugiego faceta, też męża jednej z zaproszonych kobiet. Zaczęli bawić się z nami. Byłam obca w tym towarzystwie, znałam tylko przyszłą pannę młodą. Oczywiście zauważyłam, że również mąż Niemiłej źle mnie traktuje. Nie przywitał się ze mną, potem zwracał się do mnie opryskliwie. Ponieważ nie wiedziałam, o co chodzi, a lubię od razu wyjaśniać nieporozumienia, spytałam go, dlaczego tak się zachowuje. Usłyszałam, że powie mi, jak napiję się z nim wódki. Usiedliśmy więc na kanapie, nalał nam wódki i zaczęliśmy rozmawiać. Ale nic z tej rozmowy nie wynikało. Pierwsze dwa kieliszki wylałam tak dyskretnie, że się nie zorientował. Opróżnianie trzeciego zauważył. Natychmiast wyzwał mnie od najgorszych. Powiedział, że jestem „tanim, pustym kartonem do ruchania". Poprosiłam koleżankę, żeby przy niej powtórzył wszystkie te epitety. Zrobił to bez najmniejszych zahamowań.

Wsadził łapę pod sukienkę

– Postanowiłam nie robić scen, nie psuć wieczoru panieńskiego koleżanki. Tym bardziej że większość nie zorientowała się, że doszło do jakieś scysji – ciągnie Ewa. – Oczywiście nie było mi miło, ale impreza toczyła się dalej. Starałam się unikać faceta i robiłam dobrą minę. W końcu, po pierwszej w nocy, postanowiłam się pożegnać i wracać do domu. A wtedy mąż Niemiłej, siedzący z żoną na kanapie, zaczął wykrzykiwać coś do mnie przez całą salę. Podeszłam do niego, żeby zapytać, o co chodzi. A wtedy on włożył mi rękę pod sukienkę, chwycił za krocze i usiłował wepchnąć łapsko tam, gdzie nie trzeba. Doszło do szamotaniny. Jego żona wszystko obserwowała i śmiała się. To już nie uszło uwadze bawiących się. W towarzystwie oburzonej przyszłej panny młodej i jeszcze jednej koleżanki opuściłam imprezę.

Ewa niemal od razu zaczęła się zastanawiać, czy – jak tysiące kobiet – ma odpuścić i nie reagować na takie zachowanie. Bagatelizować? Szukać usprawiedliwień dla dojrzałego molestującego faceta? Próbować znaleźć winę w sobie? Udawać, że nic się nie stało? Uznała, że brak reakcji będzie przyzwoleniem na takie traktowanie kobiet. – Szczerze mówiąc, nie wierzyłam, że policja i sąd staną po mojej stronie. Ale chciałam, żeby był jakiś ślad w papierach obleśnego dziada. Że jeśli zachowa się w ten sposób wobec innej kobiety, nie będzie mógł się bronić, że zdarzyło mu się po raz pierwszy. A że kolejne dziewczyny będzie molestował, jestem pewna.

Zdecydowała się pójść na policję. Składając zeznania na ręce bardzo empatycznej policjantki z bydgoskiej komendy, upewniała się, czy jej dane będą utajnione przed molestantem. I otrzymała odpowiedź twierdzącą. – Jestem wdzięczna – podkreśla – że policjantka nie próbowała nawet sugerować, że sprowokowałam takie zachowanie. Owszem, zapytała, jak byłam ubrana (granatowa tunika do kolan, niewielki dekolt, grube, czarne rajstopy – w tamtym gronie wyglądałam jak zakonnica), ale bardziej ze względów technicznych, niż żeby usprawiedliwiać obleśne zachowanie Grzegorza P.

Klubowa kamerka

W kwietniu rozdzwoniły się telefony. Wzywane na komendę kobiety miały pretensje, że Ewa złożyła zeznania, bo teraz w ich gronie są niesnaski. A ona łamie Grzegorzowi P. życie. Na szczęście po kilku rozmowach stanęły po stronie Ewy.

Wszystko wskazuje jednak, że największym sprzymierzeńcem kobiety okazał się klubowy monitoring, który zarejestrował skandaliczne zachowanie Grzegorza P. – Na filmie są sceny, których ja wcześniej nie dostrzegłam, np. gdy wykrzykując coś do mnie, wykonuje masturbacyjne ruchy itp.

We wrześniu ub.r. odbyła się pierwsza rozprawa. Pani Ewa wspo-

eprasa.pl 4601838bb1

mina: – Na pytanie, czy mnie obraził, Grzegorz P., na co dzień przedsiębiorca montujący okna w Niemczech, stanowczo twierdził, że nic takiego nie zrobił. „A jak pan nazwał panią Ewę?", dopytywała sędzia. „No, głupią kurwą", nie miał kłopotów z pamięcią oskarżony.

Dwa miesiące później sędzia Joanna Mrozińska z Sądu Rejonowego w Bydgoszczy orzekła: „Uznaję oskarżonego za winnego tego, że (…) znieważył Ewę Z. słowami powszechnie uważanymi za obelżywe, a nadto przemocą doprowadził Ewę Z. do poddania się innej czynności seksualnej w ten sposób, że włożył rękę pod sukienkę i mocno chwycił ją za krocze (…)". Grzegorz P. dostał karę 10 miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Dodatkowo ma zapłacić Ewie Z. 2 tys. zł jako zadośćuczynienie za doznaną krzywdę i listownie ją przeprosić.

Po apelacji, w maju br., Sąd Okręgowy w Bydgoszczy zmniejszył mu karę pozbawienia wolności do trzech miesięcy, resztę zaskarżonego wyroku utrzymując w mocy.

Seks czy władza?

Ewa Z.: – I na policji, i w sądzie podkreślano seksualną stronę tego, co zaszło. A ja mam wrażenie, że on po prostu chciał pokazać, kto ma władzę. I że może zrobić ze mną wszystko, na co tylko ma ochotę.

– Pani Ewa ma dobrą intuicję – komentuje dr Monika Whiteman, psycholożka specjalizująca się w terapii osób molestowanych seksualnie. – Bo tak naprawdę w molestowaniu bardziej chodzi o władzę niż o seks. Przecież o seks jest dzisiaj bardzo łatwo. Prostytucja jest dostępna bez problemu. Ale tu chodzi o złamanie woli, oporu, zdominowanie kobiety (a coraz częściej także mężczyzny przez kobiety stojące wyżej na drabinie władzy). To największy afrodyzjak. Pokazać, że mogę sobie pozwolić na zachowania intymne, na które nie ma zezwolenia drugiej strony. Podobnie jest również, gdy dorosły molestuje dziecko. Dr Amy Zabin w książce „Conversations with a Pedophile: In the Interest of Our Children" („Rozmowy z pedofilem: W interesie naszych dzieci") pyta pedofila, co było dla niego najważniejsze w relacji seksualnej z dziećmi. I otrzymuje odpowiedź: władza.

Niespodziewany ciąg dalszy

Uznanie Grzegorza P. za winnego w zupełności satysfakcjonowało Ewę Z. Myślała, że sprawa jest zamknięta. Chciała o wszystkim zapomnieć. A tu 10 dni po wyroku bydgoski sąd rejonowy wezwał ją do pisemnego poinformowania, czy wyraża zgodę na udostępnienie Grzegorzowi P. danych adresowych i numeru konta w związku z nałożonym obowiązkiem naprawienia szkody. Ewa. Z.: – Chodziło o ten list z przeprosinami. Natychmiast popędziłam do sądu. Złożyłam pismo, w którym podałam numer konta, i stanowczo odmówiłam podania moich danych adresowych. Grzegorz P. dowiódł, że potrafi być agresywny. Ja po prostu się go boję. Podpowiedziano mi, że on może te przeprosiny przesłać do sądu, a ja sobie je stamtąd odbiorę. I taką drogę zaproponowałam w piśmie.

Tydzień później kolejny list polecony. Tym razem od adwokata Grzegorza P. Domagał się numeru konta. – Oddzwoniłam, tłumacząc, że od tygodnia jest w sądzie pismo, w którym podałam numer konta i zastrzegłam swoje dane adresowe. „Ale skazany już ma pani adres i napisał do pani list", odpowiedział beztrosko adwokat. „Skąd miał pani adres? No jak to skąd? Z akt sprawy!", parsknął zniecierpliwiony mecenas. I faktycznie, po kilku dniach dostałam jednozdaniowe przeprosiny – relacjonuje pani Ewa.

Czyja wina?

I tym razem postanowiła nie odpuszczać. Czy stróże prawa mogą tak beztrosko obchodzić się z danymi?

Mecenas Janusz Mazur: – Przede wszystkim w tej sprawie trzeba ustalić, w jaki sposób były przekazywane dane osobowe pokrzywdzonej. A powinny być odpowiednio zabezpieczone, za pomocą specjalnej wkładki w aktach. Taka wkładka zawiera adresy i inne dane pokrzywdzonej oraz świadków. Jest ona dostępna wyłącznie dla prokuratora i sądu. Za zabezpieczenie danych odpowiadają ci, którzy prowadzą postępowanie przygotowawcze, czyli policja pod nadzorem prokuratora. Ale jeśli nawet dane osobowe nie zostały zabezpieczone odpowiednio lub adwokat jakoś inaczej do nich dotarł, absolutnie nie powinien ich przekazywać swojemu klientowi. Tym bardziej że pokrzywdzona sądownie odmówiła zgody na przekazanie adresu skazanemu. Adwokat naruszył w ten sposób nie tylko zasady etyki i godności zawodowej, ale również przepisy RODO.

Wyzwał mnie od najgorszych. Powiedział, że jestem „tanim, pustym kartonem do ruchania".

W molestowaniu bardziej chodzi o władzę niż o seks.

Dr Monika Whiteman: – Dla mnie jako psychologa było w tej historii kilka dziwnych momentów. Po pierwsze, co robią mężczyźni, partnerzy bawiących się kobiet, na wieczorze panieńskim? Pilnują swego? Wielka szkoda, że przyszła panna młoda od razu grzecznie ich nie wyprosiła, bo to impreza – z definicji – tylko dla kobiet. Po drugie, zastanawia reakcja żony na skandaliczne zachowanie męża. Jeśli facet wkłada rękę w krocze obcej kobiety, a żona się śmieje, to nie jest zachowanie normalne. Świadczy o jakichś mocno zaburzonych relacjach małżeńskich. Żona bała się, że jeśli zaprotestuje, to jej się oberwie? Czuła się silna brutalną siłą męża? Poza tym mężczyzna, który tak zachowuje się wobec kobiety w obecności żony, demonstruje siłę, przemoc również wobec połowicy. Po trzecie, zaskakuje kompletna niefrasobliwość adwokata. Widać wyraźnie, że skazany jest typem przemocowym. A jeśli pojechałby pod dom pani Ewy i – nie mówię zabił – ale pobił ją czy oblał farbą, kto by za to odpowiadał?

Ewa Z.: – Złożyłam skargę do Urzędu Ochrony Danych Osobowych i do okręgowej rady adwokackiej. Z UODO otrzymałam informację, że sprawa została przekazana prezesowi bydgoskiego sądu okręgowego w celu wyjaśnienia i ustalenia osób odpowiedzialnych. I czekam. Znów czekam.

Od autorki: Imiona i inicjały nazwisk głównych bohaterów artykułu zostały zmienione.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 4601838bb1

NASZ KSIĄŻKOWY PORADNIK PREZENTOWY

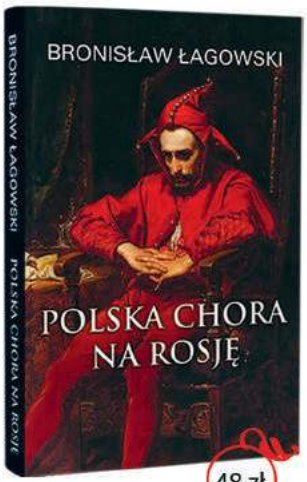

48 zł

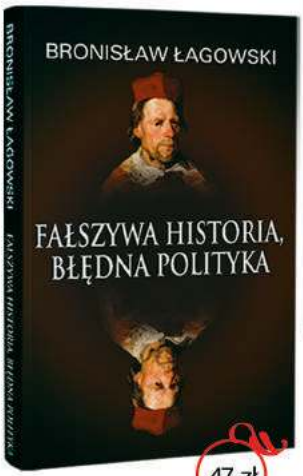

47 zł

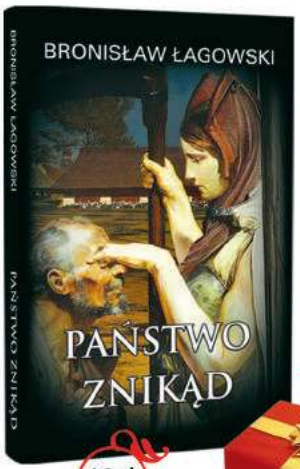

46 zł

Trzy tomy felietonów prof. Bronisława Łagowskiego o III Rzeczypospolitej. Polsce, która nie uznając PRL i odwołując się do II RP, całkowicie zniszczonej wskutek wojny, jest państwem znikąd. Polsce, która kłamstwa o swojej przeszłości uznaje za politykę historyczną i z niej wywodzi zafałszowaną politykę we wszystkich jej aspektach. Polsce, której polityka zagraniczna doprowadziła do chorobliwego stosunku do Rosji.

3 KSIĄŻKI – 120 zł

Jakimi zakładami dysponowała Polska Ludowa w 1988 r.? Dlaczego jesteśmy coraz bardziej uzależnieni od importu? Słowem, czy III rewolucja przemysłowa znów nas ominie?

52 zł

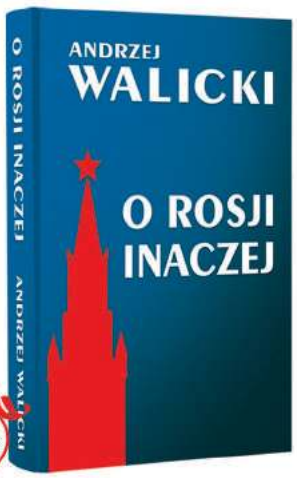

67 zł

Zbiór prac prof. Andrzeja Walickiego. Swoista summa przemyśleń na temat filozofii, historii i polityki Rosji dawnej, XIX- i XX-wiecznej, ale i dzisiejszej – Rosji Putina, oraz stosunków polsko-rosyjskich.

35 zł

Kim naprawdę jest Viktor Orbán? Populistą czy mężem opatrznościowym? Książka pokazuje jego drogę życiową, polityczne porażki i sukcesy.

Pokazanie przeszłości – jednocześnie bliskiej i dalekiej – w całej jej złożoności. Jest wyrazem niezgody na czarny obraz PRL, w której propagandyści prawicy widzą jedynie zło.

2 KSIĄŻKI – 70 zł

43 zł

42 zł

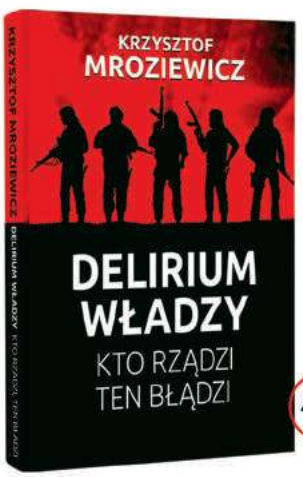

47 zł

Czy jesteśmy skazani na rządy psychopatów? Co musimy zrobić, by wyjść z zaklętego kręgu dyktatur i terroru?

eprasa.pl 4601838bb1

41 zł

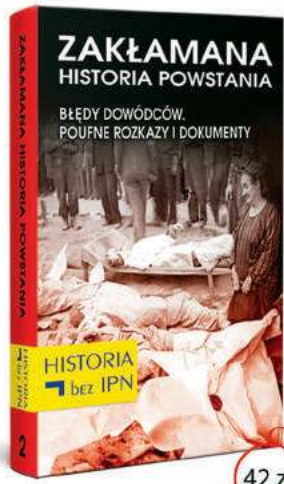

42 zł

Pomijane fakty na temat powstania warszawskiego. Niewygodne dla propagatorów oficjalnej polityki historycznej. Gdy Warszawa ginęła, dowódcy opracowywali plany powstań w kolejnych polskich miastach.

4 KSIĄŻKI – 130 zł

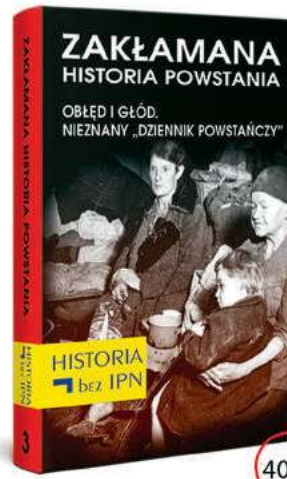

40 zł

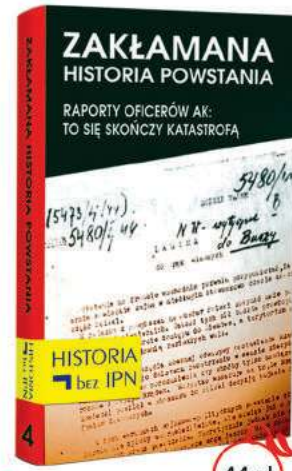

44 zł

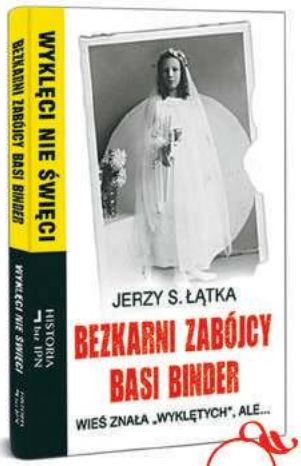

45 zł

43 zł

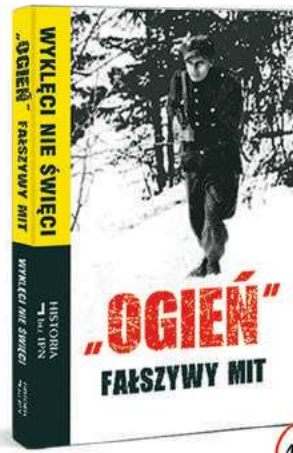

46 zł

Nie wszyscy „żołnierze wyklęci" są godni pomników, bo wielu z nich jest splamionych krwią Polaków, Żydów, Białorusinów, Słowaków. Wielu dopuściło się okrutnych zbrodni, gwałtów, napadów, rabunków.

3 KSIĄŻKI – 115 zł

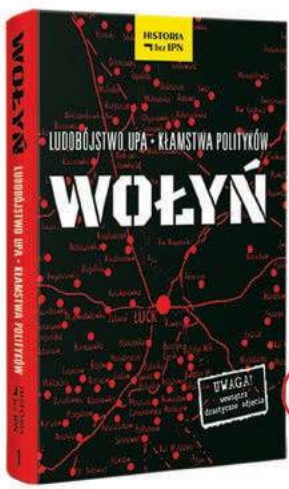

44 zł

Zbrodnie banderowców opisane przez tych, którym udało się je przeżyć, teksty publicystów i dokumentacja zdjęciowa muszą przerażać.

Historia zrywania Polski ze stalinizmem oraz stenogram dramatycznych rozmów, które w Belwederze prowadzili Gomułka z Chruszczowem.

19,90 zł

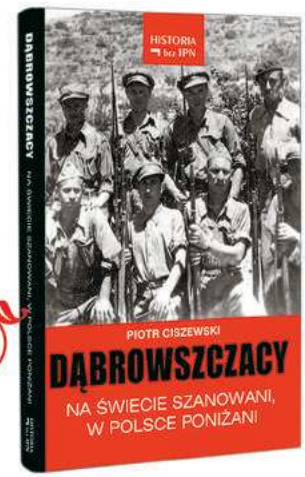

49 zł

Książka demaskuje uproszczenia i fałszerstwa prawicowej propagandy kierowanej przeciwko dąbrowszczakom. Pokazuje motywacje i tragiczne nieraz drogi życiowe ochotników i ochotniczek walczących w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii.

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książki można też zamówić na **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.** W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Zamówienia można składać do 8 grudnia 2019 r. lub do wyczerpania zapasów.
Więcej informacji tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4601838bb1

Katalońska kość niezgody

Socjaliści ponownie wygrali wybory parlamentarne w Hiszpanii. Ale czy to rozwiąże patową sytuację w Madrycie?

Wojciech Osiński

W wyborach do Kortezów Generalnych znów wygrała Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (PSOE) dotychczasowego szefa rządu mniejszościowego Pedra Sáncheza. Socjaliści zapewnili sobie 120 miejsc w 350-osobowym Kongresie Deputowanych, czyli o trzy mniej niż w ostatniej elekcji zaledwie siedem miesięcy temu. Wynik ten oznacza, że urzędujący od czerwca 2018 r. premier jest powtórnie skazany na poszukiwanie koalicjanta, by utworzyć rząd większościowy, co obecnie wydaje się zadaniem niezwykle trudnym.

Już po wyborach w kwietniu 2019 r. negocjacje z potencjalnym sojusznikiem, Unidas Podemos (Zjednoczone Możemy, wcześniej Zjednoczeni Możemy), zakończyły się fiaskiem. Zresztą lewicowy blok UP, składający się z Podemos (Możemy), Zjednoczonej Lewicy (Izquierda Unida, IU), hiszpańskich Zielonych z partii Equo oraz innych drobniejszych ruchów socjalistycznych, również zmniejszył stan posiadania z 42 do 35 mandatów. Do serii porażek hiszpańskiej lewicy trzeba dodać jeszcze jedno zjawisko – rosnące (i zauważalne w całej Europie) znaczenie ugrupowań konserwatywnych. Na drugim miejscu wylądowała bowiem centroprawicowa Partia Ludowa (Partido Popular, PP), zwiększywszy liczbę swoich posłów z 66 do 88. Wielką niespodzianką, choć nie dla wszystkich, był znakomity wynik konserwatywnej partii Vox, która wywalczyła 52 miejsca. Wcześniej w Kongresie Deputowanych zasiadało zaledwie 24 posłów tej partii. Z kolei centroprawicowe ugrupowanie Ciudadanos (Obywatele) tylko w niewielkim stopniu skorzystało na hiszpańskiej modzie na prawicę. Liberałowie z Ciudadanos uplasowali się dopiero na szóstym miejscu, zdobywając 10 mandatów i tracąc 47 miejsc.

Pstrokaty pejzaż

Ostatnie przyśpieszone wybory parlamentarne to już czwarty taki plebiscyt w ciągu czterech lat. I po raz kolejny wynik nie zwiastuje szybkiego utworzenia gabinetu. Aby koalicja rządowa osiągnęła minimalną większość 176 mandatów, socjaliści Sáncheza będą musieli wznowić negocjacje zarówno z UP, jak i z lewicowym blokiem Más País (Więcej Państwa), który zdobył trzy mandaty. Wprawdzie szef Podemos Pablo Iglesias zasygnalizował chęć wejścia do rządu (według najnowszych ustaleń dziennika „El Mundo" może zostać wicepremierem, a UP mają przypaść cztery resorty), ale to może nie wystarczyć. Tym razem oprócz socjalistów Sánchez będzie musiał zaprosić do stołu negocjacji przedstawicieli ugrupowań regionalnych. By uzyskać większość i obniżyć temperaturę sporu, premier będzie pewnie zabiegał o poparcie separatystycznej Republikańskiej Lewicy Katalonii (Esquerra Republicana de Catalunya, ERC).

10 listopada partia ta uzyskała 13 mandatów, stając się piątą siłą w Kongresie Deputowanych. Obok ERC wejdą do parlamentu dwa inne ugrupowania regionalne z wrzącego ostatnio wschodu kraju – Razem dla Katalonii (Junts per Catalunya, JxCAT) oraz Kandydatura Jedności Ludowej (Candidatura d'Unitat Popular, CUP), które zdobyły odpowiednio osiem i dwa mandaty. Zwłaszcza CUP domaga się natychmiastowego odłączenia Katalonii od Hiszpanii, popychając swój elektorat ku radykalizacji i szerząc niechęć do rządu w Madrycie.

Skład izby niższej Cortes Generales jest zatem równie wielobarwny jak całe państwo i jego społeczeństwo. W hiszpańskim kotle mieszają się m.in. interesy Kastylii, Katalonii, Kraju Basków oraz Galicii. W Kongresie Deputowanych znajdzie się 12 polityków baskijskich ugrupowań separatystycznych – Nacjonalistycznej Partii Basków (Eusko Alderdi Jeltzalea) Andoniego Ortuzara oraz lewicowego bloku Jedność Kraju Basków (Euskal Herria Bildu), które zdobyły odpowiednio siedem i pięć mandatów. Po dwa miejsca otrzymały zaś partie Navarra Suma (NA+) oraz blok Koalicji Kanaryjskiej (Coalición Canaria, CCa), a po jednym Koalicja na rzecz Melilli (Coalición por Melilla, CpM), Regionalna Partia Kantabrii (Partido Regionalista de Cantabria, PRC), Nacjonalistyczny Blok Galicyjski (Bloque Nacionalista Galego, BNG) oraz Teruel Existe. Czy ten pstrokaty skład parlamentu jest w stanie wyjść z patowej sytuacji? Dotychczasowa niechęć liderów partii lewicowych do sojuszu z Sánchezem wynikała ze strachu przed podzieleniem jego losu. Po pierwsze, zauważyli oni, że jego niezłomność, będąca cnotą u opozycjonisty, zamieniła się w upór i skłonność do popełniania błędów w prowadzeniu kampanii. Po drugie, w czasach rosnących ambicji państwotwórczych Katalonii wchodzenie do rządu to igranie z ogniem.

Kluczowym tematem wyborów parlamentarnych był separatyzm.

Akt deheroizacji

Krajobraz polityczny jest więc lustrzanym odbiciem ostatniej wojny wyborczej, w której głównymi pociskami stały się separatyzm i historia. Przyczyny strat rządzącej PSOE hiszpańscy komentatorzy doszukują się zaś w pomyłkach samego premiera. – Zamiast poruszyć w kampanii pilne tematy, takie jak gospodarka i prawo pracy osadzone na absurdach poprzedniego rządu konserwatystów, Sánchez chciał udowodnić

eprasa.pl 4601838bb1

Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza Pedra Sáncheza zdobyła 120 miejsc w 350-osobowym Kongresie Deputowanych.

swoją lewicowość, zarządzając ekshumację gen. Franco, co ożywiło podziały z lat wojny domowej – oburza się Natalia Junquera, publicystka dziennika „El País".

Ekshumacji szczątków byłego dyktatora dokonano w końcu października. Kilka tygodni wcześniej hiszpański Sąd Najwyższy przyznał rządowi Sáncheza prawo przeniesienia ich z Doliny Poległych do rodzinnego grobu przy pałacu El Pardo, co zwolennicy caudilla uznali za „akt deheroizacji". Wyniesieniu trumny z mauzoleum towarzyszyły okrzyki „Niech żyje Franco!". Dwa tygodnie wcześniej jego sympatycy wysłali nawet list do papieża Franciszka, w którym prosili o interwencję. Podkreślali, że Franco walczył przeciwko wrogim Kościołowi marksistom, którzy w latach wojny domowej 1936-1939 zamordowali wielu duchownych. Natomiast przedstawiciele PSOE i wyborcy lewicy przypominali powojenny terror zwycięskiego reżimu Franco, prześladującego los rojos (czerwonych). Wielu głównych przeciwników caudilla po wyjściu z więzienia było zaledwie cieniem człowieka i wkrótce umierało. Jednak byli oni tylko uwieńczeniem całego korowodu śmierci za rządów frankistowskich. Liczba ofiar sięga ok. 30 tys., choć akurat w tej kwestii większość dzisiejszych czcicieli dyktatora nabrała wody w usta. – Gloryfikacja dyktatora w tak ważnym miejscu publicznym jest anomalią w każdej demokracji europejskiej – utrzymywał Sánchez we wrześniu. – Premier tuż przed wyborami dzieli rodaków i rozdrapuje zabliźnione rany – oburzał się z kolei lider opozycji Pablo Casado z PP. Tak czy inaczej, podziały wśród Hiszpanów w tej kwestii są ogromne i obu stronom trudno odmówić logiki i racji. Ale ekshumacja gen. Franco wzbudziła gniewne reakcje także po stronie lewicy. Po wyborach życzliwi jej publicyści przekonywali, że przyniosła ona socjalistom skutki odwrotne do zamierzonych. Wielu wyborców, zdobytych kiedyś dzięki zmiękczeniu wizerunku i rozwinięciu oferty socjalnej, powędrowało do prawicowej partii Vox Santiaga Abascala.

Gniew separatystów

Jednak kluczowym tematem wyborów parlamentarnych był niewątpliwie separatyzm. Niemal wszystkie ugrupowania skupiły się na wydarzeniach w Katalonii. – Szczególnie mniejsze partie polityczne drążyły przed wyborami ten temat, bo jest obecnie gwarancją zdobycia nowych głosów – tłumaczy Juan Carlos Jiménez Redondo z Uniwersytetu CEU San Pablo. Zdaniem madryckiego politologa obok ekshumacji gen. Franco to właśnie zamieszki wzniecone przez katalońskich separatystów wzmocniły prawą stronę hiszpańskiej sceny politycznej. Katalonia miesiącami nie schodziła z pierwszych stron gazet i czołówek serwisów informacyjnych, mobilizując także niegłosujący wcześniej elektorat, który 10 listopada postanowił postawić krzyżyk obok PP albo Vox.

Kochamy nasz region, ale chcemy wreszcie spokoju – mówi coraz więcej Katalończyków.

Tymczasem sytuacja na wschodzie kraju niezmiennie jest napięta. Tuż przed wyborami w wiecach i blokadach dróg w Katalonii uczestniczyło kilkadziesiąt tysięcy separatystów. Natomiast dzień po wyborach zablokowali oni autostradę AP7 łączącą północno-wschodnią część Hiszpanii z Francją. Głównym organizatorem protestów jest platforma internetowa Tsunami Democratic, która według

FOT. FORUM

eprasa.pl 4601838bb1

ustaleń hiszpańskiej policji może mieć związek z jedną z czołowych katalońskich partii separatystycznych, a nawet z przedstawicielami lokalnego rządu w Barcelonie. Separatyści pojawili się na granicy z Francją z flagami Katalonii i transparentami „Hiszpanio, usiądź i rozmawiaj" (nawiasem mówiąc, wielu Francuzów z rejonu przygranicznego sympatyzuje z katalońskimi buntownikami. Język oksytański, którym często się posługują, wyłącznie w Katalonii ma status języka urzędowego). Blokada autostrady, która zatrzymała setki samochodów osobowych i ciężarówek, stanęła kilka godzin po apelu szefa autonomicznego rządu Katalonii Quima Torry, który wezwał Madryt do rozpoczęcia negocjacji w sprawie uregulowania sytuacji w jego regionie. Kroplą przepełniającą kielich katalońskiej goryczy był bowiem wyrok hiszpańskiego Sądu Najwyższego, który 14 października skazał dziewięciu liderów separatystów na kary od dziewięciu do 13 lat więzienia. Obarczono ich odpowiedzialnością za organizację referendum niepodległościowego w 2017 r. Decyzja madryckiego Sądu Najwyższego ściągnęła gromy na władze centralne i wyprowadziła na ulice masy ludzi domagających się wypuszczenia katalońskich polityków i działaczy. Wybuchły zamieszki, a stanowcza reakcja policji tylko wzmocniła gniew separatystów.

Odwrotne znaki wartości

Październikowy werdykt hiszpańskiego Sądu Najwyższego w sprawie referendum z 2017 r. miał podobny efekt jak ekshumacja gen. Franco. Zdaniem polityków Partii Ludowej oraz Vox kary dla katalońskich rebeliantów były zbyt łagodne, jako że prokuratura krajowa domagała się właściwie 25 lat pozbawienia wolności. W Barcelonie zaś wyrok SN został skomentowany dokładnie odwrotnie. Katalońskie media uznały go za zbyt surowy. W gorący spór włączył się nawet Pep Guardiola, ikona Katalończyków, obecnie trener angielskiego klubu piłkarskiego Manchester City. – Usiądźcie i zacznijcie wreszcie rozmawiać. Katalończycy nie chcą niczego innego – przemówił Guardiola w krótkim nagraniu pod adresem Madrytu. I trudno nie odnieść wrażenia, że większość jego rodaków myśli podobnie. Pomijając radykalnych zwolenników idei państwa autonomicznego, Katalończycy na ogół mają dość wieloletnich protestów i przemocy. Zanim decyzje w Madrycie rozpaliły emocje Hiszpanów do tego stopnia, że odwołano nawet El Clásico (mecz pomiędzy Realem Madryt a FC Barceloną), we wrześniowych wiecach niepodległościowych w Katalonii uczestniczyło znacznie mniej ludzi niż wcześniej.

Oprócz socjalistów premier Sánchez będzie musiał zaprosić do negocjacji przedstawicieli ugrupowań regionalnych.

Dwa lata temu sytuacja wyglądała tam zupełnie inaczej. Jesienią 2017 r. odbyło się wspomniane referendum, mimo że hiszpański Trybunał Konstytucyjny uznał je za niezgodne z prawem. Po tym plebiscycie lokalny parlament w Barcelonie dumnie proklamował niepodległość regionu, ściągając na siebie oburzenie konserwatywnego rządu Mariana Rajoya (PP). Przewodniczący lokalnego organu Generalitat de Catalunya Carles Puigdemont został usunięty z urzędu i zbiegł przed hiszpańskim wymiarem sprawiedliwości do Belgii, gdzie przebywa po dziś dzień. Do chwili obecnej nie zdołał jednak wytłumaczyć brukselskim urzędnikom, w jaki sposób chciałby wyprowadzić swój region spod jurysdykcji Madrytu.

Premier będzie pewnie zabiegał o poparcie ze strony separatystycznej Republikańskiej Lewicy Katalonii.

Tymczasem z punktu widzenia większości Katalończyków zwycięstwo PSOE i perspektywa zawarcia przez nią sojuszu z UP oraz ERC nie jest wcale takim złym scenariuszem. Owszem, Sánchez po kilkunastu miesiącach wyczerpał w oczach wielu wyborców kredyt zaufania, a jego rząd mniejszościowy stracił efekt świeżości. Z drugiej strony nawet nieżyczliwi mu komentatorzy podzielają przekonanie, że socjalistyczny rząd na glinianych nogach jest lepszy niż ustabilizowanie trendów sondażowych partii Vox, niezdolnej zaoferować Hiszpanom nic poza straszeniem rozpadem państwa. Koalicja rządowa składająca się z PP, Vox i Cuidadanos mogłaby już definitywnie położyć kres porozumieniu między Madrytem a Barceloną. To byłoby smutne, ponieważ na Katalończyków przestał już działać argument niepodległości za wszelką cenę. Po latach protestów, zderzających się z madryckim murem, dochodzą oni do wniosku, że przekształcenie ich regionu w państwo jest nierozstrzygalnym sporem pomiędzy sercem a rozumem.

Zresztą mieszkańcy Katalonii nie chcą już dawać Abascalowi i jego akolitom pożywki politycznej. Natomiast Pedro Sánchez mimo doznawanych afrontów wciąż wysyła w ich kierunku pojednawcze sygnały. – Być może katalońska partia lewicowa ERC poprze koalicję PSOE-UP, choć szczerze mówiąc, nie wiem, czy naprawdę ustabilizuje ona sytuację polityczną w Katalonii – powątpiewa politolog Juan Carlos Jiménez Redondo. Największymi optymistami okazują się sami Katalończycy. Wbrew plotkom szerzonym przez radykalnych separatystów oraz hiszpańską ultraprawicę wysyłają dziś taki mniej więcej przekaz: „Kochamy nasz region, ale chcemy wreszcie spokoju". Tak jak 52-letnia Melinda, właścicielka stoiska z warzywami na znanym barcelońskim rynku Mercat de la Boqueria. – Jeśli rządzący w Madrycie wyszliby nam naprzeciw choćby tylko w kwestii podatków, sytuacja szybko by się uspokoiła. Domagamy się jedynie tych samych praw, które dzięki długoletnim staraniom uzyskali np. Baskowie – tłumaczy. Rzeczywiście, w przeciwieństwie do Katalonii Kraj Basków dysponuje własnym budżetem oraz autonomią, którą nie może się pochwalić bodaj żaden inny region w państwach UE. – Ale to nie interesuje włodarzy centralnych, którzy myślą wyłącznie w kategoriach zwycięstwa i klęski – opowiada Melinda.

Wojciech Osiński

eprasa.pl 4601838bb1

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja
ze Stanów Zjednoczonych

Polonijna szkoła trąci myszką

Mnóstwo polskich szkół w USA z powodów finansowych do dziś jest związanych z polskimi parafiami. A tam ostatnie słowo ma proboszcz

Dwujęzyczność jest dziś modna, co wcale nie znaczy, że dwujęzyczna edukacja to bułka z masłem. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie przybywa polonijnych dzieci urodzonych już na miejscu i coraz częściej w rodzinach, gdzie tylko jedno z rodziców włada polskim. Polonijna edukacja traktująca język polski jako wykładowy jest na rozdrożu. Jeśli pójdzie w dobrą stronę, może ugrać dużo więcej niż samą znajomość języka. Może pomóc odświeżyć wizerunek Polski, a nawet zbudować go od nowa.

Kapitał dodatkowy

W trzeci weekend października Polonia na świecie po raz piąty obchodziła nowe święto, Polonijny Dzień Dwujęzyczności. Jego bohaterem jest uczeń, a wszystkie wydarzenia i atrakcje mają go zachęcić do nauki polskiego i kultywowania związków z ojczyzną przodków. Pomysł święta narodził się w fundacji kulturalno-oświatowej Dobra Polska Szkoła (DPS) w Nowym Jorku. Niecałe 10 lat temu DPS zaczęła działać jako portal informacyjny dla rodziców dzieci ze szkół polskich w Nowym Jorku, dziś jest największym na świecie polonijnym hubem do szerzenia i propagowania informacji o dwujęzycznym wychowaniu.

– Idea polonijnego święta, które zachęca do celebracji polskości i języka polskiego, a jednocześnie podkreśla, że dwujęzyczność to dodatkowy kapitał, była nowatorska. Okazało się, że współgra z odczuciami Polonii nie tylko w USA, ale także na całym świecie. W ciągu pięciu lat liczba ośrodków obchodzących PDD wzrosła z sześciu (w roku 2015) do ponad stu, święto ma dziś entuzjastów niemal na wszystkich kontynentach – wyjaśnia Marta Kustek, redaktor naczelna DPS.

Wytłumaczenie jest proste. Polonia, zwłaszcza amerykańska, ma w kalendarzu wachlarz świąt nastawionych na pamięć o ojczyźnie i historii przodków. Wszystkie jednak cechuje spora hermetyczność kulturowa, a zwłaszcza językowa. Gros imprez polonijnych pozostaje związanych z parafią oraz świętami katolickimi, a językiem imprez organizowanych przez największe polonijne instytucje kultury i sztuki jest polski. To automatycznie odcina od nich grono tzw. Polish-Americans – Amerykanów o polskich korzeniach, lecz językiem polskim niewładających. A tych przybywa. Ameryka po raz pierwszy od stuleci nie jest już dla Polaków ziemią obiecaną numer jeden, wyhamowuje więc fala świeżej imigracji, która stanowiła trzon Polonii. Rośnie za to liczba polonijnych dzieci urodzonych już tu, i to w rodzinach mieszanych, czyli OPOL-owych (OPOL – *One Parent One Language*), w których proces przekazywania polskiego nowemu pokoleniu jest z założenia trudniejszy.

Dzień Dwujęzyczności w Polskiej Szkole przy parafii św. Jadwigi w Trenton.

Ewa Koch, nauczycielka w Szkole im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego w Chicago i przewodnicząca Zrzeszenia Nauczycieli Polskich w USA, potwierdza: – W naszej

eprasa.pl 4601838bb1

szkole 100% uczniów urodziło się w Stanach i tak jest w większości szkół w naszym rejonie. Szacunkowo mamy w USA ok. 30 tys. polskich uczniów. Dzieci zmieniają się nam o wiele szybciej niż podręczniki i reszta systemu. Wyzwania są ogromne.

Walka o dwujęzyczność polskich Amerykanów nabiera w tym świetle krytycznego znaczenia. Jeżeli ją przegramy, ryzykujemy – i to w całkiem niedalekiej przyszłości – zanik polskich akcentów na społeczno-kulturowym patchworku Ameryki.

Za ideą Polonijnego Dnia Dwujęzyczności, jak zresztą za innymi akcjami polonijnych aktywistów w USA, w tym polityków i dziennikarzy, stało więc także wyprowadzanie polskości na szersze wody, czyli również promocja Polski po angielsku, w międzynarodowym gronie.

Ludzie dobrej woli

O to, jakie konkretne przeszkody wyrastają dziś przed polonijną szkołą, zapytałam nauczycielki pracujące na Wschodnim Wybrzeżu.

Danuta Świątek ucząca w Polskiej Szkole im. Pułaskiego w South Hackensack w stanie New Jersey trzy lata temu była też inicjatorką badań na temat znajomości i używania języka polskiego we współczesnej polonijnej rodzinie na Wschodnim Wybrzeżu. – Jednym z największych wyzwań dla polonijnego nauczyciela jest właściwy podręcznik do nauki. Zajęcia w sobotniej szkole trwają trzy-cztery godziny. Dzisiejsi uczniowie często przychodzą do nas, by uczyć się polskiego od podstaw. Tymczasem podstawy programowe dla polonijnej edukacji bazują na już nieaktualnym założeniu, że polonijny uczeń polskim włada, i to na tyle dobrze, że szkoła ma go dokształcać w zakresie literatury, historii, geografii i kultury polskiej. Trzeba więc organizować edukację w polskich szkołach w podobny sposób jak nauczanie języków obcych w szkołach amerykańskich, z naciskiem na rozwój słownictwa, rozumienie czytanego tekstu i poprawną wymowę. Dopiero potem możemy mówić o zajęciach z literatury, o bardziej szczegółowej wiedzy historycznej i geograficznej przekazywanej po polsku – wyjaśnia i dodaje: – Musimy zawalczyć o bazę, o funkcjonalną dwujęzyczność nowego pokolenia Polonii, żeby na niej móc budować resztę.

Justyna Bereza, nauczycielka w Akademii Języka Polskiego w Manchester w stanie New Jersey i zdobywczyni tytułu Polonijnego Nauczyciela Roku 2017, zwraca uwagę na kiepskie warunki lokalowe i finansowe polskiej szkoły, dalekie od wymarzonych, a czasem nawet przyzwoitych. – Szkoły polonijne w USA to w większości szkoły społeczne, które nie mają własnego budynku. Lekcje odbywają się w salkach parafialnych, w adaptowanych pomieszczeniach lub w szkołach amerykańskich. Miejsca te są traktowane jako przejściowe i w małym stopniu kojarzą się z polską szkołą. Bardzo brakuje tej atmosfery. Co więcej, w amerykańskich placówkach często wielu rzeczy nam nie wolno, w tym korzystać z obecnego tam sprzętu, nawet z internetu! W dobie nowoczesnych technologii polonijna szkoła, niestety, trąci myszką. To wszystko przekłada się na stosunek do nauki i jej efekty – zaznacza.

Wiele krajów w Europie, a także Kanada i Australia, ma rządowe i samorządowe programy dofinansowywania szkół oraz projektów realizujących cele edukacyjne ważne dla społeczności etnicznych. Ameryka tego rodzaju wsparcia nikomu nie udziela. Sytuacja szkół etnicznych w USA zawsze więc jest wizytówką z jednej strony możliwości finansowych lokalnej społeczności, a z drugiej – zaangażowania w jej sprawy rządu danego kraju. Amerykańska Polonia, którą Polska wciąż traktuje bardziej jak skarbonkę, z której się wyjmuje, musi sobie radzić sama. To jednak w dzisiejszych czasach coraz trudniejsze z uwagi na rekordowo wysokie czynsze oraz ceny nieruchomości. Życie w Ameryce i prowadzenie działalności publicznej jest dziś dużo droższe niż jeszcze 30 lat temu.

Jeżeli polska szkoła ma kilkuset uczniów – na Wschodnim Wybrzeżu i w Chicago wciąż takie istnieją – z pobieranego od nich czesnego da się wynająć lokal i symbolicznie opłacić nauczycieli. Pieniądze na inne potrzeby pochodzą z datków, od sponsorów i z akcji fundraisingowych, które szkoły urządzają non stop, niekiedy kosztem lekcji, a zawsze kosztem dodatkowego czasu ludzi dobrej woli.

Mnóstwo polskich szkół właśnie z powodów finansowych do dziś jest związanych z polskimi parafiami, tak jak szkoła w Denver w stanie Kolorado, gdzie mieszkam. Szkoła działa w budynku należącym do Kościoła i formalnie jest częścią parafii z kontem podpiętym pod konto parafialne. Choć kieruje nią dyrektor wspomagany przez radę rodzicielską, ostatnie słowo zawsze należy do proboszcza.

Kołem ratunkowym są granty od polskiego rządu. Sęk w tym, że nie mają one charakteru systemowego. Przyznawane są w drodze konkursów nastawionych na premiowanie konkretnych projektów, które podmioty polonijne realizują potem we współpracy z polskimi fundacjami. Wygrywają, jak to w konkursach, pomysły ciekawe i nowe. Polonijny Dzień Dwujęzyczności miał szansę dotrzeć do polskich szkół, bo był takim pomysłem. Regularne i cierpliwe dofinansowywanie szkolnej codzienności to już inna rzecz. Choć, jak wyjaśnia Ewa Koch, i tak jest lepiej, niż było. – Dofinansowania są przyznawane na dokształcanie nauczycieli, organizację promocji nauczania języka polskiego, konkursy dla uczniów i wyjazdy wakacyjne do Polski dla dzieci i młodzieży. Od kilku lat szkoły uzyskują dofinansowanie na opłaty za wynajem. To pomaga nam w realizacji wielu projektów.

A tymczasem coraz bardziej anglojęzyczna i zaaklimatyzowana Polonia masowo opuszcza tradycyjne enklawy polskości w Chicago i na Wschodnim Wybrzeżu, rozjeżdżając

Zajęcia w sobotniej szkole trwają trzy-cztery godziny. Dzisiejsi uczniowie często przychodzą, by uczyć się polskiego od podstaw.

W amerykańskich placówkach wielu rzeczy nam nie wolno, w tym korzystać z obecnego tam sprzętu, nawet z internetu.

eprasa.pl 4601838bb1

się po całej Ameryce. Preferuje kierunek na zachód, bez oporów osiedla się w małych miejscowościach, gdzie nie ma wielu rodaków. Koniec ery dużych polskich szkół, które stać na wynajem lokalu, nadciąga, może nie milowymi, ale i tak wielkimi krokami. Dla młodszej, nowoczesnej Polonii zbyt ścisły związek polskiej szkoły z parafią bywa zaś czynnikiem przesądzającym o tym, by nie posyłać tam dziecka na naukę.

Podwójnie fantastyczni

Zakładanie nowych polskich szkół na miarę potrzeb współczesnych społeczności polonijnych nie jest takie proste ze względu na wspomniane koszty. Czy amerykańska Polonia woła do Polski o pomoc, zwłaszcza finansową? I tak, i nie. Finanse są ważne, ale ważniejsza jest zmiana myślenia o polonijnej szkole i znaczeniu dwujęzyczności wśród Polonii, większa uwaga oraz wsparcie intelektualne, społeczne i dydaktyczne. To wołanie o potraktowanie inwestycji w dwujęzyczność najmłodszych pokoleń Polonii jako projektu strategicznego także dla Polski. Bo może to przynieść wymierne korzyści.

Ameryka jest krajem specyficznym, tu wizerunek znaczy wszystko i nie ma w tym przesady. Historia i nawyki światopoglądowe USA, kraju stworzonego przez imigrantów, sprawiają, że wizerunki narodów tworzą nie przyjeżdżający z wizytą politycy, ale członkowie społeczności etnicznych zamieszkujących ten kontynent – poprzez codzienne postawy, opinie i działania. Polska też w końcu zrozumiała sprawczą moc wizerunku w USA – dowodem na to są wielkie środki przeznaczone ostatnio na tzw. promocję naszego kraju. Na razie bez skutku, bo żadna firma PR-owska z Waszyngtonu, żaden jacht pomalowany w polskie barwy narodowe ani rodzina akademika na etacie w amerykańskiej uczelni nie załatwią tego samodzielnie. Wizerunek Polski mogą za to poprawić zastępy ludzi żyjących po tej stronie świata, związanych z Polską językowo i kulturowo i mających świadomość, że są dla ojczyzny ważni jako kapitał ludzki, intelektualny i polityczny.

Kilkadziesiąt lat temu nikomu w USA nie przychodziło np. do głowy, że Irlandia może być krajem turystycznym, gdzie inwestuje się pieniądze. Z Włochami było tylko trochę lepiej, ratowały je znane zabytki. I jedna, i druga nacja miała w Ameryce opinię leni, pijusów i mafiosów, a imigranci funkcjonowali w zamkniętych kręgach. Dzisiaj włoskie lub irlandzkie korzenie to powód do dumy. Irlandzkie i włoskie święta, elementy kultury i kuchni stały się integralną częścią kultury amerykańskiej. Ta przemiana nie dokonała się spontanicznie.

W obu przypadkach była wynikiem przemyślanych działań. Imigranci pracowali „w terenie", niosąc pozytywny i atrakcyjny przekaz o ojczyźnie. Z ojczyzny z kolei docierało do nich wsparcie intelektualne i instytucjonalne, a jeśli trzeba, finansowe. Rozbudzone zainteresowanie kulturą i dziedzictwem obu nacji przetarło ścieżki do stworzenia ich silnego lobby politycznego w USA. Kupony od tego sukcesu oba kraje odcinają do dziś.

Inwestycja w dwujęzyczność Polonii może stworzyć szansę na podobny sukces wizerunkowy. Moment na to jest tym lepszy, że zaistniały naprawdę bardzo korzystne warunki do wychodzenia z językiem polskim i polską kulturą do szerszego odbiorcy.

Po pierwsze, dzięki niedawnym (2015 r.) zmianom w amerykańskich przepisach o dokształcaniu dzieci dwujęzycznych mamy możliwość tworzenia klas o profilu polsko-angielskim na terenie amerykańskich szkół publicznych. Amerykańskie szkoły dostają środki na tworzenie dwujęzycznych klas, jeśli do szkoły uczęszcza przynajmniej dwadzieścioro dzieci posługujących się dodatkowo danym językiem obcym. Programy polsko-angielskie dzięki obywatelskim akcjom Polonii dostępne są już w ok. 50 szkołach w USA. Za film „The Bilingual Revolution po polsku" opowiadający historię starań o tworzenie tych programów jego autorzy i aktywiści na rzecz dwujęzyczności, Andrzej Cierkosz, Tomasz Magierski i Sylvester Lukasiewicz, dostali złote statuetki w konkursie Communicator Awards organizowanym przez stowarzyszenie filmowe Academy of Interactive and Visual Arts (AIVA).

Jednym z największych wyzwań dla polonijnego nauczyciela jest właściwy podręcznik.

Po drugie, po latach zabiegów udało się wprowadzić do amerykańskich liceów egzamin z języka polskiego w ramach programu Seal Of Biliteracy (Pieczęć Dwujęzyczności). Zdany egzamin przekłada się na dodatkowe punkty kredytowe oferowane przez każdą amerykańską uczelnię, a dla pracodawców na całym świecie jest rozpoznawalnym, honorowanym dokumentem potwierdzającym biegłość w używaniu języka obcego. To motywacja, by uczyć się polskiego, nie tylko dla polonijnej młodzieży, ale i dla wszystkich zainteresowanych Polską i językiem polskim.

„Dwujęzyczni – podwójnie fantastyczni!" – to jedno z haseł towarzyszących PDD, ale też pojawiające się coraz częściej w gazetkach szkolnych i w klasach w polskich szkołach. Powinniśmy się postarać, by ta energia nie została zmarnowana.

Eliza Sarnacka-Mahoney

FOT. DOBRA POLSKA SZKOŁA (2)

eprasa.pl 4601838bb1

Kanadyjski eksperyment

Różnorodność jest naszą siłą – to hasło realizowane na co dzień w Kanadzie

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

Od prawie 30 lat mieszkam w innym kraju niż ten, w którym się urodziłam. Kanadę sobie wybrałam. Może z racji wykonywanego zawodu dziennikarza jest to mieszkanie świadome. Co to znaczy? Że na co dzień analizuję, jak działa kanadyjskie społeczeństwo, jak wyglądają w nim ludzkie relacje. Mimo tylu lat ten kraj niezmiennie mnie zadziwia i fascynuje.

Wielobarwna mozaika

Kanada to kraj „na północ od Stanów". Dla większości Europejczyków oba te państwa są prawie tym samym, a tymczasem, choć oba zbudowane zostały przez imigrantów, mają zupełnie różny etos kulturowy. Kiedy w USA imigranci mieli się asymilować w tzw. tyglu (*melting pot*), rząd premiera Pierre'a Elliotta Trudeau (ojca aktualnego premiera Justina) już prawie pół wieku temu, w 1971 r., podjął decyzję, że Kanada stworzy inny model niż jej Wielki Brat – przyjmie politykę multikulturalizmu. To jedyny kraj, któremu udał się ten eksperyment. Europejskie konotacje multi-kulti są negatywne. To zrozumiałe, bo europejska praktyka ma niewiele wspólnego z porządkiem społecznym (i prawnym), który z powodzeniem działa w Kanadzie.

Na czym polega kanadyjski multikulturalizm? W uproszczeniu: nie ma dominującej kultury, tzw. mainstreamu, do której nowo przybyli muszą się dostosowywać za cenę rezygnacji ze swojej kultury, wyznania czy obyczajowości. Kultura kanadyjska to mozaika złożona z tego, co każdy z nas, imigrantów, przywiózł ze sobą. Państwo zachęca nas (także finansowo) do utrzymywania naszych kultur, hołdując przekonaniu, które znalazło się u podstaw całej idei w latach 70., że szacunek, z jakim kraj podchodzi do każdej grupy etnicznej, każdej kultury i religii, spowoduje, że obywatele także będą otwarci na odmienne od swoich wierzenia, obyczaje i kultury. Stąd motto: *Diversity is our strength* (Różnorodność jest naszą siłą), realizowane na co dzień w kanadyjskim życiu.

Utopia? Nie. To działa! Każdego, kto przyjeżdża do Kanady, uderza różnorodność ludzi – kolorów skóry, ubiorów, języków. Wszak kanadyjskie społeczeństwo składa się z ponad 250 grup etnicznych. W ostatnim spisie powszechnym 40% ludności podało więcej niż jedno pochodzenie etniczne. To wielobarwna mozaika. Widać ją wszędzie – w szkołach, w urzędach, w sklepach, na ulicy. Nie tylko zresztą za ladami sklepów czy na zmywaku. Także w kancelariach adwokackich, salach konferencyjnych wielkich firm, w parlamencie federalnym i na niższych szczeblach władzy, w pokojach nauczycielskich, w policji.

Numer 911 (policja, straż pożarna i pogotowie) działa w ponad 170 językach. Dzwonisz, mówisz w jednym z tych języków i zaraz zgłasza się ktoś, aby pomóc. To bardzo ważne dla chińskich (lub polskich) mam czy babć, sprowadzonych tu w ramach łączenia rodzin, bo państwo uważa, że rodziny powinny być razem.

Numer 911 – policja, straż pożarna i pogotowie – działa w ponad 170 językach.

Oczywiście małe miejscowości nie są aż tak barwne, ale i tam działają chińskie restauracje czy arabskie stacje benzynowe. Lokalne społeczności otwierają się na przybyszów, np. syryjskich uchodźców czy niegdyś wietnamskich *boat people*, często wspólnie składając się na to, aby ich sprowadzić i ustawić na początek.

Prawo wymaga od wszystkich szacunku wobec innych. I wpajany jest on w szkołach, na co dzień praktykowany w miejscach pracy, w przestrzeni publicznej. Nie ma zgody na pełne rasizmu i nienawiści religijnej artykuły w prasie czy wystąpienia w mediach. Za wyciągnięte nawet z przeszłości wypowiedzi w tym duchu partie rezygnują z kandydatów, wydalają ich ze swoich szeregów. Czy to prawica, czy lewica, tego się po prostu nie akceptuje.

Nie zło konieczne, ale bogactwo

Kanada przyjmie w tym roku ok. 330 tys. imigrantów. Są niezbędni, aby ten ogromny kraj funkcjonował. Nie są złem koniecznym, ale bogactwem.

Na imigrantów z jakiejkolwiek kategorii (a jest ich kilka, m.in. humanitarna, łączenie rodzin) czeka rozbudowany i efektywnie działający system wsparcia – bezpłatne kursy językowe, pomoc w poszukiwaniu pracy, służby socjalne, szkolenia zawodowe. W agencjach pomocy dla imigrantów pracują często sami imigranci, którzy dobrze pamiętają swoje początki i to, jak ważna była wtedy wyciągnięta na czas ręka. Nie jesteś sam, kiedy tu przyjeżdżasz i dostajesz stały pobyt, tzw. papiery. Wszystkim zależy na tym, aby ci się powiodło, bo wtedy będziesz lepszym obywatelem i dla nikogo nie będziesz ciężarem. Proste.

Ale przecież obyczajowość przyjezdnych nie zawsze daje się w pełni zaakceptować. Co się dzieje, kiedy dochodzi do konfliktu? Co robić, jeżeli do policji, która chce odzwierciedlać wieloetniczne społeczeństwo i zachęca do podejmowania w niej pracy ludzi ze wszystkich grup etnicznych, chce wstąpić Sikh w turbanie, nieodłącznym elemencie jego stroju? Nie ma sprzeciwu. Jazda motocyklem w turbanach bez obowiązujących wszystkich kasków? Nie, bo chodzi tu o bezpieczeństwo. Sami Hindusi mają na ten temat zdroworozsądkowe zdanie.

Ale są też nieprzekraczalne dla wszystkich granice – ustawowo zakazane jest wielożeństwo, małżeństwa dzieci, obrzezanie dziewczynek, przemoc domowa.

Wzajemny szacunek wymagany – i okazywany – jest nie tylko wobec inności kulturowej czy religijnej, ale

eprasa.pl 4601838bb1

Mundur plus turban? W Kanadzie to żaden problem.

także wobec ludzi niepełnosprawnych, osób o odmiennej orientacji seksualnej. W tym kraju każdy ma się czuć bezpiecznie i ma być mile widziany.

Na otwarcie mówiącą o swojej orientacji seksualnej poprzednią premier Ontario Kathleen Wynne, lesbijkę, głosowali także muzułmanie i wyznawcy hinduizmu. Noszący turban szef partii federalnej NDP Jagmeet Singh nie dziwi nikogo, podobnie jak minister obrony Kanady Harjit Sajjan.

Czy wszyscy tak czują i myślą? Pewnie nie, bo od czasu do czasu pojawiają się pełne nienawiści napisy na murach lub dochodzi do aktów wandalizmu o podłożu rasowym. Ale każdy taki przypadek jest piętnowany w mediach, ukazywany jako coś skandalicznego i niedopuszczalnego. Za to trafia się za kratki.

Respekt dla przybysza

Przez kilka lat uczyłam imigrantów angielskiego. Miałam studentów z całego świata, wszystkich ras i wyznań. Kiedy po kilku miesiącach intensywnego kursu mogli już mówić o wszystkim, rozmawialiśmy dużo o odmienności kultur, religii. Dzielili się opowieściami, tłumaczyli swoje obyczaje, np. aranżowane małżeństwa w Sri Lance, opowiadali o koszmarnych przejściach w ukochanych ojczyznach, o śmierci najbliższych, o drodze do normalnego świata. Mówili o tym, czego pragną, a wszyscy pragnęli dokładnie tego samego – spokoju, bezpieczeństwa i dobrego życia dla swoich dzieci. Początkowa nieufność wobec kolegów z klasy szybko przeradzała się w zainteresowanie i sympatię – próbowali swoich potraw, pokazywali zdjęcia z ojczystych krajów, wszyscy tańczyliśmy w takt ich muzyki. Poznawali na co dzień inny świat i coraz bardziej szanowali Kanadę z jej różnorodnością i gościnnością. Po zakończeniu kursu żegnali się ze łzami w oczach ze swoimi kolegami z innych kultur i wchodzili w Kanadę jako najbardziej lojalni mieszkańcy tego kraju, który przyjął ich z respektem, jakiego dotąd nie doznali.

I, co najważniejsze, wiedzieli, że nie ma barier – mogą starać się wykonywać swoje zawody albo wybrać coś nowego. Wiedzieli, że nie będzie to łatwe, nie wszystkim się uda, ale jest to możliwe. Byli już pewni, że nie muszą zamiatać ulic i zmywać naczyń do końca życia. Wcale nie chcieli być na zasiłkach – chcieli żyć, pracować, kupować domy, jeździć na wakacje.

W szpitalu w mojej miejscowości (wielkości Augustowa) na północ od Toronto wysokie stanowisko piastuje znakomita chirurg, chodząca na co dzień w hidżabie – muzułmańskiej chuście. Moja lekarka jest Hinduską, a najlepszy okulista w mieście – Chińczykiem.

Mieszkamy obok siebie. Obok Europejczyków – Somalijczycy, Hindusi, przybysze z Karaibów, Arabowie, Chińczycy. Są dzielnice, w których osiedlają się chętniej obok siebie pewne grupy etniczne, ale nie są to getta. Mają swoje ośrodki kulturalne, gdzie mile widziani i zapraszani są wszyscy. Wprowadzają się tam ludzie innych nacji.

W parlamencie prowincji odbywają się inauguracje Miesiąca Historii Afrokanadyjczyków albo Kultury Muzułmanów, na maszt ratusza wciągana jest flaga Polski w dniu jej narodowego święta i dziesiątki innych flag w inne święta narodowe.

Moje nie musi być najlepsze

Kanadyjski eksperyment nie ma nic wspólnego z bogactwem. Wielu ludziom żyje się ciężko, jest strefa biedy, działają banki żywności, ale panuje życzliwość. Przybysze zakosztowali życia we wzajemnym szacunku i otrzymując go, okazują go także innym. Chociaż nie zawsze pochodzą z kultur, gdzie ludzie są uśmiechnięci i życzliwi wobec siebie, stają się takimi, bo widzą to wokoło siebie.

Badania wskazują, że imigranci radzą sobie równie dobrze, a często lepiej niż urodzeni tutaj Kanadyjczycy – pracują, płacą podatki, dorabiają się, kształcą dzieci. Mają silną motywację, aby odnieść sukces. Przyjechali, bo uciekali przed przemocą, wojną, traumą, bo chcieli poprawić sobie życie. I innych tutaj to obchodzi. Mówi się o tym w radiu, w telewizji. Jakakolwiek byłaby motywacja przyjezdnych – najczęściej stają się najbardziej lojalnymi obywatelami z wdzięczności za to, jak traktuje się ich w nowym kraju.

Czy płynie z tego jakaś lekcja? Chociaż rzeczywistość europejska jest inna od kanadyjskiej, może gdyby przyjrzeć się temu stabilnemu i dobrze działającemu modelowi kulturowemu, można by czegoś się nauczyć. Im dłużej żyję w świecie różnorodności o wielu płaszczyznach i obliczach, tym mniej we mnie pewności, że moje musi być najlepsze. I jest mi z tym lepiej. ■

FOT. PEEZ REGIONAL POLICE

eprasa.pl 4601838bb1

Mateusz Mazzini

Migracyjne fake newsy

Chociaż szczyt kryzysu uchodźczego dawno za nami, nieprawdziwe informacje o przybyszach mnożą się w niewiarygodnym tempie

Kilkanaście dni temu sąd okręgowy w Barcelonie ogłosił wyrok w jednej z najbardziej kontrowersyjnych spraw ostatnich miesięcy w Hiszpanii. Wbrew pozorom nie chodzi jednak ani o decyzję o ekshumacji gen. Franco, ani o skazanie katalońskich separatystów, autorów referendum w sprawie niepodległości Katalonii z 2017 r. Hiszpanie wsłuchiwali się w werdykt katalońskiego sądu w sprawie tzw. Watahy z Manresy – sześciu młodych mężczyzn, którzy dopuścili się zbiorowego gwałtu na 14-latce. I choć zbrodnia ta wydarzyła się trzy lata temu, w przestrzeni publicznej pojawiła się jej nowa interpretacja, oparta na kompletnie nieprawdziwej tożsamości sprawców.

Według ustaleń śledczych 29 października 2016 r. sześciu mężczyzn – Argentyńczycy, Kubańczycy i jeden Hiszpan – wyszło na imprezę w miejscowości Torre d'en Vinyes nieopodal miasteczka Manresa w Katalonii. Tam poznali 14-latkę, z którą wspólnie pili alkohol i brali narkotyki, a później zabrali ją do opuszczonego magazynu i zgwałcili. Każdy miał 15 minut na zgwałcenie jej – podała katalońska prokuratura. Zbrodnia miała charakter szczególnie brutalny, ponieważ ofiara była już kompletnie nieprzytomna. Z kolei sprawcy mieli działać w sposób świadomy, wręcz „metodyczny" – jak to opisał katalański prokurator. Pięciu otrzymało wyroki skazujące na 10 lat pozbawienia wolności, przy czym dwóch dodatkowo usłyszało zarzut ciągłego molestowania nieletniej, co wydłuży im wyroki jeszcze o dwa lata.

Do Hiszpanii, Grecji i Włoch drogą morską dociera teraz od 10 do 15 tys. imigrantów miesięcznie – prawie 20 razy mniej niż latem 2015 r.

Hiszpan zamienia się w Afrykańczyka

Zanim jednak sąd wydał ostateczny wyrok, pogląd zdążyli sobie wyrobić niemal wszyscy Hiszpanie – głównie za sprawą mediów społecznościowych. Choć w 2016 r. atak przeszedł raczej bez echa, zainteresowanie nim odżyło z ogromną siłą na hiszpańskim Facebooku i Twitterze w pierwszych miesiącach tego roku. Tyle że przekaz miał już niewiele wspólnego z oryginalną wersją wydarzeń. Dotyczył tym razem 14-letniej Hiszpanki brutalnie zgwałconej przez sześciu innych nastolatków, nielegalnych imigrantów z Afryki Północnej. Wpisom poświęconym Watasze z Manresy towarzyszyły fotografie lub ich kolaże – wszystkie bardzo brutalne, pokazujące martwe lub wyglądające na takie ciała młodych dziewczyn i podobizny arabskich nastolatków, rzekomo sprawców gwałtu. W różnych wariantach historia ta zaczęła być kolportowana z prędkością światła – w zamkniętych grupach i otwartych kanałach, wśród zwolenników teorii spiskowych, ale też zwykłych, niespecjalnie wcześniej aktywnych w mediach społecznościowych użytkowników. Po kilkuset tysiącach udostępnień i polubień napaść z Manresy stała się zbrodnią na tle imigracyjnym.

Ta interpretacja gwałtu nie miała nic wspólnego z prawdą, poza miejscem i wiekiem ofiary. Żaden napastnik nie pochodził z Afryki Północnej, wszyscy przebywali w Hiszpanii legalnie. Żaden nie był także nieletni w chwili popełnienia przestępstwa. Zdjęcia doklejane do postów o Watasze nie przedstawiały sprawców ani ofiary gwałtu – były najczęściej kolażem fotografii uchodźców przebywających w tymczasowych obozach oraz ciał migrantów wyłowionych z Morza Śródziemnego. Podsumowując, drugie życie historii o gwałcie okazało się jednym wielkim fake newsem, najzwyklejszym internetowym kłamstwem.

Nawet największa baza danych może przegrać z wpływem, jaki na opinię publiczną mają wpisy na Facebooku i Twitterze.

Najgorszy w tej manipulacji nie jest jednak fakt, że nabrały się na nią tysiące użytkowników mediów społecznościowych. Do budowania swojego antyimigranckiego przekazu wykorzystywała ją hiszpańska

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4601838bb1

skrajna prawica, rosnąca w siłę pod postacią partii Vox. Ten nowy aktor na tamtejszej scenie politycznej pragnie zagospodarować przestrzeń na prawo od postfrankistowskiej, ogarniętej kryzysem wewnętrznym Partii Ludowej, zwłaszcza wśród wyborców niechętnych imigrantom. Jeżeli dodamy, że Vox przerasta o kilka klas wszystkie pozostałe partie polityczne w korzystaniu z mediów społecznościowych, zarysuje się obraz ugrupowania idealnego właśnie do korzystania z internetowych manipulacji.

Lider Vox, Santiago Abascal, używał zbrodni z Manresy jako pretekstu do zaostrzenia prawa imigracyjnego i nieprzyjmowania uchodźców z Afryki. Gdy wypominano mu, że sprawcy byli Latynosami, odpowiadał, że sprawa jest dowodem na niezdolność hiszpańskich władz do obrony ich własnych obywateli, wszystko jedno przed kim. Cała ta operacja przyniosła Voxowi skok w sondażach i jeszcze większą rozpoznawalność. Fakt, że została zbudowana na kłamstwie, przestał mieć jakiekolwiek znaczenie.

Antyimigrancka kampania włoskiej prawicy

Od kilkunastu miesięcy Europa przeżywa zalew internetowych kłamstw dotyczących migrantów. Dzieje się tak, mimo że liczba osób przybywających na Stary Kontynent maleje – choć łódki pełne ludzi wciąż przybijają do wybrzeży Hiszpanii, Grecji i Włoch, o kryzysie uchodźczym trudno mówić. Zgodnie z danymi UNHCR do tych trzech krajów, będących pierwszym przystankiem na migracyjnym szlaku, miesięcznie drogą morską dociera teraz od 10 do 15 tys. imigrantów – prawie 20 razy mniej niż latem 2015 r., kiedy liczba ta regularnie przekraczała 250 tys. Ubywa również osób próbujących przedostać się nielegalnie lądem, głównie przez Ukrainę, Polskę i Rosję. Na podstawie przekazów europejskich mediów społecznościowych można jednak odnieść wrażenie zupełnie odwrotne.

Zjawisko to dotyczy nie tylko Hiszpanii. We Włoszech epidemia internetowych kłamstw wybuchła ubiegłego lata, kiedy Niemka Carola Rackete, kapitan statku ratunkowego Sea-Watch 3, zignorowała blokadę włoskiej straży przybrzeżnej i wpłynęła do portu na Lampedusie. Na pokładzie jej statku było ponad 200 uchodźców odratowanych u wybrzeży Libii – większość wycieńczona, wymagająca pomocy medycznej. Carola Rackete chciała, by wszyscy mogli zejść na ląd we Włoszech, czym rozsierdziła ówczesnego wicepremiera Mattea Salviniego. Z miejsca stała się wrogiem publicznym numer 1 całej włoskiej prawicy – również w internecie. Poświęcone jej posty stwierdzały, że sama jest tak naprawdę imigrantką z Afryki, że działa na zlecenie niemieckiego rządu, że jest agentką niemieckiego wywiadu, a jeden z pasażerów Sea-Watch 3 jest jej kochankiem. Do kłamstw doszła też mowa nienawiści – prawicowe media opisywały wpłynięcie statku do portu na Lampedusie jako „początek inwazji islamistów na Włochy". Kulminacja antyimigranckiej kampanii nastąpiła, kiedy po włoskim internecie zaczął krążyć kolaż zdjęć sugerujący, że na całym świecie policjanci zakuwają imigrantów w kajdanki, tylko Włosi boją się to robić. W rzeczywistości fotografie pokazywały aresztowanych przedstawicieli mniejszości etnicznych, a nie imigrantów. Jako przykłady skutecznych interwencji policyjnych wykorzystały je jednak włoskie partie radykalne, m.in. ultraprawicowa Forza Nuova i neofaszystowska Casa Pound.

Śmierć w kanale La Manche

Problem z migracyjnymi kłamstwami w internecie mają również Brytyjczycy. Peter Pomerantsev, brytyjsko-rosyjski autor, jeden z najlepszych na świecie ekspertów od dezinformacji, zauważa w najnowszej książce „To nie propaganda", że katalizatorem fake newsów jest brexit. Za każdym razem, kiedy zbliża się kolejna data domniemanego wyjścia Wielkiej Brytanii z Europy, w tamtejszych mediach społecznościowych pojawia się fala informacji na temat rzekomych ataków i zbrodni popełnianych przez migrantów. Brytyjskie kłamstwa internetowe działają jednak też na samych uchodźców. Niepewność związana z brexitem tworzy bardzo podatny grunt dla różnego rodzaju politycznych fantazji, np. historii o zupełnym zamknięciu brytyjskich granic i zakazie wjazdu na Wyspy osób spoza Europy. Informacje te rozprzestrzeniają się w obozach dla uchodźców z prędkością światła i nierzadko prowadzą do bardzo ryzykownych sytuacji. Presję brexitu wykorzystują przemytnicy ludzi, którzy zmuszają uchodźców do wyższych opłat i szybszych decyzji o ucieczce na północ. W sierpniu tego roku brytyjska straż przybrzeżna odnotowała pierwszy przypadek utonięcia migranta w kanale La Manche – ta statystyka, niestety, będzie zapewne rosnąć.

Brytyjskie kłamstwa internetowe działają też na samych uchodźców.

Światowe instytucje starają się przeciwdziałać temu zjawisku. IOM, międzynarodowa organizacja ds. migracji, stworzyła w marcu tego roku publiczną bazę danych o migracjach ze specjalną sekcją poświęconą Europie. Argentina Szabados, szefowa IOM na Starym Kontynencie, powiedziała przy uruchomieniu bazy, że dane są najsilniejszym instrumentem w walce z kłamstwami i stereotypami na temat migracji. Jednak w erze populizmu i postprawdy nawet największa baza danych może przegrać z wpływem, jaki na opinię publiczną mają wpisy na Facebooku i Twitterze. ■

Zdrowiu i życiu prezesa Polski zagraża niebezpieczeństwo – **ostrzega w nowym numerze tygodnik „NIE".**

eprasa.pl 4601838bb1

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Kto powiedział Hitler?

Jeśli konserwatyści wejdą w koalicję z ekstremistami, może się powtórzyć sytuacja z lat 30. XX w.

VOLKER WEISS
– badacz skrajnej prawicy w Niemczech

Czy niemiecka skrajna prawica to, krótko mówiąc, faszyści?

– Zaznaczając, że jestem nie politologiem, tylko historykiem, zwrócę uwagę na to, że w Niemczech działają różne ruchy neofaszystowskie, które jednak w założeniach nie dążą do rewolucji faszystowskiej. Ich celem nie jest powrót do narodowego socjalizmu. Niemiecka prawica zmodernizowała się i dostrzegła, że odnosząc się wprost do Hitlera, nic nie uzyska. Stara się jednak reaktywować elementy teorii jeszcze sprzed powstania narodowego socjalizmu. Stawia na ultranacjonalizm, co przypomina czasy Republiki Weimarskiej, bo z historii wiemy, że na końcu tej długiej drogi pojawił się jednak narodowy socjalizm. W Republice Weimarskiej był to ostatni etap rozwoju ekstremistycznej prawicy.

Niebezpieczna alternatywa

A konkretnie, czy neofaszyzm to ruch jednorodny?

– Nowa prawica prezentuje spektrum dosyć zróżnicowane. Do roku 2013 formowały się duże środowiska skupiające się pod hasłami prawicowego populizmu. Główną organizacją była Alternatywa dla Niemiec (Alternative für Deutschland – AfD), która rosła w siłę i dziś ma już reprezentacje w parlamentach krajowych i w Bundestagu. Ona stanowi silną prawicową opozycję. Ciekawe jest to, że AfD trafiła do polityki, zabierając krytyczny głos w sprawach polityki walutowej Unii Europejskiej. Dopiero w latach 2014-2015 przestawiła się na ogromną krytykę polityki imigracyjnej i niechęć do uchodźców – tu dostrzegam analogię do tego, co się dzieje w Polsce. To właśnie przyniosło AfD prawdziwe sukcesy.

Ruchy neofaszystowskie w Niemczech i Europie karmią się sytuacją wewnętrzną.

Przeciwnicy przyjmowania uchodźców nie muszą od razu stać się neofaszystami.

– Dostęp do AfD uzyskały różne struktury nowej prawicy. Trafiają więc do tej partii rozmaite koncepcje polityczne, a ona czerpie swobodnie z zasobów intelektualnych prawicowego podglebia. Osoby o skrajnie radykalnych poglądach, typowi ekstremiści, stają się naraz ekspertami AfD. Można podać konkretne przykłady. Od 30 lat wychodziło w Niemczech czasopismo „Junge Freiheit" („Młoda Wolność"). Przez dziesięciolecia był to izolowany, mało znaczący element krajobrazu medialnego. Grupa ludzi skupionych w tym środowisku czekała jednak na swój czas i teraz on nadszedł. W Austrii dał o sobie znać w partii FPÖ, której liderem był Jörg Haider, a w Niemczech „Junge Freiheit" stała się nieoficjalnym organem prasowym AfD, jej sprzedaż z niecałych 10 tys. w latach 90. wzrosła do powyżej 30 tys. Jeden z ważnych autorów tego pisma, Götz Kubitschek, został spin doktorem partii.

Czyli AfD się radykalizuje?

– Patrząc na środowisko „Junge Freiheit", można tak powiedzieć. Doszło tutaj do rozłamu. Odłączyła się grupa jeszcze bardziej radykalna, która popiera koncepcje dawno już zmarłego prawnika Republiki Weimarskiej i III Rzeszy Carla Schmitta, będącego m.in. prokuratorem

Volker Weiss – niemiecki historyk i publicysta, zajmuje się historią ekstremalnych ruchów prawicowych w Niemczech oraz historią Niemiec w XIX i XX w. Do 2014 r. zatrudniony był jako wykładowca na uniwersytetach w Hamburgu i Lipsku, obecnie pracuje jako niezależny autor i publicysta m.in. „Die Zeit" i „Zeit Geschichte". W berlińskim tygodniku „Jungle World" pisze o ekstremalnej prawicy w Niemczech. Jego wydana w 2017 r. książka „Die autoritäre Revolte. Die Neue Rechte und der Untergang des Abendlandes" („Autorytarna rebelia. Nowa prawica i zmierzch Zachodu") była nominowana do Nagrody Lipskich Targów Książki. Jest członkiem Forum Badań nad Narodowym Socjalizmem, Rasizmem i Antysemityzmem oraz Centrum Badań nad Antysemityzmem w Berlinie.

eprasa.pl 4601838bb1

i szefem nazistowskiego czasopisma dla prawników. Grupa ta utworzyła czasopismo „Sezession", jeszcze bardziej skrajne w swoich enuncjacjach programowych – można powiedzieć typowo faszystowskie. To oczywiście nie prowadzi jeszcze do zbrodni, bo publikuje się różne rozważania czysto teoretyczne. To ruch umysłowy, intelektualny, a nie „maszerujący". Główni autorzy jednak są często tak radykalni jak Björn Höcke, lokalny lider AfD o poglądach neofaszystowskich.

Niemiecka nowa prawica dostrzegła, że odnosząc się wprost do Hitlera, nic nie uzyska. Dla niepoznaki chętnie kieruje nowe koncepcje w stronę kultury

Nowy typ zamachowca

Ale chyba propagowanie ideologii faszystowskiej jest w Niemczech prawnie zakazane?

– Tak. Ci ludzie nie są głupi. Wspominałem już, że ruchy neofaszystowskie – czy ogólnie nowa prawica – nie odnoszą się do narodowego socjalizmu ani do Hitlera. Zachowują się tak, jakby w ogóle go nie było. Odwoływanie się do autorów z czasów Republiki Weimarskiej nie jest nielegalne ani zakazane, to raczej zaproszenie do dialogu z teoriami Carla Schmitta i innych autorów z tego okresu. To środowisko dystansuje się od przemocy, od metod stosowanych w III Rzeszy, ale z drugiej strony obsesyjnie posługuje się terminem stan wyjątkowy i preferuje słowo czyn w opozycji do dyskusji. Dla niepoznaki chętnie kieruje nowe koncepcje w stronę kultury, a nie polityki. Dostrzega np. potrzebę prawicowej rewolucji kulturowej.

Głosi się hasła antyobywatelskie i forsuje termin *tabula rasa*, przez co rozumie się cofnięcie zegarków do czasów sprzed liberalizmu. Nie postuluje się przemocy w działaniu, chyba że w formie nieagresywnej, np. blokad, czy w warstwie słownej. Wyśmiewa się założenia demokracji parlamentarnej i przywołuje znane w cywilizacji zachodniej przykłady państwa nieliberalnego.

Poglądy zamachowca z Halle są spójne z hasłami nowej prawicy.

I są efekty takiego mieszania w umysłach?

– Z takich działań bierze się nowy typ zamachowca, wzorowany może na Breiviku. W Niemczech np. dokonano próby zamachu na synagogę w Halle. Mocne drzwi świątyni uchroniły potencjalne ofiary, ale na zewnątrz zginęły dwie przypadkowe osoby. Zamachowca ujęto, a jego poglądy są spójne z hasłami nowej prawicy, takimi jak antyfeminizm, walka z kulturą marksistowską i wreszcie antysemityzm, w tym szerzenie poglądu, że za rozpad społeczeństwa i dekadencję odpowiadają Żydzi.

Twierdza Europa – takie hasła są popularne na niemieckiej prawicy. Nz. marsz 11 maja w Pforzheim w Badenii-Wirtembergii.

Dziennikarze zrobili z niego bohatera?

– Media nie przeprowadzały z nim wywiadów, ale na stronach internetowych ukazał się kilkustronicowy manifest, w którym pojawiają się hasła antyimigranckie, antyfeministyczne i antysemickie. Do tego manifestu dołączone zostały zdjęcia wszystkich egzemplarzy posiadanej przez zamachowca broni wraz z adnotacjami, jak w komputerowych strzelankach, kogo trzeba zabić, by wejść na wyższy poziom rozgrywki. Co przerażające, zasugerowano, że „gracz" uzyskuje specjalny bonus za zabicie żydowskiego dziecka.

Czy zamachowcowi dano odpowiedni odpór?

– Nowa prawica oczywiście się zdystansowała, bo musiała, ale np. były polityk AfD próbował w pewnym stopniu zminimalizować winę zamachowca, twierdząc, że nie było w tym intencji antysemickiej, bo żaden Żyd nie zginął. A przecież niewiele brakowało, by doszło do masakry.

Co jeszcze musi się zdarzyć, aby zrozumiano, że pobłażanie takim wybrykom jest niebezpieczne?

– Można przypuszczać, że nie ma w Niemczech środowiska lepiej i częściej penetrowanego przez służby specjalne niż takie grupy neofaszystowskie. Zapewne działają w nich tajni informatorzy, śledzi się i prześwietla każdego, kto wydaje się podejrzany, mimo to wciąż słyszy się o jakichś akcjach. Wiadomo, że działa nielegalne neonazistowskie, nacjonalistyczne ugrupowanie Socjalistycznego Podziemia (NSU) odpowiedzialne za krwawe zamachy. Doszło do zabójstwa konserwatywnego polityka Waltera Lübckego z partii Angeli Merkel, a teraz mieliśmy zamach na synagogę. Wszystko to są wydarzenia z roku 2019. Nie daję się wciągnąć w snucie teorii spiskowych, ale dziwić może nieudolność aparatu bezpieczeństwa.

Karmić się kryzysami

Na jak duże poparcie mogą liczyć w Niemczech nowa prawica i AfD?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MICHAEL DEBETS/FORUM

eprasa.pl 4601838bb1

– To oczywiście się zmienia, myślę, że poparcie oscyluje wokół 20%. Mniejsze jest na północy kraju, większe na południu. Ostatnio wybory lokalne w Turyngii dały AfD 24%.

Czy w sympatii dla skrajnej prawicy przodują landy dawnego NRD?

– Nie można powiedzieć, że wschód Niemiec jest większym sprzymierzeńcem prawicy niż zachód. Zauważa się co innego. Strukturami AfD na wschodzie najczęściej kierują osoby przybyłe z zachodnich landów. Większe zainteresowanie znajdują w małych ośrodkach niż w dużych miastach. Nie ma określonej granicy wieku. Sympatyzują z nową prawicą zarówno młodzi, jak i starsi. Średni wiek sympatyka to 50 lat.

Jakie ma pan prognozy na przyszłość? Czy Niemcy czeka gwałtowny zwrot w prawo?

– To oczywiście nie jest problem tylko mojego kraju. Zjawiska te mają charakter globalny. Tak się dzieje w USA, na podobnej zasadzie działają polityczne organizacje islamistyczne i ruchy antyeuropejskie w krajach Starego Kontynentu. Co będzie dalej? Ruchy neofaszystowskie w Niemczech i Europie nie napędzają się same, karmią się sytuacją wewnętrzną. Gdyby ona na to nie pozwalała, nie miałyby szans na rozwój, na nabieranie dynamiki i radykalizację. Wszelkie zaburzenia i kryzysy, które pozwalają użyć określenia stan wyjątkowy czy sytuacja wyjątkowa, są pożywką do działania. Ciągłe zachłystywanie się rozmaitymi kryzysami znane jest doskonale z przeszłości. Zasadnicze pytanie dotyczy tego, jak do skrajnych organizacji odniosą się konserwatyści. Oni odegrają tutaj kluczową rolę, bo jeśli wejdą w koalicję z ekstremistami, a nie z organizacjami liberalnymi, może się powtórzyć sytuacja z lat 30. XX w. W sumie najistotniejsza będzie postawa partii konserwatywnych.

Spin doktorzy AfD myślą o przejęciu państwa z jego wszystkimi strukturami.

Czy badanie ekstremistycznych organizacji prawicowych jest niebezpieczne?

– Jestem akademikiem, działam w środowisku naukowym i choć dostaję czasami pogróżki, to kontaktuję się głównie z osobami, które są wykształcone i w miarę kulturalne. Większe zagrożenie odczuwają osoby ze środowiska dziennikarskiego, które opisują działania neofaszystów i starają się dotrzeć do ich tajemnic. Nawet krytycy zajmujący się muzyką rockową wykonywaną i słuchaną w radykalnych kręgach prawicowej młodzieży bardziej się narażają. Ja rozmawiam z osobami, które choć prezentują bardzo skrajne poglądy, unikają przemocy i nie będą walczyć na ulicach. Mają wpływ intelektualny na AfD, ale nie pociąga ich działalność terrorystyczna. Myślą o przejęciu państwa z jego wszystkimi strukturami. I to wydaje mi się o wiele bardziej niebezpieczne.

Bronisław Tumiłowicz

eprasa.pl 4601838bb1

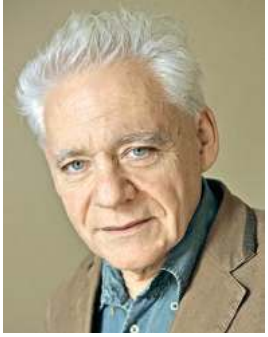

Oko w oko Tomasz Jastrun

Wielki strateg ma kłopot

Znajoma pisze, że jest w rozpaczy z powodu życia, więc idzie do spowiedzi, po raz pierwszy od lat. Odpowiadam jej, że nawet gdybym wierzył, nigdy bym nie powierzał swojej wiary polskiemu Kościołowi i jego zdemoralizowanym, niezbyt mądrym urzędnikom w sutannach. Jeszcze kilka lat temu tak bym nie napisał. Zawsze byłem antyklerykałem, ale do głowy mi nie przyszło, że z naszym Kościołem jest aż tak źle. Chociaż abp Sławoj Leszek Głódź stał się dla mnie czarną owcą już w chwili, gdy wiele lat temu dowiedziałem się, że jest myśliwym. Jakie to teraz wydaje się niewinne. Czarnych owiec w polskim Kościele, zdaje się, więcej niż białych. A duchowni, pożal się Boże, albo nieprzytomne chamy i magnaci jak abp Głódź, albo pedofile jak ks. Jankowski, albo „ajatollahy" jak abp Jędraszewski. Ale w naszym kościele w Międzylesiu jest porządny i rozsądny ksiądz. Zdarza się. Aż cisną się na usta słowa, które czasami łaskawi antysemici wygłaszają na temat jakiegoś Żyda: porządny człowiek, chociaż Żyd. Więc porządny jest nasz proboszcz, chociaż ksiądz.

Odkąd Tusk zszedł z linii strzału, wielki strateg jest w wielkiej biedzie. Potrzebuje za wszelką cenę wroga. Wszystkie swoje kampanie opierał na wrogu. Orbán ma Sorosa, idealny cel, bo i miliarder, i Żyd, i liberał. Kaczyński nie ma tak łatwo. Ale jest LGBT i ma swoje zalety. Bez kształtu jak trujący gaz. Czary-mary; co to jest, prosty naród nie wie, ale bije z tego groza. No i ta nauka masturbacji już w przedszkolu. A i żłobki są zagrożone.

•

Wymiana opon na zimowe. Jak zawsze z wulkanizatorem o polityce – dzieli klientów na pisowców i wrogów PiS, tych pierwszych ma niewielu. Chce dożyć chwili, gdy oni przegrają i będzie można wziąć ich za dupę za to, co zrobili. To marzenie staje się w Polsce powszechne. Pisowców często można poznać po twarzach. Ale to są weterani, zjedli zęby na PiS. Narodził się jednak nowy typ pisowca. Młody, gładkiego oblicza, energiczny, wygadany. To cynicy, którzy robią kariery, nowa młoda nomenklatura. Generalnie jednak prezes wie, że z kadrami, które tak ważne, ba, kluczowe, jest kiepsko. To ma być ta nowa elita, która powinna zastąpić dawną. Po PiS zostaną stajnie Augiasza. Jak je czyścić, ile lat to zabierze? Na dodatek trzeba będzie to robić demokratycznymi narzędziami, a one bywają nieporadne w takiej sytuacji.

Po PiS zostaną stajnie Augiasza. Jak je czyścić, ile lat to zabierze?

Na razie trudno sobie to wyobrazić. Niektórzy uważają, że psychologicznym wytłumaczeniem idei wymiany elit jest to, że Kaczyński uważa, że poprzednie elity zabiły mu brata. To zapewne jeden z powodów, głównym jednak jest wizja tworzenia nowej Polski i nowego Polaka. Tego nie da się zrobić bez nowych elit. Ale prezes wie, że jakość nowych kadr jest nędzna. I boli go od tego głowa. Ciągle zawodzi się na ludziach, jak nie na Misiewiczu, to na Banasiu.

Śledzę wypowiedzi Kazimierza Marcinkiewicza, byłego premiera. Znamienne, że on, Dorn, Giertych i Kamiński, dawni ludzie PiS lub bliscy tej partii, dziś są najbardziej przenikliwymi i najostrzejszymi jej krytykami. Marcinkiewicz pisze: „No i mamy nowe elity »dziennikarstwa« w postaci szczujni z reżimowej TV. Mamy nowe elity sędziowskie z Przyłębską, Pawłowicz i Piotrowiczem na czele »sędziowskiej kasty«. Mamy nowe elity urzędnicze z Banasiami, Misiewiczami, Markami Ch., przewalaczami VAT w Ministerstwie Finansów czy blondynkami prezesa zarabiającymi 60 tys. miesięcznie. Mamy nowe elity gospodarcze w spółkach skarbu państwa, w postaci »kolesi sprawdzających się w biznesie« i powoli degradujących finansowo świetnie działające firmy. Mamy nowe elity intelektualne w postaci profesorów zaprzeczających dokonaniom nauki czy biskupów wykorzystujących religię do celów politycznych i biznesowych (…) ich działania przypominają działania okupantów. Oni zawsze zaczynali od wymiany elit i grabieży".

No dobrze, powie prawicowiec, swoich elit dorobili się liberałowie i lewica, to teraz my. Brzmi to sprawiedliwie. Ale jakość? Format nowych elit? To widać jak na dłoni. Zacznijmy od nowych elit dziennikarskich. Wystarczy na kilka minut włączyć telewizję publiczną albo otworzyć kilka pism prawicowych – włosy stają na głowie. Otchłań podłości, chamstwa i niekompetencji.

•

Opozycja ma Senat, światełko w tunelu. Z Tomaszem Grodzkim siedzę przy jednym stoliku w Czytelniku, w pobliżu Sejmu. Ten profesor chirurg robi świetne wrażenie, dałbym mu się zoperować. Kilka godzin potem został marszałkiem Senatu.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4601838bb1

Od państwowej do granatowej

W policji nie brakowało ludzi nikczemnych, ale byli też funkcjonariusze, którzy pokazali, czym jest godność człowieka

Krzysztof Wasilewski

Setna rocznica utworzenia Policji Państwowej skłania do przypomnienia dziejów tej formacji. Powołana do pilnowania porządku, w II Rzeczypospolitej wielokrotnie była wykorzystywana do brutalnego pacyfikowania strajków. A za tzw. granatową policją, działającą w latach II wojny światowej, do tej pory ciągnie się odium kolaboracji.

Powojenny chaos

„Organy bezpieczeństwa pozostawiają wiele do życzenia, bo biorą pieniądze i śpią po domach, zamiast pilnować, i wcale nie troszczą się o to, by swe obowiązki sumiennie spełnić", skarżył się w połowie 1919 r. Józef Ostachowski, poseł Polskiego Zjednoczenia Ludowego. Rzeczywiście wyniszczone wojną ziemie II Rzeczypospolitej stały się terenem rabunków, morderstw i bandytyzmu na niespotykaną wcześniej skalę. – Główną przyczyną takiego stanu rzeczy – tłumaczy historyk dr Sławomir Franc – było ogromne zubożenie społeczeństwa po zakończonych działaniach wojennych oraz wręcz szabrowniczych zachowaniach żołnierzy zaborczych armii wycofujących się z dawnego Królestwa Polskiego.

Chcąc zaradzić piętrzącym się problemom, ustawą z 24 lipca 1919 r. utworzono Policję Państwową. Wcześniej w poszczególnych częściach kraju funkcjonowały różnego rodzaju formacje policyjne i milicyjne, których zadaniem było pilnowanie porządku. Jeśli jednak wierzyć cytowanemu posłowi Ostachowskiemu, nie zawsze wywiązywały się one ze swoich obowiązków.

Konieczność istnienia służby policyjnej nie budzi dziś wątpliwości, lecz sto lat temu przyjęcie ustawy spotkało się z licznymi głosami krytyki. Zdaniem niektórych dziennikarzy i polityków powołanie organów bezpieczeństwa państwa prowadziło do ponownego zniewolenia społeczeństwa. Podczas debaty sejmowej poprzedzającej przyjęcie ustawy ks. Kazimierz Lutosławski zwrócił uwagę, że „dotychczasowa tradycja niewoli, zmuszająca Polaków do używania metod spisku, pokutowała nadal w stosunkach społeczno-politycznych oraz miała wpływ na postawę wielu obywateli sprzeciwiających się tworzeniu organów bezpieczeństwa".

Trudne początki

Mimo głosów sprzeciwu powołanie Policji Państwowej było pierwszym krokiem do kodyfikacji systemu prawnego odrodzonej Rzeczypospolitej. Warto pamiętać, że aż do lat 30. w II RP oficjalnie obowiązywały trzy kodeksy karne, odziedziczone po czasach zaborów. Na terenach, które wcześniej wchodziły w skład Imperium Rosyjskiego, stosowano kodeks karny z 1903 r., tzw. kodeks Tagancewa. Na ziemiach dwóch pozostałych zaborów obowiązywały regulacje jeszcze starsze, bo sięgające połowy XIX w. – Franciscana z 1852 r. (zabór austro-węgierski) oraz Reichsstrafgesetzbuch z 1871 r. (Cesarstwo Niemieckie). Utrzymujące się rozbicie prawne udało się znieść dopiero w 1932 r., kiedy ustanowiono dla całego kraju tzw. kodeks Makarewicza, uznany powszechnie za nowoczesny i odpowiadający potrzebom tamtych czasów.

Przez cały okres II RP skarżono się na brutalność i stronniczość policji.

Policja miała za zadanie nie tylko zabezpieczanie porządku społecznego, ale także utrzymanie integralności państwa. Podobnie zatem jak w wojsku szeregi nowej służby w zdecydowanej większości zasilili rdzenni Polacy. Według dostępnych danych aż 95% funkcjonariuszy – zarówno niższego, jak i wyższego szczebla – było narodowości polskiej i wyznania rzymskokatolickiego. W 1923 r. zaledwie 253 szeregowych policjantów deklarowało inną niż polska narodowość, a 1205 nie należało do Kościoła katolickiego. Najliczniej do policji wstępowali rzemieślnicy i rolnicy, zdecydowanie rzadziej robotnicy i trudniący się handlem. Dawało się również zauważyć wysokie dysproporcje w wykształceniu. W 1923 r. studia miało skończone 289 policjantów, a wykształcenie elementarne deklarowało 30 280. Istniejące szkoły policyjne poddawano nieustającym reformom, podobnie zresztą jak obowiązujące kursy i programy nauczania. Do 1939 r. funkcjonowały dwa centra kształcenia: Szkoła Oficerska Policji Państwowej w Warszawie oraz Centralna Szkoła Policji Państwowej w Mostach Wielkich.

Organizację policyjną udało się wprowadzić do wszystkich województw II RP dopiero w 1922 r., a więc trzy lata od uchwalenia ustawy. Jak wskazują historycy, mimo upływu czasu społeczeństwo postrzegało stróżów prawa głównie przez pryzmat podziałów terytorialnych. Prof. Robert Litwiński pisze, że „pochodzenie narodowościowe nakładało się na pochodzenie terytorialne. Na przykład ukraińscy mieszkańcy powiatu zbaraskiego inaczej odnosili się do policjanta narodowości ukraińskiej, a inaczej – narodowości polskiej, nawet wówczas, gdy pochodził z tej samej wsi, gminy itp. Sytuacja była jeszcze gorsza, jeżeli mieli do czynienia z osobami narodowości polskiej, a do tego pochodzącymi spoza tamtejszych terenów".

Tłumienie strajków i wystąpień narodowościowych

Przez cały okres II RP skarżono się na brutalność i stronniczość policji. W aktach sądowych i stenogramach z posiedzeń Sejmu zachowały się

eprasa.pl 4601838bb1

Policyjnych polewaczek używano do rozbijania manifestacji. Funkcjonariusze uzbrojeni byli w karabiny.

liczne uwagi wobec zachowań konkretnych funkcjonariuszy. Na przykład poseł Sergiusz Chrucki z Klubu Ukraińskiego żalił się, że jeden z pokojowych pochodów społeczności ukraińskiej został rozpędzony przez policję, a „komendant policji (...) na widok tego pochodu wydał rozkaz »bagnety na broń« i rzucił się z oddziałem policji w walkę, obrzucając ludzi najordynarniejszymi wymyśleniami i obelgami". Sami policjanci również skarżyli się na przełożonych i prokuraturę, która miała ich „terroryzować i zmuszać do składania dużej liczby doniesień".

W latach 1932-1937 podczas strajków oraz protestów robotniczych i chłopskich z rąk policjantów zginęło co najmniej 818 osób.

Wiele emocji budziły ponadto interwencje policyjne podczas strajków oraz protestów robotniczych i chłopskich. Na łamach PRZEGLĄDU Bohdan Piętka przypomniał, że w latach 1932-1937 z rąk policjantów zginęło co najmniej 818 osób. Podczas zaledwie jednej manifestacji stróże prawa zastrzelili – według różnych źródeł – od 19 do 49 osób. Co więcej, „masowe aresztowania po rozruchach były tak liczne, że władze musiały dementować pogłoski o założeniu pod Lwowem obozu koncentracyjnego. Oficjalnie aresztowano ok. 1,5 tys. osób, z których ok. 70 deportowano do obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej".

Czas okupacji

Rozporządzeniem generalnego gubernatora Hansa Franka z grudnia 1939 r. powołano do życia Policję Polską na terenie mu podległym. Pod groźbą kary śmierci wcielono do niej wszystkich przedwojennych funkcjonariuszy, których spisy dostały się w ręce władz okupacyjnych. Nowa służba miała strzec porządku publicznego, choć jej uprawnienia zostały mocno ograniczone, zwłaszcza wobec osób narodowości niemieckiej. Początkowo granatowa policja liczyła niespełna 9 tys. posterunkowych i oficerów, by w połowie 1944 r. rozrosnąć się do 12,5 tys. Krojem i barwą mundurów nawiązywano do czasów przedwojennych, co zdaniem okupantów miało wzbudzić zaufanie polskiego społeczeństwa. Dopiero po wnikliwym przyjrzeniu się można było zauważyć, że orzełek, który zdobił policyjne czapki, został zastąpiony herbem miasta, w którym policjant pełnił służbę.

Zakres działalności granatowej policji został ściśle określony przez władze okupacyjne. Obok tradycyjnych obowiązków funkcjonariuszom przydzielano takie niewdzięczne zadania jak łapanki na roboty przymusowe, zwalczanie nielegalnego handlu, ściąganie kontyngentów żywnościowych czy zabezpieczanie akcji przeciwko partyzantom. Odrębną kategorię stanowiły akcje policji skierowane przeciwko ludności żydowskiej. Rola granatowej policji w okupowanej Polsce z czasem ewoluowała, co wiązało się z eskalacją hitlerowskiego terroru.

Członkowie granatowej policji znajdowali się pod szczególną ochroną. Zabójstwo funkcjonariusza przez „nieuprzywilejowaną" ludność (tzn. nieniemiecką) było traktowane jak zabicie Niemca. Już 22 listopada 1939 r. rozstrzelano 53 Żydów – mieszkańców domu przy ul. Nalewki 9 w Warszawie – w odwecie za zastrzelenie jednego policjanta. Na początku marca 1942 r. za zabicie polskiego i niemieckiego funkcjonariusza rozstrzelano setkę uwięzionych członków podziemia. Łącznie takich akcji przeprowadzono w czasie okupacji ok. 30. Zdarzało się jednak, że w wypadku śmierci kolegi policjanci zabiegali u hitlerowców o rezygnację z odwetu na miejscowej ludności lub więźniach.

Funkcjonariusze granatowej policji reprezentowali różne postawy. Część wykonywała podstawowe obowiązki, a jednocześnie współpracowała potajemnie z Państwem Podziemnym. Według niektórych szacunków kontakty ze strukturami niepodległościowymi utrzymywało nawet 30% policjantów. Wśród nich był Marian Kozielewski, brat Jana Karskiego. Przypominając jego postać na łamach „Rzeczpospolitej", Marek Kozubal pisał, że Kozielewski „tworzył struktury w policji pozwalające na działania sabotażowe skierowane przeciwko władzy niemieckiej. (...) Tworzył też struktury Polskiego Państwa Podziemnego". Odsetek granatowych kolaborantów historycy oceniają na ok. 10%. Pozostali funkcjonariusze po prostu chcieli przeżyć wojnę.

Granatowa policja a Holokaust

W głośnej książce wydanej w 2016 r. w języku angielskim, „The

eprasa.pl 4601838bb1

Polish Police. Collaboration in the Holocaust" („Polska Policja. Kolaboracja w Holokauście") prof. Jan Grabowski z Uniwersytetu w Toronto zwraca uwagę na znaczny udział polskich funkcjonariuszy w procesie eksterminacji Żydów. Zdaniem historyka od końca 1941 r. oddziały policyjne często brały udział w akcjach będących elementem przygotowań do „Ostatecznego rozwiązania", m.in. w listopadzie 1941 r. władze niemieckie wydały policji rozkaz strzelania do kobiet i dzieci próbujących wydostać się poza getto (wcześniej rozkaz ten dotyczył tylko mężczyzn). Trudno jednak określić, na ile polscy policjanci stosowali się do tych zaleceń. Sam Grabowski nie podaje szczegółów.

Więcej wiadomo natomiast o udziale granatowej policji w masowych egzekucjach ludności żydowskiej. Pierwsze takie egzekucje przeprowadzono 17 listopada i 15 grudnia 1941 r. na podwórzu więzienia przy ul. Gęsiej. Grabowski pisze, że w obecności szefa warszawskiej policji por. Aleksandra Reszczyńskiego oraz kilku innych oficerów rozstrzelano w tych dniach niezidentyfikowaną liczbę żydowskich więźniów. Jak zauważono w jednym z raportów przygotowanych przez polskie podziemie, mimo zachęt Reszczyńskiego, który miał powtarzać: „Głowa do góry, chłopcy!", jego podwładni mieli „smutek wymalowany na twarzy".

Od początku 1942 r. granatowa policja brała czynny udział w zamykaniu Żydów w gettach. Według Grabowskiego Niemcy zachęcali – a gdy to nie pomagało – przymuszali policjantów do brutalnego zachowania, w tym zabijania Żydów. W ten sposób sprawdzano stopień lojalności oddziałów porządkowych, a przy okazji potęgowano niechęć między niedawnymi obywatelami II RP. Oddziały granatowej policji przeprowadziły masowe egzekucje lub asystowały w nich m.in. w Warszawie, Ostrowi Mazowieckiej, Wysokiem Mazowieckiem, Tarnowie, Sokołach i Krakowie.

Policjanci czy przestępcy?

Niektórzy stróże porządku sami stawali się pospolitymi mordercami. Grabowski przywołuje przykład Lucjana Matusiaka, który w 1942 r. otrzymał nominację na zastępcę komendanta policji w Łochowie, miasteczku położonym niespełna 80 km na północny wschód od Warszawy. Brał tam udział w likwidacji getta, a także w egzekucjach Żydów, którzy zdołali uniknąć transportu do obozów zagłady. Jak relacjonowali świadkowie, wkrótce potem Matusiak z własnej inicjatywy z kilkoma innymi policjantami ścigał Żydów, wypróbowując na ofiarach coraz to nowe sposoby ich zabijania.

Zdaniem Grabowskiego takich osób jak Matusiak w szeregach granatowej policji było niemało. Cytując raporty polskiego podziemia oraz relacje świadków, historyk dowodzi powszechności okradania Żydów podczas likwidacji gett. Nierzadko sami policjanci wyszukiwali bogatych Żydów, by ich zabić i zabrać majątek. Równie często funkcjonariusze informowali lokalnych zbirów, które żydowskie domy warto okraść, a ewentualne ofiary śmiertelne traktowali jako wypadek przy pracy. Szczególnie gorliwi policjanci mogli liczyć na oficjalne podziękowania ze strony niemieckich władz okupacyjnych.

22 listopada 1939 r. w odwecie za zastrzelenie granatowego policjanta rozstrzelano 53 Żydów.

Podziemie wobec działań policjantów

Funkcjonariusze pokroju Matusiaka zwracali uwagę organizacji niepodległościowych. Najpierw wysyłano im ostrzeżenia, a kiedy to nie pomagało, zdarzało się, że wydawano na nich wyrok śmierci. Taki los spotkał funkcjonariuszy Leona Millera i Mariana Szweda, dorabiających do pensji jako szmalcownicy. Obaj byli też agentami gestapo, za co w kwietniu 1944 r. zostali zlikwidowani z rozkazu Armii Krajowej. Zabito również m.in. Antoniego Rozmusa, Józefa Sandomierskiego i Zdzisława Wandycza – za okrucieństwo i znęcanie się nad więźniami.

W szeregach granatowej policji nie brakowało zarazem osób uczciwych i współczujących. Ci policjanci sumiennie wykonywali obowiązki, starając się zapewnić okupowanemu społeczeństwu minimum bezpieczeństwa. Przecież zagrożenie życia czy zdrowia płynęło nie tylko ze strony niemieckich żołnierzy. Lata wojny były złotym okresem dla pospolitych przestępców. Walka z nimi nie oznaczała kolaboracji. Niekiedy też policjanci ratowali Żydów. Na przykład komendant w Gorlicach zdołał uwolnić dwóch Żydów aresztowanych przez niemiecką policję kryminalną. Ten sam funkcjonariusz ostrzegł później przewodniczącego Rady Żydowskiej o planowanej likwidacji miejscowego getta.

Problemy z oceną

Dlatego, jak podkreślają historycy, granatowa policja wymyka się jednoznacznym ocenom. W jednym z wywiadów prof. Jerzy Kochanowski przypomniał, że „znamy przypadki policjantów pomagających Polakom i Żydom, osoby zaangażowane w działania konspiracyjne, jak też haniebne przypadki zdrady i zbrodniczej nadgorliwości". Co więcej, „współpracujący z konspiracją oficerowie policji granatowej ostrzegali podwładnych przed kolaboracją i jej konsekwencjami. Nierzadkie były przypadki korupcji. Warto jednak dodać, że podczas okupacji także wśród innych polskich urzędników, np. skarbowych czy pracowników kwaterunku, zdarzały się przypadki negatywnych zachowań wobec współrodaków".

Same władze okupacyjne były świadome umiarkowanej lojalności funkcjonariuszy, od 1943 r. zastanawiano się więc nad uzupełnieniem szeregów granatowej policji Ukraińcami, zwłaszcza na szczeblu dowódczym. Chociaż z planów tych nic nie wyszło, dowodzą one nieufności, z jaką Niemcy traktowali polską policję. Co więcej, okupant był przekonany, że ma ona związki z „londyńskim" ruchem oporu.

Niemieckie represje wobec policjantów

Warto pamiętać, że sami policjanci padali ofiarą zbrodniczej polityki okupantów. Po tym jak załoga posterunku w Żarnowcu poddała się

eprasa.pl 4601838bb1

Gubernator Hans Frank przyjmuje meldunek od komendanta oddziału polskiej policji, październik 1940 r.

po okrążeniu przez oddział Gwardii Ludowej, wszyscy funkcjonariusze zostali 7 stycznia 1943 r. rozstrzelani przez SS. Brutalnie karano policjantów, którzy stracili broń służbową wskutek napadów. W Warszawie na początku 1943 r. hitlerowcy aresztowali 13 rozbrojonych funkcjonariuszy, w tym czterech rannych. Kilku za brak oporu wobec napastników rozstrzelano, pozostałych zaś zesłano do obozu koncentracyjnego Auschwitz.

O tym, jak skomplikowane było położenie granatowej policji, świadczą raporty sporządzone dla podziemia. Wynika z nich, że z jednej strony polscy funkcjonariusze brali udział w likwidacji gett i akcjach ścigania żydowskich uciekinierów, z drugiej natomiast ci sami policjanci bronili tych samych Żydów podczas antysemickich rozruchów. Trudy wojny oraz celowe antagonizowanie przez okupanta obu grup prowadziło do częstych wybuchów społecznych. O jednym z nich pisała prasa podziemna w marcu 1940 r.: „Poczynając od drugiego dnia Świąt Wielkanocnych [25 marca 1940 r. – przyp. aut.], poszczególne dzielnice i ulice Warszawy są codziennie widownią zajść antyżydowskich. Dzieci i wyrostki (od 9 do 14 lat) oraz różne pojedyncze podejrzane indywidua wybijają szyby, inicjują grabieże sklepów, biją do krwi przechodzących Żydów. Władze niemieckie nie reagują. Policja polska bez skutku usiłuje opanować sytuację".

Samo społeczeństwo miało poważny problem z tym, jak traktować granatową policję. Jak bowiem przypomina prof. Kochanowski, „ludność Generalnego Gubernatorstwa nie szanowała ich. Często policjanci się skarżyli, że ludzie traktowali ich wręcz pogardliwie". Na taką postawę z pewnością złożyły się także wspomnienia z lat II RP, kiedy policjanci brutalnie tłumili strajki robotnicze i manifestacje narodowościowe. Zarazem jednak to granatowa policja często stanowiła jedyną możliwość dochodzenia sprawiedliwości: „Gdy Polak padł ofiarą przestępstwa, np. rabunku czy kradzieży, pierwsze kroki kierował na komisariat polskiej policji, a nie do niemieckiej Schutzpolizei, która wzbudzała strach". Inny historyk, Jacek A. Młynarczyk, zauważa z kolei, że „przynależność polskich funkcjonariuszy do kierowanych przez Niemców *polnischer Polizei* została zaakceptowana przez polski ruch oporu i szerokie kręgi polskiego społeczeństwa w nadziei, że formacja taka stanie się swoistym buforem pomiędzy ujarzmionym społeczeństwem a narodowosocjalistyczną władzą wykonawczą".

Lucjan Matusiak, zastępca komendanta policji w Łochowie, brał udział w likwidacji getta i egzekucjach Żydów.

Po wojnie

Dekretem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 15 sierpnia 1944 r. symbolicznie rozwiązano granatową policję. Dwa miesiące później, 7 października, kolejny dekret PKWN powołał do życia Milicję Obywatelską. Po zakończeniu wojny część byłych funkcjonariuszy Policji Państwowej z powodzeniem przeszła weryfikację Komisji Rehabilitacyjno-Kwalifikacyjnej utworzonej w sierpniu 1945 r. zarządzeniem premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego. Według dostępnych danych tuż po wojnie w MO służyło około tysiąca byłych funkcjonariuszy. Jak pisze historyk Marcin Kania, „policjantów zatrudniano począwszy od Komendy Głównej MO, a na wiejskich posterunkach skończywszy. Przydzielano ich przede wszystkim do tych działów służby, gdzie najbardziej liczyła się fachowość". Doradcą komendanta głównego MO był przez pewien czas płk Koral, który zdobył szlify oficerskie przed wojną. Z kolei zręby nowej służby śledczej tworzył Aleksander Michalski, związany z policją od 1935 r., a w czasie wojny jeden z granatowych policjantów.

Jednak część funkcjonariuszy na zawsze musiała się pożegnać ze służbą. Inni zostali aresztowani i skazani na wieloletnie więzienie. W tym ostatnim wypadku to nie epizod w granatowej policji był obciążający, ale raczej kariera w sanacyjnej Polsce. Na wielką skalę czystki zaczęły się w 1947 r., kiedy z MO zwolniono kilkuset funkcjonariuszy z doświadczeniem z II RP. Po 1948 r. w szeregach milicji służyły już tylko niedobitki przedwojennej formacji.

Losy policjantów – począwszy od II RP, przez okres II wojny światowej, a na latach Polski Ludowej skończywszy – dowodzą, jak trudno jednoznacznie ocenić całą tę formację bez uwzględniania pojedynczych przypadków. Nie brakowało w niej bowiem ludzi nikczemnych, ale byli też funkcjonariusze, dla których nade wszystko liczyło się dobro państwa. Nawet w tak trudnych warunkach jak podczas niemieckiej okupacji.

Krzysztof Wasilewski

FOT. NAC

eprasa.pl 4601838bb1

Muzyka niech łagodzi obyczaje

Dyrygent powinien być także dobrym dyplomatą, ale nie jest to jego główne zadanie

ANDRZEJ BOREYKO

– dyrektor artystyczny Filharmonii Narodowej

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Na pierwszej konferencji prasowej wspomniał pan, że to orkiestra zabiegała, by powierzyć panu kierowanie najważniejszą instytucją muzyczną kraju. Czy jednak nie zbiegły się tu również powody dyplomatyczne? Wobec złych stosunków między Polską a Rosją wygodnie mieć chyba w sercu stolicy takiego polsko-rosyjskiego ambasadora kultury.

– Muszę przyznać, że zaskoczył mnie pan tym pytaniem. W istocie orkiestra chciała stałej współpracy, ale myślę, że raczej z powodów merytorycznych niż dyplomatycznych, o których pan wspomina. Dyrygent powinien być oczywiście także dobrym dyplomatą, ale nie jest to chyba jego główne zadanie. Znamy się z muzykami FN od dawna i zawsze dobrze nam się razem pracowało. Po raz pierwszy zadyrygowałem Orkiestrą FN na zaproszenie dyrektora Antoniego Wita, w roku bodaj 2004. Także kolejny dyrektor Filharmonii Narodowej, Jacek Kaspszyk, kilka razy mnie zapraszał. Spotykaliśmy się więc dość regularnie. Za każdym razem przyjeżdżałem do Warszawy z dużymi oczekiwaniami i nigdy nie byłem zawiedziony. Bardzo dobrze wspominam naszą współpracę. Moja kariera międzynarodowa w tym czasie się rozwinęła, otrzymywałem coraz więcej zaproszeń, w tym od najlepszych orkiestr świata, i starałem się jeździć wszędzie tam, gdzie publiczność chciała mnie słuchać i oglądać. Ale kiedy przyszli do mnie przedstawiciele Orkiestry FN, uznałem, że może nadszedł ten moment w mojej karierze, kiedy warto się skoncentrować na stałej współpracy z jedną znakomitą orkiestrą, zamiast latać po całym świecie, dyrygując gościnnie zespołami, które jednak kształtuje artystycznie ktoś inny. Tak doszło do tego szczególnego, być może nawet najistotniejszego jak dotąd punktu w moim życiu dyrygenta, z którego jestem bardzo zadowolony.

Filharmonia Narodowa jest nie tylko jedną z najważniejszych instytucji muzycznych w Polsce, ale także jedną z najlepszych w Europie. Bycie jej dyrektorem artystycznym to duże wyzwanie i wielka przyjemność. Choć moje serce zawsze pozostanie podzielone między Polskę i Rosję, dziś bije ono unisono z zegarem na Zamku Królewskim w Warszawie.

Znał pan już polskie orkiestry z wcześniejszej pracy.

– Moją pierwszą orkiestrą w Polsce była Filharmonia Poznańska. Przyjechałem do tego miasta (w którym kiedyś spędziłem pierwsze lata życia) w roku 1991, po wygraniu międzynarodowego konkursu na stanowisko dyrektora artystycznego FP. Przywiozłem ze sobą żonę i nowo narodzoną córkę. Wtedy, na początku lat 90., z Rosji wyjechało wiele tysięcy ludzi, to był taki mały exodus. Mnóstwo moich znajomych właśnie wtedy pozostawiło kraj ojców, ale ja miałem wrażenie, że nie tyle uciekam, ile wracam do korzeni. Dlatego nie czułem się i nie byłem emigrantem. Chciałem mieć możliwość dzielenia się tym, co umiałem, z ludźmi na całym świecie. W Rosji w tamtym czasie było to prawie niemożliwe. Polska, kraj moich przodków, bardzo mi pomogła zrealizować to marzenie. Nigdy o tym nie zapominam.

Filharmonia to nie agora

Jednak od podziału na Polskę i Rosję nie uciekniemy. Czy nie jest tak, że w programie koncertowym na sezon 2019/2020 znajduje się sporo muzyki rosyjskiej, przyjedzie też wielu wykonawców, dyrygentów i solistów rosyjskich? Tymczasem znakomita śpiewaczka Olga Pasiecznik, która ma serce podzielone między Polskę a Ukrainę, ogłasza publicznie, że nie będzie wykonywać muzyki rosyjskiej, dopóki nie zakończy się agresja wobec jej pierwszej ojczyzny. Jak pan skomentuje taką postawę?

FOT. DG ART PROJECTS

eprasa.pl 4601838bb1

– Przede wszystkim nie mogę się zgodzić z tym, że repertuar mojego pierwszego sezonu jest niewyważony. Chociaż nie jestem w pełni jego autorem, bo pewna część solistów, dyrygentów i utworów była już naszkicowana wcześniej, uważam, że w porównaniu z poprzednimi sezonami nie ma w nim dominacji muzyki i artystów rosyjskich. Starałem się i będę się starał w przyszłości budować repertuar, stosując zasadę różnorodności.

Co do stanowiska Olgi Pasiecznik, z którą przyjaźnimy się od 25 lat i razem wykonywaliśmy wiele utworów, w tym rosyjskich, to przede wszystkim chciałbym podkreślić, że podejmując taką decyzję, miała do tego prawo i powody. Nie we wszystkim mogę do końca zgodzić się z jej argumentami, ale szanuję i respektuję jej postanowienie. Prowadziliśmy niejedną długą rozmowę na ten temat. Muszę powiedzieć, że nie wiem, jak postąpiłbym na jej miejscu, będąc Ukraińcem. Być może podobnie, bo decyzja o włączeniu Krymu do Rosji, a przede wszystkim sposób przeprowadzenia tej aneksji spowodowały coś, czego miliony ludzi i w Rosji, i na Ukrainie nie wyobrażały sobie nawet w mrocznych snach: niewypowiedzianą, ale faktycznie trwającą od lat wojnę na wschodzie Ukrainy, gdzie po obu stronach (może nawet dzisiaj!) giną ludzie, płaczą matki, pojawiają się nowe krzyże na świeżych mogiłach. Jest to wielka tragedia i chciałbym wierzyć, że ten horror skończy się jeszcze za mojego życia i wtedy świetna śpiewaczka i muzyk Olga Pasiecznik wróci do muzyki skomponowanej przez Czajkowskiego, Rachmaninowa, Prokofiewa i Szostakowicza. Na szczęście ustaliliśmy, że będziemy kontynuować współpracę, choć na razie nie zawsze w rozważanym wcześniej repertuarze.

Polityka wpływa na program artystyczny?

– Z mojego punktu widzenia polityka zewnętrzna prezydentów Putina, Trumpa czy innych światowych liderów nie ma nic wspólnego z programem koncertowym Filharmonii Narodowej. Rządy, a nawet systemy polityczne i wielkie imperia pojawiają się i znikają, a my nadal przygotowujemy i wykonujemy dla ludzi z całego świata muzykę Bacha i Mozarta, Wagnera i Brahmsa, Mahlera i Brücknera, Moniuszki i Chopina, Pendereckiego i Lutosławskiego, Czajkowskiego i Rachmaninowa, Szostakowicza i Strawińskiego. I tak będzie zawsze.

Może nie ma to wielkiego związku z programem koncertowym ani rozmaitymi wydarzeniami, które tu się odbywają, ale nie da się ukryć, że jesteśmy dziś bardzo podzieleni. Najlepszy dowód, że właśnie w Filharmonii Narodowej wybuczano polskiego ministra kultury. Czy ta instytucja będzie nadal otwarta dla wszystkich?

– Trudno być zupełnie niezależnym od tych podziałów i obojętnym na nie. Nie byłem i nie jestem aktywny politycznie. Nie dlatego, że jest mi to obojętne, ale dlatego, że mam swoje przeznaczenie w życiu i starając się je wypełnić, potrzebuję na to całego czasu, który mam i który mi pozostał. Oczywiście prywatnie mam poglądy na wiele spraw, ale nie jest to przedmiotem dyskusji w prasie. Filharmonia Narodowa jest zdecydowanie otwarta dla wszystkich, jednak nie uważam, że to idealne miejsce do dyskusji politycznych i rozwiązywania konfliktów. Niech to się odbywa na wiecach, mityngach, na różnych forach i oczywiście w parlamencie. Muzyka niech łagodzi obyczaje, że użyję tych ładnych, chociaż ostatnio trochę nadużywanych słów. Repertuar filharmoniczny, a także zapraszani tutaj goście, muzycy, dyrygenci i oczywiście publiczność reprezentują różne style i temperamenty. Sądzę, że ich zgodne połączenie jest możliwe.

Filharmonia to miejsce do medytacji, a nie do konfrontacji.

Filharmonia nie jest odizolowana od życia toczącego się poza jej murami, ale sądzę, że ludzie przychodzą tu po to, by przez dwie godziny przenieść się psychicznie i emocjonalnie do innego świata, bez nienawiści, bólu i wojny. Muzyka i nienawiść się wykluczają. Filharmonia to miejsce do medytacji, a nie do konfrontacji. Tak o tym myślę już od wielu lat.

Chopin najlepszy

W przyszłym roku w FN będzie się odbywać konkurs chopinowski. Szykuje pan z tej okazji jakieś specjalne wydarzenia?

– Konkurs chopinowski należy do kilku najważniejszych na świecie. Sam udział w nim jest zaszczytem, a zwycięstwo otwiera mnóstwo drzwi i dróg. Lista turniejów pianistycznych tej rangi jest bardzo krótka, są jeszcze dwa albo trzy o podobnym prestiżu. Dyrekcja konkursu chopinowskiego jest niezależną instytucją, ale filharmonia to miejsce konkursowych zmagań. Orkiestra i jej szef są zapraszani do udziału w koncercie inauguracyjnym i przesłuchaniach finałowych. W tej chwili program inauguracji jeszcze nie został ustalony. Czekamy na propozycje dyrektora konkursu Stanisława Leszczyńskiego, który tworzy koncepcję programową tego koncertu. Co do specjalnych wydarzeń – powiem tyle, że konkurs ma bardzo długą tradycję i trzeba ją szanować, nie należy niczego zbyt pochopnie zmieniać, choć oczywiście organizacja powinna być coraz lepsza. Konkurs staje się coraz bardziej otwarty na świat, obecnie już każdy będzie mógł śledzić jego przebieg dzięki transmisjom telewizyjnym i internetowym. Nowinki techniczne to dowód, że Polska szybko idzie do przodu ekonomicznie i kulturalnie, ale najtrafniejszym wskaźnikiem prestiżu konkursu są nazwiska laureatów, które z miejsca poznaje cały świat. Poziom uczestników w ostatnim czasie bardzo się podniósł, coraz częściej słyszymy pianistów bardzo sprawnych technicznie, z których każdy jest w stanie wykonać tak karkołomne dzieła jak „Isłamej" Bałakiriewa czy „Etiudy transcendentalne" Liszta, co jeszcze niedawno było przywilejem nielicznych. Moim życzeniem i marzeniem jest jednak, aby zwycięzcą został naprawdę Muzyk przez duże M, który nosi w sobie prawdziwy potencjał.

W finale najlepsi zagrają z orkiestrą.

– Dla mnie jako dyrygenta orkiestry konkurs chopinowski to także duże wyzwanie. Koncerty Fryderyka Chopina, które będziemy wspólnie wykonywać wiele razy, są utworami, w których orkiestra odgrywa rolę specyficzną, być może skromną, ale wyjątkowo ważną dla stworzenia takiej atmosfery dźwiękowej, która pomoże młodym finalistom czuć się swobodnie, muzykować, fantazjować. Przygotowuję się więc bardzo starannie, studiuję wszystkie głosy orkiestrowe i chciałbym, aby interpretacja

eprasa.pl 4601838bb1

była jak najwierniejsza idei Chopinowskiej. Prześledziłem większość (praca trwa) polskich opracowań i redakcji koncertów wykonanych przez najlepszych chopinistów, mam teraz na biurku faksymile Chopinowskiego rękopisu „Koncertu e-moll", w którym staram się odnaleźć wszystkie intencje i wątpliwości kompozytora. Nie robię nowej instrumentacji koncertów, choć taki pomysł zrealizowało już kilku twórców (jest chyba pięć czy sześć odmiennych instrumentacji koncertów), chciałbym jednak, by akompaniament orkiestry był naprawdę przezroczysty, a pianista zawsze słyszał to, co ważne dla jego interpretacji. Przygotowuję w tej chwili swój komplet głosów orkiestrowych obu koncertów. Postaram się, aby podczas konkursu orkiestra zabrzmiała świeżo i ciekawie.

Czy to ważne, że w „Koncercie f-moll" przed finałem jest fanfarowy motyw grany przez waltornię, który niekiedy stanowi problem dla niektórych muzyków?

– To ciekawe miejsce w tym utworze, bo motyw waltorni pojawia się dosyć niespodziewanie, a nie występuje ani w I, ani w II części. Został jakby specjalnie doklejony. Słyszałem kilka razy anegdotę, która tłumaczy, po co Chopinowi była ta fanfara. Podobno na próbie przed prawykonaniem „Koncertu f-moll" waltornista spojrzał w nuty i stwierdziwszy, że nie ma tutaj dla niego wiele do zagrania, po prostu poszedł do domu. Fryderyk, bardzo niezadowolony z takiego stosunku do swojej muzyki, dopisał wtedy do partytury w III części ów sześciodźwiękowy motyw solo i jeszcze go powtórzył. W czasie pierwszego wykonania, gdy nastąpił ten moment, orkiestra przestała grać i wtedy waltornista się zorientował, że wszyscy czekają na jego solówkę. Można sobie wyobrazić jego zaskoczenie! Historia milczy na temat tego, czy zagrał bez kiksu. Ale w przyszłości już na pewno prób nie ignorował!

Filharmonia Narodowa jest otwarta dla wszystkich, ale nie uważam, że to idealne miejsce do dyskusji politycznych i rozwiązywania konfliktów.

Kamienne ucho w Brukseli?

Czy podczas pięcioletniego szefowania Orchestre National de Belgique w Brukseli spotkał się pan na koncertach z przedstawicielami Rady Europejskiej albo Parlamentu Europejskiego, w którym zasiadało wielu Polaków? Może Jean-Claude Juncker, Frans Timmermans czy Donald Tusk przyszli posłuchać muzyki?

– Z tego, co wiem, pracujący w Komisji Europejskiej i europarlamencie nie mają wiele wolnego czasu, obrady mogą się przeciągać do późnej nocy. Do tego w latach mojej dyrekcji dołożyły się jeszcze ataki

eprasa.pl 4601838bb1

terrorystyczne w Brukseli, kiedy to Rada Europejska i Parlament Europejski pracowały prawie 24 godziny na dobę. Trudno mi więc precyzyjnie odpowiedzieć na pana pytanie, bo o tym, kto był na koncercie, mogę się dowiedzieć tylko wtedy, gdy ktoś mnie odwiedzi po jego zakończeniu. Nie mówię zatem definitywnie, że muzyka tych ludzi nie interesowała. Może większe zainteresowanie europosłów wzbudzała i budzi słynna opera La Monnaie w Brukseli, ale tego też nie badałem.

Na jednym z wrześniowych koncertów w Filharmonii Narodowej zauważyłem, że przed podniesieniem batuty wykonał pan w kierunku orkiestry znak krzyża, jakby błogosławiąc muzyków.

– Nie jestem kapłanem, aby dawać błogosławieństwo. Jednak muzycy są ludźmi bardzo przesądnymi, ja także, więc maleńki krzyżyk w kierunku orkiestry wykonałem spontanicznie.

Jestem ochrzczonym w Polsce katolikiem, choć niezbyt uzewnętrzniającym przekonania religijne. Kościół mam w sercu i wierzę w to, że nie wszystkie zjawiska na ziemi można racjonalnie wytłumaczyć. Czasami nachodzą mnie gorsze myśli i w tym momencie pomaga modlitwa. A wtedy na estradzie być może w ten sposób chciałem dać znać orkiestrze, że wszystko będzie dobrze! No i było!

A muzyka polska? Na konferencji inaugurującej dyrekcję artystyczną zwrócił pan uwagę, że najważniejsze orkiestry czeskie mogą wyjeżdżać za granicę i grać wyłącznie programy złożone z czeskiej muzyki, gdzie jest Smetana, Dvořák, Fibich, Janáček, Suk i inni. Nasze zaś muszą włączać także dzieła obce. Czy chciałby pan doprowadzić do tego, by Filharmonia Narodowa też miała ten przywilej?

– Tak, chciałbym do tego doprowadzić, ale niestety nie mamy w historii polskiej muzyki XIX w. kogoś takiego jak Antonín Dvořák, który skomponował aż dziewięć symfonii. Albo jak Bedřich Smetana, którego cykl poematów „Moja ojczyzna" („Má vlast") też jest wykonywany w każdym kraju. Naszą siłą, poza Chopinem, Moniuszką i Wieniawskim, jest muzyka XX w., takich autorów jak Karol Szymanowski, Mieczysław Karłowicz, Krzysztof Penderecki, Witold Lutosławski. Znów niestety, ale organizatorzy koncertów na całym świecie boją się programów z przewagą muzyki współczesnej, bo dla nich najważniejsza jest sprzedaż biletów – z tego żyją. Zanim więc będziemy mogli naciskać, że przywieziemy wyłącznie muzykę polską, trzeba udowodnić, że świetnie sobie radzimy w różnych stylach, w muzyce niemieckiej, francuskiej, amerykańskiej, włoskiej. Z kolei w Japonii, gdzie panuje absolutny kult Chopina, polskie orkiestry mogłyby grać na okrągło oba jego koncerty fortepianowe. Ale czy ma to być zawsze repertuar Orkiestry FN? Ja chciałbym wykonywać w Japonii więcej muzyki Szymanowskiego, Karłowicza, współczesnych kompozytorów. Pracujemy nad tym. Przed nami 120-lecie Filharmonii Narodowej w 2021 r. Myślimy wtedy o poważnym tournée zagranicznym i ta rocznica będzie powodem, by grać więcej muzyki polskiej. Planujemy koncerty skrzypcowe Wieniawskiego i Karłowicza, chcemy też sięgnąć do 20-lecia międzywojennego i pokazać polskich kompozytorów, którzy studiowali w Paryżu u Nadii Boulanger. Niektóre utwory z tego okresu są lepiej znane za granicą niż w Polsce. Lista propozycji jest bardzo długa.

Czym się wyróżniają polscy muzycy?

– Jest jeszcze jedna specjalność naszej orkiestry, bo dzięki Festiwalom Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień" muzycy nauczyli się świetnie grać trudne utwory nowoczesne, awangardowe. Wszyscy moi poprzednicy tym się zajmowali, sprawiając, że zespół dawał się poznać w repertuarze bardzo różnorodnym i bogatym, co nie wszystkim orkiestrom jest dane. Zostałem dyrektorem artystycznym Filharmonii Narodowej w tym okresie, kiedy do zespołu przyjęto wielu młodych muzyków. Oni nie myślą o wyjeździe z kraju, bo mogą mieć świetną pracę w domu! U tych ludzi dostrzegam ogrom radości i szczęścia, że na miejscu mogą zrobić duży krok w osobistym rozwoju. Mają chęć do grania i nie są zmęczeni rutyną. Niedawno graliśmy wspólnie „Święto wiosny" Strawińskiego, ale mamy tę wiosnę nie tylko w programach koncertowych. Każda społeczność przeżywa kolejne pory życia jak pory roku.

Bronisław Tumiłowicz

KSIĄŻKI

Marian Stępień
Kartki z dziennika
Studio Emka, Warszawa 2019

Emerytowany profesor zwyczajny UJ, historyk literatury, krytyk literacki, publicysta, członek założyciel Stowarzyszenia Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica", redaktor naczelny „Zdania", sekretarz KC PZPR ds. kultury (1988-1990) przedstawia zapiski z dziennika obejmujące lata 1969-2017. Był to czas ważnych zmian w kraju. Towarzyszyły im doniosłe przeżycia, wielkie satysfakcje i głębokie wzruszenia. Ale pojawiała się też konieczność podejmowania trudnych decyzji. Zdarzały się ciosy z różnych stron, akty niesprawiedliwości, nielojalnego postępowania. Odsłaniały się nieoczekiwane strony ludzkich zachowań.

Henryk Martenka
Polacy, nic się nie stało
Felietony 2011-2016
Nie strzelać do bocianów!
Felietony 2016-2019
Dom Wydawniczy Margrafsen, Bydgoszcz 2016, 2019

Zbiory tekstów, które ukazały się w tygodniku „Angora" w cyklu „Z życia sfer polskich". Tematami są ludzie, media, sport, kultura, wydarzenia polityczne. Pojawiają się w nich wątki aferalne. Drugi zbiór opatrzył przedmową stały czytelnik tygodnika „Angora" prof. Selim Kryczyński. „Wydarzenia, które Henryk Martenka komentuje w felietonach, są różnej natury i rangi. Swoje stanowisko wobec nieakceptowalnych wydarzeń politycznych i postaci ze świata polskiej polityki Martenka formułuje jasno i czasem na tyle ostro, że niejednokrotnie dziwię się, że cieszy się jeszcze wolnością. Jego felietony zawsze nawiązują do aktualnych wydarzeń. Wyśmiewały lub piętnowały głupotę, fanatyzm, nietolerancję, chamstwo i inne grzechy Polaków – i tych na szczytach władzy, i tych mniej ważnych. Felietonista może liczyć na to, że wesprze swoim słowem tych rodaków, którzy podzielają jego poglądy, że dostarczy im argumentów jeśli nie do dyskusji, to przynajmniej do rozmyślań nad własną postawą, że pokaże im, iż jest więcej takich, którzy myślą tak jak oni. Ten zapis to rodzaj obywatelskiej pamięci i świadectwa danego prawdzie".

eprasa.pl 4601838bb1

NA EKRANACH

SUPERNOVA

reż. Bartosz Kruhlik, prod. Polska, premiera 20 listopada

Zapamiętajcie to nazwisko! Bartosz Kruhlik (h jest dźwięczne, wymawiamy je!) w reżyserskim debiucie ociera się o arcydzielność. Do oglądania filmów na bezdechu i z ręką nerwowo zaciśniętą na podłokietniku fotela potrafi w polskim kinie zmusić już nie tylko Wojtek Smarzowski. Młodszy reżyser ewidentnie się nim inspiruje, ale nie zżyna. Szuka własnego stylu, tematu, gatunku. I znajduje je gdzieś na przecięciu dramatu policyjnego, antycznej tragedii z fatum w roli głównej i gorzkiej wiwisekcji polskiego społeczeństwa. Wprawdzie opozycje są tu raczej proste – prowincja na przemian pije i modli się, a warszawka gna na haju drogimi furami – ale kiedy twórca zderza te stereotypy, a dzieje się to, gdy cyniczny polityk wywołuje tragiczny wypadek, okazuje się, że ani wykształcenie, ani religijność, ani stan konta, ani mundur nie mają znaczenia, gdy stawką jest wymierzenie sprawiedliwości na własną rękę. „Supernova" to najciekawsza refleksja nad samosądem od czasu „Długu" Krauzego. I gwarancja, że wyjdzie się z kina roztrzęsionym. (Rozmowę z Bartoszem Kruhlikiem można przeczytać w PRZEGLĄDZIE nr 46).

Artur Zaborski

DOKUMENT W TV

TEATR APOLLO

Dokument w reżyserii zdobywcy Oscara i nagrody Emmy Rogera Rossa Williamsa to zapis barwnej 85-letniej historii i współczesnych dokonań słynnego nowojorskiego teatru Apollo. Placówka, która była początkowo przystanią dla zmarginalizowanych artystów, stała się z czasem prawdziwą instytucją i symbolem emancypacji czarnoskórych twórców. Williams analizuje nie tylko problemy wpisane w życie społeczności afroamerykańskiej, ale także rolę, jaką sztuka odgrywa w jej walce o większe prawa. Historię kultowego teatru na Manhattanie poznajemy dzięki archiwalnym nagraniom występów oraz rozmowom z takimi artystami jak Angela Bassett, Patti LaBelle, Paul McCartney, Jamie Foxx czy Common.

HBO GO, HBO OD 5 GRUDNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Alice Hoffman
Zasady magii

tłum. Danuta Górska
Albatros, Warszawa 2019

John Hathorne odegrał niechlubną rolę w procesie czarownic z Salem. By odciąć się od przodka zapamiętanego jako „wieszający sędzia", praprawnuk Nathaniel dostawił literę w do nazwiska, a swoje pisarstwo traktował jako rodzaj zadośćuczynienia. Tenże Hathorne, i tu wkraczamy w świat fikcji, stał się przyczyną klątwy rzuconej przez Marię Owens na jej potomków – nie wolno było im się zakochać, bo miłość ściąga nieszczęście. Łatwo powiedzieć. Rodzeństwo Owensów, dorastające już w latach 50. XX w., całe swoje niespokojne życie będzie się mierzyło z konsekwencjami klątwy. Jeśli brzmi to wam jakoś znajomo, to owszem, ciągiem dalszym jest „Totalna magia" z Nicole Kidman i Sandrą Bullock (sama „Totalna magia" do przeczytania wkrótce). Przed prawdą o sobie nie ma co uciekać, choć akurat dla Vincenta, rodzynka w klanie czarownic, nie będzie nią magiczne dziedzictwo. Co ciekawe, autorka właśnie jego najmocniej osadza w kontekście kulturowym – uczestniczy on w festiwalu w Monterey i w zamieszkach po nalocie policji na gejowski klub Stonewall, uchyla się od poboru do Wietnamu. Siostry zaś wydają się zawieszone w czasie. „Zasady magii" oczarowują melodyjnością tekstu, choć bywają mocno melodramatyczne.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

The Katowice City Singers' Ensemble Camerata Silesia
Camerata Silesia sings Szymański

DUX

Jeden z najlepszych polskich chórów kameralnych wykonuje muzykę jednego z najwybitniejszych polskich kompozytorów średniego pokolenia. Na płycie znalazły się cztery utwory wokalne o sakralnym rodowodzie, z towarzyszeniem takich instrumentów jak fortepian, harfa, czelesta, wiolonczele, rozmaite odmiany perkusji, np. wibrafon, bębny, perkusja, dzwonki, drumla. Jest nawet maszyna wiatrowa imitująca szum pustynnego piasku, bo najdłuższy z prezentowanych utworów jest jakby ilustracją dźwiękową, może nawet akustycznym reportażem rozgrywającym się przed wiekami na pograniczu nubijsko-egipskim. Co ciekawe, w powstaniu utworu Pawła Szymańskiego „Phylakterion" brał udział polski naukowiec z Uniwersytetu Warszawskiego, znawca starożytnych języków prof. Adam Łajtar. Słuchając kompozycji biorących początek w chrześcijańskiej liturgii łacińskiej i greckiej, przeżywamy niezwykłą podróż w odległe epoki, choć twórca posługiwał się współczesnym językiem dźwiękowym.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4601838bb1

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Zabawy z mitem

Wioślarz, piechur, pływak, rowerzysta. Przystojniak ze śniadą cerą, wysoki. Bywalec knajp i klubów. Solidny pracownik. Świetnie wychowany i dobrze rozpoznający towarzyskie konwencje. Dbający o własny wizerunek. Znak towarowy, który dobrze sprzedaje produkty i miejsca. Ale także pisarz źle rozpoznany, w tym sensie może nawet „nieznany". Spetryfikowany w stereotypie. Autor szalenie dowcipny, a jednocześnie surowy, anarchistyczny. Taki, który kreuje raczej fragmentaryczne wizje niż dobrze skomponowane powieści.

Otóż właśnie idzie przez Polskę nowy Kafka. I wali się na nas jak mgła, kierując do świata swoje „spaliłeś mnie" – „na poły ostrzeżenie, a na poły wdzięczność". Otrząsa się, nie dowierzając, że dopiero teraz czyścimy szybkę na tyle solidnie, żeby zobaczyć jego, nie widmo. Nie pisarza tradycji parabolicznej. Nie smutnego jasnowidza, wieszcza totalitaryzmu. Nie mnicha i introwertyka, który z trudem negocjuje swoje miejsce w lokalnej społeczności. I wreszcie nie autora homogenicznej wizji świata, podbitej mistyką żydowską, pesymizmem czy natrętną koncepcją wiecznego powrotu Nietzschego.

Idzie przez Polskę nowy Kafka. I wali się na nas jak mgła.

To Kafka odsłaniany pracowicie – w trzech różnych książkach, ale także w dyskursie metaliterackim – przez dwóch znakomitych kafkologów: Jakuba Ekiera i Łukasza Musiała. Ekier – poeta i tłumacz – wykonał drugi po kanonicznym przekład „Procesu" Franza Kafki. Ten, który wrósł w nasz język, zrobili wspólnie Józefina Szelińska i Bruno Schulz (chociaż przyjęło się uważać, że przekładu dokonała nieznana wówczas Szelińska, a Schulz go zredagował, opatrzył swoim nazwiskiem i napisał posłowie). Ekier uważa to tłumaczenie za zbyt normalizujące. Niewielu polskojęzycznych czytelników wiedziało np., że Kafka nadawał swoim bohaterom znaczące nazwiska. Szelińska i Schulz nie tłumaczyli ich, dlatego czytamy o pannie Bürstner, a nie – jak u Ekiera – o pannie Bzykier. Druga istotna kwestia dotyczy poczucia humoru, które stary przekład spłaszczył, a nowy słusznie postanowił wydobyć. Oczywiście to humor – powiedzmy – nieostentacyjny i tłumacz dokonuje równie subtelnych napraw. Zdanie, które brzmiało mniej więcej tak: „Zrzucał ze schodów każdego adwokata, który chciał wejść", Ekier podaje nam precyzyjniej: „Każdego adwokata, który chciał wejść, zrzucał ze schodów". Podczas jednego z paneli dyskusyjnych Zofia Król przytoczyła anegdotę, według której Kafka zaśmiewał się, czytając przyjaciołom fragmenty „Procesu". Dla tej grupki czytelników to był zabawny tekst.

Łukasz Musiał z kolei przygotował „Prozy utajone" – wybór mniej znanych tekstów Kafki. Obaj, i Musiał, i Ekier, wzorowali się na wydaniach krytycznych – niemal faksymilowych (Ekier uważa, że w wypadku Kafki lektura faksymiliów byłaby dla czytelnika niestrawna). Musiał jest także autorem tzw. kafkowskiej beenki, czyli naukowego opracowania wyboru prozy Kafki w serii Biblioteki Narodowej Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Poprzedził go obszernym esejem, który zbudował właśnie na – jak to ładnie nazwał autor nowego przekładu – „delikatnym kontrapunkcie do stereotypu". Cała (także metatekstowa) praca obu tłumaczy polega na uświadomieniu czytelnikowi, że Kafka jest nie tylko projektem unieruchomionym i ukrytym pod nadmiarem interpretacyjnych ofert, ale przede wszystkim projektem otwartym. Dodatkowo Musiał wybija nas z różnych czytelniczych (i krytycznoliterackich) przesądów, zadając fundamentalne pytania dotyczące odbioru tekstu literackiego: dlaczego za cechę udanego tekstu uważamy ramy narracyjne w postaci początku, rozwinięcia i zakończenia? Gdzie lokujemy „sens" tekstu? Dlaczego półzdaniowy tekst niechętnie traktujemy jako pełnowartościowy produkt?

Refleksja Musiała nad poziomami odbioru „dzieł literackich" sięga zresztą dalej – do procesów, nazwijmy to, produkcyjnych: redakcyjnej obróbki tekstu, korekty, dystrybucji, dziś dorzucilibyśmy do tego jeszcze marketing. Musiał i Ekier dają nam Kafkę odrobinę bliższego jemu samemu, ale obaj zaznaczają: istnieje co najmniej siedem rekonstrukcji „Procesu" zrobionych przez różnych kafkologów. Pytanie, jak dzisiaj krytyka odebrałaby te teksty, miejscami pozbawione struktury i tytułów, afabularne, gęste od bohaterów oglądanych przez autora jakby z zewnątrz. Te postacie pozbawione psychologii, poruszające się czasem po okręgu, wykonujące przerysowane gesty, jak aktorzy niemego kina.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4601838bb1

Tęsknota za butelkami na wymianę

Idea, by rzeczy naprawiać, a nie wyrzucać, jest uważana za innowację

Tomasz Borejza

Gdyby o ludzkich sentymentach sądzić na podstawie internetu, należałoby powiedzieć, że rośnie tęsknota za latami 70. XX w. Wyraźnie widać bowiem, że coraz bardziej dość mamy nadmiaru rzeczy, które tak naprawdę do niczego nie są nam potrzebne, za to szybko się psują i trafiają na śmieci. Tęsknimy także za tym, by zwolnić i więcej czasu poświęcić kontaktom z ludźmi.

W ciągu jednego dnia w Etiopii posadzono – według oficjalnych statystyk – 350 mln drzew.

Galeria handlowa z second handem

Dlatego tak wielu tak bardzo spodobała się pewna idea ze Szwecji. Tam w 70-tysięcznym mieście Eskilstuna otwarto nietypową galerię handlową. Kupić w niej można jedynie rzeczy używane i naprawione. Katalog produktów jest bardzo obszerny i mieszczą się w nim nie tylko meble, ubrania, rowery oraz książki, ale też oferta RTV i AGD. Choć z tymi sprzętami, mówią prowadzący galerię, jest problem, bo niewiele z nich nadaje się do naprawy. Obecnie projektuje się je bowiem raczej tak, by szybko wymieniono je na nowe.

Sklepy w galerii świetnie sobie radzą. W pierwszym roku działania (2015) obroty wyniosły 2,5 mln koron, a w ubiegłym roku już prawie 11,7 mln. Sama przestrzeń handlowa została zorganizowana przez miasto, a jego władze podkreślają, że oprócz przyzwoitych miejsc pracy zapewnia ona niedrogie towary dla mieszkańców miejscowości, która – jak na szwedzkie standardy – nie jest specjalnie zamożna. Przy okazji korzysta środowisko, bo produkuje się mniej śmieci. Pomysł bardzo się spodobał, a jego opis krążył po świecie i zmieniał się w tzw. virale w wielu miejscach. Jest tego wart, ale mnie dziwi, że idea, by rzeczy naprawiać, a nie wyrzucać, jest uważana za innowację.

Wcześniej wydawało mi się oczywiste, że lepiej rzeczy naprawiać, niż wyrzucać. Okazuje się jednak, że wylądowaliśmy w świecie konsumpcji tak bezsensownej, że sam pomysł ponownego wykorzystania przedmiotów zepsutych lub dobrych, ale używanych, staje się ideą wywrotową. To jasna oznaka, że rację ma Yuval Noah Harari, który w książce „Sapiens" tak charakteryzuje współczesny świat: „Aby przeżyć, współczesna kapitalistyczna gospodarka musi stale podnosić poziom produkcji. Niczym rekin, który do życia potrzebuje wody, ludzkość musi produkować, inaczej bowiem czeka ją upadek. Nie wystarczy jednak tylko produkować. Ktoś musi kupować towary, w przeciwnym razie przemysłowcy i inwestorzy pójdą z torbami. Zapobieganiu tej katastrofie i gwarantowaniu, że ludzie zawsze będą kupować wszystkie nowe wytwory przemysłu, służy nowa postać etyki: konsumpcjonizm".

Sklep z kasą dla ludzi, którzy się nie śpieszą

Ta etyka wychowuje nas do tego, by marnować życie na bieganie za pieniędzmi, które później przeznaczamy na kupowanie niepotrzebnych rzeczy. Niepotrzebnych nam, ale takich, które ktoś potrzebuje nam sprzedać. Efektem są tony śmieci oraz niepotrzebnych szpejów zaśmiecających niemal każdy dom i mieszkanie. Ale jest nim też wszechobecne zagonienie, bardzo często spowodowane tym, że wszyscy musimy mieć więcej, lepiej, szybciej i koniecznie nowe.

To powoduje, że nie mamy czasu relacje społeczne. Na przykład z panią w kiosku, z którą kiedyś zawsze się rozmawiało. Nie rozmawiamy ze sprzedawcą, bo się śpieszymy, a on jest rozliczany z tego, jak dużo towarów skasuje w ciągu minuty. Rozmowa nie jest więc w smak ani nam, ani jemu, bo wszyscy gdzieś biegną, choć niekoniecznie wiedzą dokąd.

Odpowiedź na to zaproponowała jedna z holenderskich sieci supermarketów, która w mieście Vlijmen wprowadziła dwie innowacje uznane za tak istotne, że podczas ich otwarcia wstęgę przecinał wicepremier Hugo de Jonge. Informacje o nich obiegły świat i – podobnie jak galeria handlowa w Eskilstunie – stały się internetowym viralem.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4601838bb1

Na czym polegają te dwie nowinki? Pierwszą jest kącik kawowy dla seniorów, który pozwala im zrobić sobie przerwę w czasie zakupów i pogadać ze znajomymi. Ale znacznie bardziej spodobał się drugi pomysł. Oprócz kącika pogawędkowego powstała jedna kasa dla ludzi, którzy się nie śpieszą. Ma to pozwolić spokojnie porozmawiać, bez obawy, że ktoś za nami się zirytuje, a kasjer nie wyrobi normy. Ten pomysł ma służyć walce z samotnością ludzi starszych, która jest plagą w Holandii, ale także w Polsce.

Powrót mleczarza

Brzmi znajomo? Kiedyś tak było w bardzo wielu miejscach. A to niejedyna rzecz, która wraca jako nowa i rewolucyjna. W ubiegłym roku serca internautów podbił również opis innowacyjnego nowojorskiego sklepu. Nazywa się Wally Shop, a od konkurencji odróżnia go to, że towary dostarcza w opakowaniach zwrotnych i np. mleko przyjeżdża do klienta w szklanej butelce, za którą pobierana jest kaucja. Towary zamawia się przez internet i dostarczają je kurierzy rowerowi, a wszystko działa mniej więcej tak, jak kiedyś działał mleczarz.

Przy okazji przedstawiania nowojorskiego pomysłu pisano zresztą o „powrocie mleczarza". Entuzjazm wywołało przede wszystkim to, że sklep zrezygnował z jednorazowego plastiku, którego dziś w środowisku za dużo. Jego wszechobecność powoduje chyba przekonanie, że coś jest nie w porządku. I dlatego w zasadzie wszystkie pomysły związane z ograniczeniem jego stosowania budzą u internautów entuzjazm. Co dotyczy także Polski, gdzie ogromną sympatię budzą nie tylko artykuły dotyczące działania systemów kaucyjnych na plastikowe butelki, ale też opis każdego właściwie pomysłu, który da się zatytułować „rezygnacja z plastiku". Dlatego latem przez nasz kraj przeszła fala deklaracji miast o tym, że nie będą z niego korzystać np. w czasie organizowanych przez siebie imprez. Albo o tym, że w szkołach i przedszkolach dzieci będą jadły z talerzy, które da się myć, i metalowymi sztućcami wielorazowego użytku, w miejsce jednorazówek, które po każdym obiedzie trafiają do kosza.

Co zresztą ma dotyczyć również picia i tego, by do szkół i przedszkoli na dobre i bez wyjątków wróciły wielorazowe kubki oraz szklanki. Szlak przetarł tu Wałbrzych, a kiedy okazało się, że ten krok jego włodarzy wzbudza entuzjazm opinii publicznej, a nie kosztuje za wiele, podobne deklaracje ogłosiły m.in. Kraków, Sosnowiec, Poznań i jeszcze kilka innych polskich miast.

Obiad za plastik, kaucja na papierosy

Jednak wszystkie te deklaracje, jeśli sądzić po liczbie pozytywnych internetowych reakcji, przebiła prosta idea z Indii. W mieście Ambikapur otwarto współfinansowaną przez gminę restaurację, w której za śniadanie i obiad płaci się nie pieniędzmi, ale plastikowymi śmieciami. Za obiad trzeba dać kilogram plastiku. Poranny posiłek kosztuje o połowę mniej. Sam surowiec ma później trafić do recyklingu i zostać wykorzystany m.in. do budowy dróg, które w Indiach coraz częściej są budowane z domieszką plastiku, co podobno zwiększa ich trwałość.

Sprzęt RTV i AGD projektuje się z myślą, by szybko zmienić go na nowy.

Ciekawy projekt mniej więcej w tym samym czasie pojawił się też w Niemczech i także przez kilka dni krążył po mediach społecznościowych. W Berlinie rzucono bowiem pomysł na walkę z zaśmiecającymi miasta niedopałkami papierosów. Zaproponowano kaucję za niedopałki – do każdego papierosa doliczano by 20 eurocentów, które palacz mógłby odzyskać po dostarczeniu niedopałków do kiosku. Na razie jednak nic nie wskazuje, by ta idea miała zostać wprowadzona w życie.

Wdrożono za to inny bardzo dobry pomysł. W Etiopii, która coraz dotkliwiej odczuwa skutki zmian klimatu oraz wylesiania, postanowiono pobić rekord świata w sadzeniu drzew. W ciągu jednego dnia posadzono ich – według oficjalnych statystyk – 350 mln. Jednak nie samo sadzenie przykuło uwagę internautów. Równie ważny, a może nawet ważniejszy, był sposób, w jaki udało się to zrobić. Prezydent kraju Abiy Ahmed Ali, nawiasem mówiąc tegoroczny laureat Pokojowej Nagrody Nobla, zdecydował mianowicie o zamknięciu części urzędów i wysłaniu urzędników do sadzenia drzew. Całość akcji nosi nazwę „Zielone dziedzictwo", a jej efektem ma być 4 mld posadzonych drzew. Są one w Etiopii bardzo potrzebne, bo w XX w. powierzchnia lasów skurczyła się tam z 35% do 4% obszaru kraju.

Ale zielonymi pomysłami potrafią też walczyć o uwagę europejskie miasta. Na przykład Londyn, który zdecydował, że chce być pierwszym na świecie miejskim parkiem narodowym. W praktyce oznacza to dbałość o zieleń, która ma pokryć połowę jego powierzchni, a także unikanie lania betonu i kruszenie go tam, gdzie wylało się za dużo – w przyszłości np. podjazdy w domach brytyjskiej stolicy mają być trawiaste, a nie wyłożone betonową kostką. Ładnie opakowana idea nie jest niczym nowym, raczej powrotem do dobrych wzorów z przeszłości. Sprawdzających się i u nas, bo takiemu Wałbrzychowi sympatii przysporzyła wiadomość, że obok dróg będą tam w najbliższym czasie powstawać kwietne łąki, które ułatwiają życie pszczołom i innym zapylaczom. Piękny zamysł, ale miałem poczucie, że ktoś odkurzył starą ideę, która towarzyszyła choćby projektowaniu nowohuckiej alei Róż.

Podobne wrażenie towarzyszyło mi zresztą w czasie czytania i pisania o większości nowych pomysłów. Entuzjazm, jaki w dzisiejszym świecie budzą takie projekty, wynika głównie z tego, że zapędziliśmy się lub może raczej zostaliśmy zapędzeni w bezsensowny i przesadzony konsumpcjonizm. I coraz więcej osób zaczyna sobie to uświadamiać. To dlatego powrót rozwiązań, w których przebijają wartości z czasów, kiedy rzeczy jeszcze nie były bogiem, a posiadanie jak największej ich liczby nie uchodziło za oczywisty cel życia, tak bardzo cieszy i z łatwością zdobywa uwagę i uznanie. A jednocześnie pokazuje, że w dzisiejszym świecie, choć pod wieloma względami lepszym niż ten z lat 70., bardzo dużo jest spraw, w których boleśnie pobłądziliśmy – zrezygnowaliśmy z dobrych rzeczy i relacji, by zastąpić je świecidełkami, które prawie nikomu nie służą. ■

eprasa.pl 4601838bb1

Test na padaczkę

Będzie można zbadać padaczkę za pomocą badań krwi

Rozmawia Barbara Jagas

Padaczka zdaniem neurobiologa to…

– …stan patologiczny mózgu, który charakteryzuje się nieskoordynowanymi wyładowaniami elektrycznymi. Zewnętrznym tego objawem są drgawki. Mogą one obejmować całe ciało, czemu towarzyszy sztywność mięśni, ale mogą też występować drgawki częściowe, których nie widać, jednak aktywność mózgu jest zmieniona i obserwujemy zaburzenia EEG. Objawem padaczki mogą być również: chwilowa, kilkusekundowa utrata świadomości, zaburzenia mowy albo nagły napad śmiechu – co występuje u dzieci. Chodzi o sytuacje, które nie są śmieszne, a dziecko ni stąd, ni zowąd zaczyna chichotać.

Czy jest w mózgu ośrodek odpowiedzialny za śmiech?

– Z wywoływaniem śmiechu czy kierowaniem nim związanych jest kilka struktur mózgu, np. kora przedczołowa, hipokamp, ciało migdałowate. I właśnie na podstawie objawów padaczki można czasem określić, w jakiej części mózgu znajduje się jej ognisko. Jeśli mamy np. zaburzenia mowy, to może ono być zlokalizowane w płatach skroniowych mózgu.

Nie ma jednej choroby, która nazywa się padaczką, prawda?

– Tak, to tylko symptom jakiejś choroby. Padaczka może mieć podłoże genetyczne, może wystąpić po fizycznym urazie mózgu albo po udarze.

Na czym polega jej diagnostyka?

– Badaniem, które potwierdza padaczkę, jest EEG.

A czym pani się zajmuje?

– Razem z prof. Katarzyną Łukasiuk, w której laboratorium pracuję, zajmujemy się procesem epileptogenezy, czyli rozwojem padaczki. Jeśli np. po urazie mechanicznym lub udarze dochodzi do uszkodzenia mózgu, to drgawki padaczkowe mogą wystąpić nawet za 10 lat. Mówimy wtedy, że uaktywniła się padaczka.

To bardzo daleka droga od bodźca do objawów.

– O wystąpieniu padaczki możemy powiedzieć dopiero wtedy, gdy doszło do dwóch napadów drgawkowych – bo ktoś mógł mieć tylko jeden taki napad, np. po podaniu jakiegoś leku, ale to jeszcze nie jest padaczka. O padaczce powiemy jednak, gdy po jednym napadzie jest duże prawdopodobieństwo wystąpienia kolejnego. Na przykład jeśli ktoś ma guz mózgu i zaobserwowano u niego drgawki, możemy podejrzewać, że dopóki nie usuniemy guza, drgawki będą się powtarzać.

Jakie mamy możliwości diagnostyki padaczki? Kiedy możemy przewidzieć, że wystąpią jej symptomy?

– Na razie pracujemy nad tym. A warto takie rzeczy wiedzieć, by można było zaaplikować pacjentowi odpowiednie leki. Dlatego w pracowni prof. Łukasiuk zajmujemy się poszukiwaniem metod wczesnej i prostej diagnozy padaczki. Konkretnie poszukujemy biomarkerów padaczki. Wysokie stężenie cukru we krwi jest biomarkerem cukrzycy, my zaś szukamy takiego „dowodu" na występowanie padaczki. I skupiliśmy się na mikroRNA.

A co to takiego?

– Jest to bardzo ciekawa część naszego materiału genetycznego. DNA koduje informacje niezbędne do syntezy wszystkich białek występujących w naszym organizmie. Żeby informacja została przepisana na białko, wcześniej jest przepisywana na RNA. RNA ma też zapisane informacje o kodowanych białkach. I okazuje się, że pomiędzy tymi częściami RNA, które mają zakodowane informacje o białku, są przerwy, które nazwano niekodującymi RNA, ponieważ myślano, że nie kodują one żadnych białek. Ale to przeszłość. Okazało się, że mikroRNA mogą regulować funkcje różnych genów, przez co mają ogromne znaczenie w naszym organizmie. Jedno mikroRNA może regulować ponad 100 różnych genów. I w padaczce pojawiają się właśnie takie zmienione mikroRNA, czyli może być obniżony lub podwyższony ich poziom ekspresji.

Co nam daje tego typu wiedza?

– Okazuje się, że ten zmieniony poziom mikroRNA możemy zaobserwować także we krwi osoby, która ma padaczkę lub będzie ją miała.

Można więc będzie w przyszłości zbadać padaczkę u pacjenta za pomocą badań krwi?

– Właśnie tak. Bo ten zmieniony poziom mikroRNA, widoczny również we krwi, występuje w momencie drgawek lub przed nimi. W ten sposób będziemy mogli stworzyć test krwi, który pozwoli na stwierdzenie padaczki.

Padaczka lekooporna dotyczy 30% pacjentów.

DR KINGA SZYDŁOWSKA
– pracownik Instytutu Biologii Doświadczalnej PAN im. Marcelego Nenckiego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4601838bb1

Ale jaką mielibyśmy z tego korzyść?

– Będziemy mogli przewidzieć wystąpienie napadu padaczki, zanim zaczną się drgawki, i podać leki takiej osobie. A padaczkę dobrze się leczy. Powstało wiele nowych i skutecznych leków.

Słyszałam, że nie zawsze da się ją leczyć.

– Rzeczywiście, istnieje padaczka lekooporna, która dotyczy 30% pacjentów. Jednak i w takim przypadku często możemy pomóc – np. poprzez zabiegi chirurgiczne. Jeśli tylko lekarzowi uda się ustalić ognisko chorobowe, możemy je usunąć. Oczywiście jest to interwencja chirurgiczna i w jej trakcie może dojść nawet do uszkodzenia mózgu, niemniej jednak dla pacjentów, którzy mają po kilkadziesiąt ataków padaczki dziennie, to zawsze jakieś wyjście.

Są jeszcze metody polegające na stymulacji mózgu.

– Jest to stymulacja nerwu błędnego – specjalne urządzenie założone na nerwie błędnym, na wysokości szyi, wysyłając impulsy elektryczne, wycisza atak padaczki. Metoda jest dość skuteczna, rzadko całkowicie niweluje wystąpienie drgawek, ale na pewno bardzo znacząco zmniejsza ich liczbę. Są też pacjenci, którym pomaga w stu procentach. Inną metodą, bardziej złożoną, jest głęboka stymulacja mózgu. Wymaga instalacji elektrod w mózgu i na jego powierzchni, a do tego potrzeba operacji chirurgicznej. Jest ona skuteczna u pacjentów, w których wypadku wiemy, gdzie występuje ognisko chorobowe.

Leki chyba są lepsze...

– To zależy od pacjentów. Zaczyna się przeważnie od stosowania leków. Oddziałują one na kanały jonowe, receptory oraz na wydzielanie neuroprzekaźników, często nieprawidłowe w przypadku padaczki, powodujące zakłócenia pracy mózgu. Leki modelują działanie neuroprzekaźników lub ich receptorów. Jednak długo nie było przełomu, jeśli chodzi o nowe leki. Natomiast wspomniane stymulacje mózgu były przełomem. A w przyszłości będą to manipulacje mikroRNA...

Proszę o tym opowiedzieć.

– Od czasu poznania mikroRNA zaczęto prowadzić różne badania, w kontekście nie tylko diagnostyki, ale także nowych leków przeciwpadaczkowych. Ich mechanizm działania miałby polegać na unormowaniu poziomu mikroRNA. Takie próby zostały już skutecznie przeprowadzone na zwierzętach. Ale na razie wszystko jest na etapie badań.

Mówiłyśmy o udarach, których skutkiem może być padaczka. Wiem, że pani zajmowała się opracowywaniem leków przeciwudarowych, będąc jeszcze w Kanadzie.

– Udarami mózgu zajmowałam się na stażu podoktorskim, który odbyłam w Toronto Western Hospital, gdzie pracowałam w laboratorium prof. Michaela Tymiańskiego. Prof. Tymiański, który jest neurochirurgiem, wynalazł substancję będącą potencjalnym lekiem przeciwudarowym, opublikował na ten temat pracę w 1999 r. w czasopiśmie „Science".

Minęło już 20 lat, a chyba jeszcze takiego leku nie mamy.

– Nie, ten lek jeszcze nie jest dostępny dla pacjentów, ale znajduje się już w ostatniej fazie badań klinicznych. O ile mi wiadomo, to jedyny lek neuroprotekcyjny na świecie, który doszedł do tak zaawansowanego etapu badań.

Jednak długo to wszystko trwa – od wynalezienia substancji do produkcji leku.

– W tej chwili lek jest już podawany pacjentom w USA i Kanadzie, na razie jeszcze w ramach badań klinicznych, ale zawsze. Wygląda to tak, że pacjentowi podejrzanemu o wystąpienie udaru podaje się taki lek w karetce, oczywiście za zgodą jego lub rodziny, gdy pacjent nie może tego zrobić.

Podaje się lek w trakcie udaru?

– Można go podać także wcześniej, przed udarem. Plusem jest to, że lek jest bezpieczny i działa zarówno w przypadku udarów niedokrwiennych, jak i krwotocznych. Dotąd były skuteczne leki na udar niedokrwienny, ale wcześniej trzeba było zidentyfikować, do jakiego rodzaju udaru doszło, poddając pacjenta badaniom w szpitalu. A przecież tutaj liczy się czas, każda sekunda. Nowy lek będzie można podawać natychmiast, bez zwłoki. I to jest wielka zmiana.

■

W USA i Kanadzie w fazie badań klinicznych jest już podawany lek skuteczny i w udarze niedokrwiennym, i w krwotocznym.

eprasa.pl 4601838bb1

Jerzy J. Wiatr

Portret myśliciela

Bauman, w odróżnieniu od wielu innych ekskomunistów, nigdy nie odrzucił podstawowych wartości socjalistycznych

Dwa miesiące przed trzecią rocznicą śmierci Zygmunta Baumana (1925-2017) ukazała się pierwsza pełna biografia tego uczonego – mojego przyjaciela od bardzo wielu lat. Dariusz Rosiak, publicysta „Tygodnika Powszechnego" i Polskiego Radia, napisał książkę bardzo wartościową i odważną, co nie wyklucza kontrowersyjności niektórych tez autora. Dotychczasowa literatura poświęcona Baumanowi (w tym biograficzne książki takich autorów jak Peter Beilharz, Shaun Best, Tony Blackshaw, Dariusz Brzeziński, Ali Rattansi, Dennis Smith oraz Keith Tester i Michael Jacobsen) skupiała się na analizie jego dorobku naukowego, najczęściej zresztą tylko tego, który powstał w późnym (i najbardziej doniosłym) okresie jego twórczości. Rosiak jako pierwszy dał nam kompleksową biografię uczonego, opartą na obszernej literaturze, bardzo starannym wykorzystaniu źródeł archiwalnych, a także wywiadach z 39 osobami, które Baumana znały z różnych etapów jego życia.

Autor tej biografii nie jest człowiekiem lewicy i do socjalistycznych poglądów swojego bohatera zachowuje dystans. Stara się jednak je zrozumieć i potrafi wydobyć to, co u Baumana było pod tym względem najważniejsze – jego wierność podstawowym wartościom lewicy, niezależnie od zmiennych losów formacji socjalistycznej i od osobistych losów myśliciela. Bauman, w odróżnieniu od wielu innych bardzo znanych ekskomunistów, nigdy nie odrzucił podstawowych wartości socjalistycznych ani przekonania, że lepszy świat jest możliwy. Najciekawsze jest jego stopniowe przechodzenie od „socjalistycznego realizmu" (w tej wersji, której obaj uczyliśmy się od Juliana Hochfelda) do socjalistycznej utopii, tak ważnej dla zrozumienia późnej fazy twórczości Baumana.

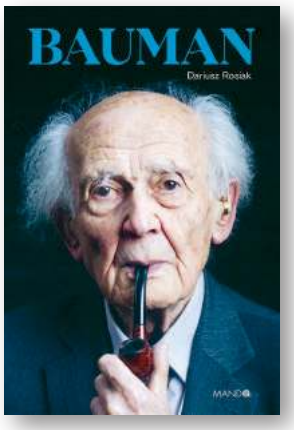

Tematem wybijającym się w tej biografii jest sprawa „żydowskiej tożsamości" uczonego. Bauman był i czuł się Polakiem. Można było odnieść do niego określenie użyte przez Tuwima: „my, Żydzi polscy". W tej formule zawarte jest przekonanie – tak obce wszelkiego rodzaju rasistom – że można być zarazem Żydem i Polakiem. Życie Baumana pokazało jednak, że na przeszkodzie takiej podwójnej tożsamości stoi antysemityzm sporej części otoczenia. Dzieciństwo uczonego naznaczone antysemickimi szykanami w Poznaniu, gdzie był jedynym żydowskim dzieckiem w klasie, potem wielka nadzieja na to, że powstała z popiołów straszliwej wojny Polska będzie ojczyzną dla wszystkich obywateli, niezależnie od ich etnicznego pochodzenia, następnie dramat antysemickiej kampanii z lat 1967-1968 i wymuszone opuszczenie Polski, wreszcie trudne zetknięcie z realiami politycznymi Izraela, gdzie Bauman stał się jednym z najodważniejszych (a przez to szczególnie źle widzianych) krytyków nacjonalistycznej polityki wobec podbitych w wyniku wojny sześciodniowej Palestyńczyków. To właśnie sprzeciw wobec polityki Izraela leżał u podstaw decyzji Baumana o opuszczeniu tego kraju po zaledwie trzyletnim pobycie i osiedleniu się w Leeds, gdzie stworzył bardzo ciekawy ośrodek socjologiczny. Analiza drogi życiowej Baumana przyczynia się do zrozumienia problemu nie tylko antysemityzmu, ale również – szerzej – wszelkiego nacjonalizmu we współczesnym świecie. Wobec odradzania się jawnego (i tolerowanego przez obecne władze) antysemityzmu w Polsce ten aspekt książki nabiera szczególnego znaczenia.

Autor biografii poważnie podszedł do kampanii nienawiści, której ofiarą padł Bauman w ostatnich latach życia. Kampania ta wpisuje się w retorykę „dekomunizacji" i stanowi przykład tego, jak jednostronne i pozbawione zrozumienia realiów historycznych podejście do historii karmi się fanatyzmem. Zaciekli „dekomunizatorzy" zarzucają Baumanowi przede wszystkim to, że jako oficer Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (do którego po zakończeniu działań wojennych przeniesiona została jego dywizja) brał udział w walkach z antykomunistycznym podziemiem. Dariusz Rosiak w tej sprawie odwołuje się do mojej wypowiedzi, w której zwracałem uwagę na to, że w realiach powojennych jedyną realną alternatywą było albo ustabilizowanie nowej władzy, albo wchłonięcie Polski przez stalinowski ZSRR, jak to się stało z republikami bałtyckimi. Przywołując bez komentarza tę ocenę, Rosiak wyraźnie odcina się od tych, którzy, gloryfikując „żołnierzy wyklętych", mają dla ich ówczesnych przeciwników jedynie słowa bezwarunkowego potępienia. Wstyd mi za władze Uniwersytetu Warszawskiego, które właśnie z powodów politycznych odmówiły odnowienia Baumanowi doktoratu. Złośliwie dodam, że ówczesna rektor będzie po latach pamiętana głównie z powodu tej haniebnej decyzji.

Analiza drogi życiowej Baumana przyczynia się do zrozumienia problemu nie tylko antysemityzmu, ale i wszelkiego nacjonalizmu.

Sporo miejsca poświęca Rosiak stosunkowi Baumana do chrześci-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4601838bb1

jaństwa i sposobowi, w jaki jego twórczość widzieli dwaj ostatni papieże. Benedykt XVI życzliwie cytował Baumana, a Franciszek przyjął go na poważnej rozmowie. Bauman był człowiekiem niewierzącym, ale dostrzegał etyczne znaczenie chrześcijaństwa jako religii miłości bliźniego. Był więc jednym z najważniejszych myślicieli budujących mosty zrozumienia ponad różnicami przekonań metafizycznych.

Najbardziej sporną sprawą w tej wartościowej książce jest ocena dorobku naukowego Baumana, zwłaszcza licznych prac powstałych po 1990 r. Rosiak przytacza tu bardzo krytyczne wypowiedzi kilku autorów, których zdaniem dorobek Baumana jest przeceniany. Warto jednak zauważyć, że nie są to – mówiąc delikatnie – uczeni z najwyższej półki. O pozycji Baumana w świecie naukowym muszą świadczyć liczne doktoraty honoris causa (miał ich ponad 20, więcej niż wszyscy polscy socjolodzy w całej historii tej dyscypliny) i najważniejsze światowe nagrody naukowe, a przede wszystkim światowy sukces głoszonych przez niego idei. Nie sadzę, by najważniejsze autorytety świata naukowego myliły się w swojej ocenie tego wielkiego myśliciela.

Bauman był człowiekiem niewierzącym, ale dostrzegał etyczne znaczenie chrześcijaństwa jako religii miłości bliźniego.

W sumie dobrze, że ta książka powstała. Wiem o innych przygotowywanych do druku pracach na temat Zygmunta Baumana. Dariusz Rosiak ma także tę zasługę, że jest pierwszy.

PS Mimo staranności autor nie uchronił się przed drobnymi błędami rzeczowymi. Andrzej Werblan był w młodości związany nie z PSL, lecz z PPS, a Julian Hochfeld nie był zastępcą członka Biura Politycznego, jedynie zastępcą członka Komitetu Centralnego PZPR.

Dariusz Rosiak, *Bauman*, Wydawnictwo WAM, Warszawa 2019

eprasa.pl 4601838bb1

Ludwik Stomma: w sercu zawsze maj

Ludwik Stomma, dobrze znany czytelnikom z łamów PRZEGLĄDU, zaprasza do lektury nowego zbioru swoich felietonów:

W 2000 r. Sens wraz z „Polityką" wydał moje felietony z ostatniego dziesięciolecia XX w. Tytuł zbioru brzmiał wtedy „Nalewka na czereśniach". Dzisiaj dzielę się z Państwem „Nalewką na piołunie". Bylica piołun znana jest z tego, że zawiera bardzo gorzkie substancje i wpływa na obfitsze wydzielanie żółci. Tak więc ten piołun nie przypadkiem. Oczywiście, postarzałem się od czereśniowych czasów. Ale przecież nie w tym rzecz. Bardziej chodzi o to, że ten świat jakby trochę parszywieje dokoła. Wobec coraz mniej możliwej do uniknięcia katastrofy ekologicznej, wobec odczłowieczenia przez komputery, wobec narastającego egoistycznego konsumpcjonizmu, hipokryzji, wojen i kłamstwa, wydawałoby się, że stać nas przynajmniej na szaleńczy i szampański karnawał. Niech żyje bal, drugi raz nie zaproszą nas wcale. Ale nic z tego. Patrzę na moich ostatnich studentów – w tym roku przechodzę na emeryturę – i łezka się w oku kręci. Zamiast wałęsać się po kawiarniach, których w Paryżu nie brakuje, przychodzą starannie i punktualnie na zajęcia. I oczy niepodbite ani senności po nocnych szaleństwach, których nie było. Pójść na dno „kak podwodnaja łodka" nie byłoby poprawne. Tylko awans i małe prywatne ojczyzny ich obchodzą. Może to dla nich i dobrze – nie zauważają, co dzieje się wokół.

Jak najdalszy jestem przy tym od ubolewania nad społeczeństwem i światem. W sercu zawsze maj. Kiedy jednak pisać przychodzi o tym, co się im proponuje, nie ma dużo miejsca na czereśnię. Dlatego też moje felietony zmieniły swój charakter. Wiem, że wielu to się nie podoba. Trudno, piszę to, co mi się wydaje w danej chwili istotne, i to się już zapewne nie zmieni. Dlatego oprócz kwękania jest tu także o moich ukochanych raniuszkach, a także np. o ludziach, którzy potworzyli sobie własne państwa z, a jakże, własnymi znaczkami pocztowymi, orderami, flagami, herbami i stanowiskami. Cóż za wspaniały pomysł! Dzisiaj jestem królem, a jutro mianuję się admirałem. Wydam taki zbiór praw, o jakim się Ziobrze nie śniło. W pierwszym paragrafie zapewnię sobie nieśmiertelność, co mi się w końcu należy. Jak pisał mój najukochańszy obok Cendrarsa i Chlebnikowa poeta Osip Mandelsztam: „Można tędy lub owędy, / Co tu kryć: / Wszystko brednie, sherry brandy, / Ma cherie! / Tak się wyśpię, jak pościelę, / Albo nie – Mój aniele, żłop cocktaile, / Smak na dnie". Tenże Mandelsztam pisał także: „Dawno już, panie Sercowicz, / Wszystko skołował śnieg... / Dałbyś pan spokój, Scherzowicz. / Takie jest życie, nie?".

I tak to jest właśnie. I o tym ta nowa nalewka.

Ludwik Stomma, *Nalewka na piołunie*, Sens, Poznań 2019

eprasa.pl 4601838bb1

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zabójcza miłość

Chciałabym zgłosić uporczywe nękanie. Nie jestem przewrażliwiona, znosiłam to przez wiele lat, ale ostatnio sytuacja wymknęła się spod kontroli. To już przestało być uciążliwe, a zaczęło być niebezpieczne. Owszem, od kiedy sięgam pamięcią, miałam powodzenie, przywykłam do rojnych adoratorów, mogłam w nich przebierać jak w ulęgałkach. Dżentelmeni czule wyznawali mi miłość, morowi chłopcy wypisywali oświadczyny na murach, zresztą płeć tu nie miała znaczenia, paniom też się podobam. Czasem mi to schlebiało, nie powiem, zwłaszcza kiedy było ze mną kiepsko; w biedzie dobrego słowa nigdy dosyć. Tylko że ostatnio to jest jakaś epidemia. Najgorsza ta niedyskrecja – miło jest być adorowaną, ale kiedy czytasz o tym w gazetach, słyszysz w radiu i telewizji, a nawet trąbią o tym księża z ambon, masz prawo czuć się osaczona.

Ja mam wrażliwy słuch, jestem dość muzykalna, więc po prostu nie lubię, jak się krzyczy, a oni, ci moi miłośnicy, bo jest ich już masa cała, wrzeszczą do mnie o tej swojej miłości, jakbym była głucha. Wiem, to są zakompleksieni chłopcy, oni muszą się wzmacniać zwielokrotnieniem – jakby było ich widać, dopiero kiedy się ciągną na kilometr, i słychać, tylko gdy się wydrą na kilkadziesiąt tysięcy gardeł, zdetonują setki petard i zadymią miasto. Myślę sobie, że oni nie mnie kochają, tylko swoją miłość do mnie. Jeszcze mnie nazywają wielką i białą, no, to jest chyba co najmniej nieeleganckie. Może filigranowa nie jestem, ale figurę mam kształtną, od listopada do marca słońca mi brakuje, ale bladej karnacji nigdy nie miałam. I ta presja religijna – mam być katolicka albo wcale mnie nie będzie. To ma być wyznanie miłości czy pogróżka?

Najbardziej się piekłą na islam, może dlatego, że różnica najtrudniej dostrzegalna. Kobieta ma siedzieć w domu, najlepiej w kuchni, a zdrajcom śmierć. Toż to jakiś kompleks Otella – ciągle tylko chcą mnie chronić przed zdradą i zabijać wrogów, których upatrują w moich przyjaciołach. A ja chciałabym prosić o ochronę, ale nie ich, tylko przed nimi. Z obcymi hetero przyjaźnić się nie mogę, to pomyślałam, że o gejów nie będą zazdrośni, ale tu jest jeszcze gorzej. Jak słońce wychodzi po ulewie, zamykają oczy z obrzydzenia, żeby tęczy nie zobaczyć. No a nawet jak się dam w tej kuchni zamknąć, to będą niezadowoleni. Bo podam np. zupę z soczewicy. A jak nie zjedzą mięsa, to są głodni. Twierdzą, że to sprawa krwi i genów. Wegetarianizm to jakaś obca naleciałość. Prawdziwy Polak jest wojownikiem, mięsożercą, nawet owoców morza nie toleruje, ośmiorniczkami się brzydzi, widzi w nich wielkie ugotowane pająki. Kto nie szanuje polskiego dorsza i flądry polskiej, ten polskiego morza nie szanuje! Mięczaki, które się żywią zielskiem i robactwem morskim, to są na pewno jacyś potomkowie uchodźców.

Czyli dom otwarty to nie z nimi, żadnych obcych nie wpuszczać do domu, okna pozamykać, żeby nie wleźli, jak się im drzwiami trzaśnie przed nosem. Upodobania kulturalne też mają specyficzne, właściwie dla nich i sztuka musi być mięsna, sztuka to mięso, sztuka mięsa. Najbardziej lubią koninę: Kossaki, Michałowski, choć kasztanka Naczelnika z warsztatów amatorskich też może być, ewentualnie Matejko, wielkie sceny historyczne. Przepraszam, ale już mówiłam, że lubię ciszę, dla mnie takie batalistyczne malarstwo nazbyt zgiełkliwe. No ale mają swojego ministra dziewictwa narodowego i kultury psychofizycznej, już on wie, jaką kulturę mam spożywać, żeby się nie znarowić.

Zamiast zapytać, co mogą dla mnie zrobić, chcą wiedzieć, kogo mają dla mnie pobić. Być może ludzkość wariuje, kiedy czuje, że tylko wojna może jej dać kolejne dekady pokoju. Może taki już jest rytm natury i nic na to nie poradzimy – kiedy się robi za tłoczno, nadchodzi wojna i trzebi zasoby ludzkie. Ale ja wolę miłość pokojową od frontowej, a oni mi tę radość z pokoju odbierają, pieprząc nieustannie o tym, jak będą mnie kochać pod ostrzałem. Czasem sobie myślę, że gotowi wojnę wywołać, żeby móc okazać miłość. Jak tak lezą niczym pleń z tą miłością na sztandarach, jak tak z przytupem mnie kochają w nieprzebytym gąszczu nóg, to się czuję podeptana. Nie liczą na wzajemność i zrozumienie, nie chcą dyskutować, tylko maszerować – w końcu jest święto niepodległości, to nie podlega dyskusji. Czołem! W nos wroga! Od kiedy zbrunatnieli, wiedzą, że mają rację, nawet kiedy się mylą. Proszę zrozumieć, ja się po prostu boję o swoje życie, to już zaszło za daleko. Wiem, przegapiłam stosowny moment, żeby im powiedzieć, że ich nie kocham. Dlatego zwracam się o pomoc. Proszę mnie mieć w swej opiece.

Zamiast zapytać, co mogą dla mnie zrobić, chcą wiedzieć, kogo mają dla mnie pobić.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4601838bb1

Chris Ferrie, Cara Florance
Chemia organiczna dla maluchów, Fizyka kwantowa dla maluchów, Teoria względności dla maluchów
Media Rodzina
Proste wyjaśnienia trudnych zagadnień dla przyszłego geniusza! Najmłodsi – i nie tylko oni – dowiedzą się wszystkiego o czarnych dziurach czy falach grawitacyjnych i że świat atomów nigdy nie zamiera w bezruchu.

Marta Altés
Jeszcze pięć minut
Tako
Oto dzień z życia lisiej rodziny. Zabiegany tata załatwia mnóstwo spraw, a dzieci podążają w ślad za nim, robiąc to, co chcą, bez względu na pośpiech. Pełna delikatnego humoru historia tym, jak ważny jest czas spędzany w rodzinnym gronie.

Rękawiczka. Ukraińska bajka ludowa
Dwie Siostry
Zgubiliście kiedyś rękawiczkę? Zastanawialiście się, co potem z nią się stało? A jeśli ktoś w niej zamieszkał? Może żabka, zając albo lis? A może wszyscy razem? Tradycyjna ukraińska bajka o tym, że jeśli się chce, to miejsca starcza dla wszystkich.

Anita Głowińska
Kicia Kocia i Nunuś. Gdzie jest moja walizka?
Kicia Kocia na lotnisku
Media Rodzina
Kicia Kocia i Nunuś pierwszy raz będą lecieć samolotem! Tylko gdzie jest walizka? Żeby ją znaleźć, trzeba otworzyć aż 50 okienek! To nie koniec podróży, bo Kicia Kocia leci z rodzicami do Warszawy. Tata tłumaczy, co będzie się działo, zanim wejdą do samolotu.

Zofia Stanecka, Marianna Oklejak
Basia do słuchania
Egmont.pl
Basia to współczesna przyjaciółka przedszkolaków. Uważa, że wspólne słuchanie książek jest super. Podobnie jak czytanie, a jeśli można robić jedno i drugie, to jest pełnia szczęścia! Książka z audiobookiem.

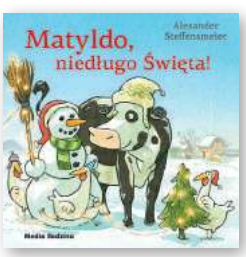

Alexander Steffensmeier
Matyldo, niedługo Święta!
Media Rodzina
Krowa Matylda nie może się doczekać Bożego Narodzenia. Gospodyni przygotowała dla niej kalendarz adwentowy. W domu unosi się zapach ciasteczek, szykowane są ostatnie prezenty. Kartonowa książeczka dla młodszych dzieci.

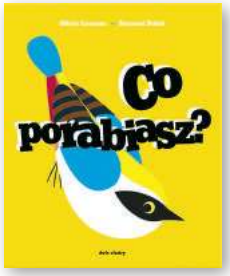

Olivia Cosneau, Bernard Duisit
Co porabiasz?
Dwie Siostry
Pomysłowa i efektowna niespodzianka dla maluchów. Co porabiają flamingi? Jak to co, tańczą! A dzięcioł? Stukpuka! A pelikan, sowa i maskonur? Przekonajcie się sami! Ciągnijcie za łapki, by wprawić ptaki w ruch!

Élisa Géhin, Bernard Duisit
Co to za smutna mina?
Dwie Siostry
Głowa do góry! Dość fochów i marszczenia czoła! Z tą książką zaraz poprawi ci się humor! Jak zmienić smutny grymas w uśmiech i zrobić najśmieszniejszą minę? Przekonajcie się! Otwierajcie klapki i ciągnijcie za łapki, by rozruszać buzie bohaterów – i swoją własną.

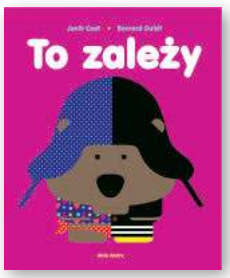

Janik Coat, Bernard Duisit
To zależy
Dwie Siostry
W co się ubrać? To zależy. Od czego? Czasem od pogody, czasem od nastroju, a czasem od tego, dokąd się wybierasz. Sprawdźcie, co sądzą na ten temat sympatyczne zwierzaki – bohaterowie tej książki.

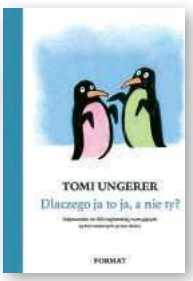

Tomi Ungerer
Dlaczego ja to ja, a nie ty?
Wydawnictwo Format
Odpowiedzi na 100 najbardziej nurtujących pytań zadanych przez dzieci. Dzięki tej książce czytelnicy ochoczo oddają się refleksji – niezależnie od tego, czy są dziećmi, czy już zdążyli dorosnąć.

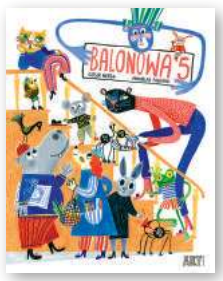

Gosia Herba, Mikołaj Pasiński
ART. Balonowa 5
Egmont.pl
Gdzie słynny raper Myszka zostawił kapelusz? Czyją rzeźbę z marmuru rzeźbi utalentowany Pies? Balonowa 5 zaprasza przedszkolaki na sąsiedzką wizytę do radosnej kamienicy pełnej życzliwych mieszkańców.

Boguś Janiszewski, Max Skorwider
Mury
Albus
Prosty tekst, nie poucza, tylko razem z czytelnikiem poszukuje odpowiedzi. Na każdej stronie znajdziemy mur, który jest łamigłówką dla dociekliwych. Dziecko zobaczy potwora z Loch Ness lub superbohaterów z komiksów Marvela, a dorosły – fragmenty murali Banksy'ego lub postać z powieści Orwella.

eprasa.pl 4601838bb1

Aleksandra i Daniel Mizielińscy
Którędy do Yellowstone?
Dzika podróż po parkach narodowych
Dwie Siostry

Poznajcie nieśmiałego żubra Kubę i przebojową wiewiórkę Ulę z Puszczy Białowieskiej. Właśnie wybierają się w podróż przez parki narodowe w wielkim albumie komiksowym dostarczającym wiedzy o dzikiej przyrodzie.

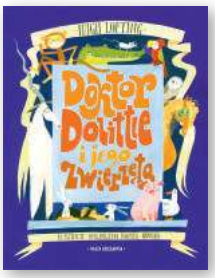

Hugh Lofting
Doktor Dolittle i jego zwierzęta
Nasza Księgarnia

Jan Dolittle, wielki uczony i przyjaciel zwierząt, porzuca praktykę lekarską i z prosięciem Geb-Geb, małpką Czi-Czi, psem Jipem, kaczką Dab-Dab i sową Tu-Tu wyrusza do Afryki, by pomóc chorym małpkom.

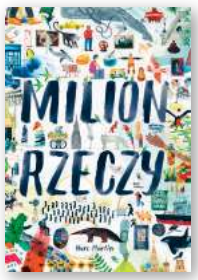

Marc Martin
Milion rzeczy
Dwie Siostry

Wyluzowane leniwce, kolorowe krowy, prastare piramidy, katastrofalne korki… Od Hongkongu po Amazonię i od Ułan Bator po Antarktydę – wybierz się na wyprawę dookoła świata, by się przekonać, że każdy jego zakątek to wyjątkowe miejsce.

Zdeněk Svěrák
Tato, ta ci się udała
Dwie Siostry

Pewnego dnia mama Petrzika i Petruszki powiedziała: „Nie gniewaj się, tato, ale ja też chodzę do pracy, a oprócz tego piorę, prasuję, szyję, gotuję, zmywam… i tak sobie myślę, że mógłbyś przejąć ode mnie opowiadanie bajek na dobranoc". Ale czy tata, który urodził się w najbardziej prozaicznej dzielnicy Pragi, wymyśli dobrą bajkę? Dowcipna opowieść mistrza czeskiego humoru.

Sherri Duskey Rinker
Wieczór gwiazdkowy na placu budowy
Nasza Księgarnia

Nim na niebie zabłyśnie pierwsza gwiazdka i zapadnie noc wigilijna, budowlańcy na kółkach muszą przygotować pewną niespodziankę. To będzie prezent pod choinkę, z którego ucieszy się… sami sprawdźcie kto! Świąteczna kołysanka utuli do snu małego kierownika i kierowniczkę budowy.

Klaus Hagerup
O dziewczynce, która chciała ocalić książki
Czarna Owca

Wiesz, co się dzieje z książkami, których nikt nie wypożycza z biblioteki? Anna już wie. Znikają! Ale co dzieje się z wszystkimi, którzy w tych książkach mieszkają? Też znikną? Anna nie może do tego dopuścić! Postanawia ocalić zapomniane książki. Tylko jak?

Camilla Läckberg
Super-Charlie i złodziej zabawek
Czarna Owca

Poznaj chłopca o supermocach i jego zwariowaną rodzinę. Pewnej nocy wszystkich budzi głośny płacz siostry. Jej ukochana pluszowa zabawka zniknęła. Rozpoczynają się poszukiwania, a Charlie tropi złodzieja.

Shannon Hale, LeUyen Pham
Najlepsze przyjaciółki
Jaguar

Najlepsza przyjaciółka Sary przewodzi gromadzie dziewczyn znanych jako Grupa. Sara nie pojmuje, dlaczego te, a nie inne seriale w TV trzeba znać, jakich piosenek należy słuchać i z kim rozmawiać, a kogo unikać. Książka o cenie, jaką płaci się za bycie popularnym.

Nancy Springer
Enola Holmes:
Sprawa leworęcznej lady
Sprawa złowieszczych bukietów
Poradnia K

Nastolatka detektyw na rowerze przemierza ulice Londynu w poszukiwaniu matki i nowych spraw do rozwiązania. Nocami pomaga biedakom, w dzień ukrywa się przed braćmi i tropi złoczyńców i krętaczy. Nowe przygody w drugim i trzecim tomie.

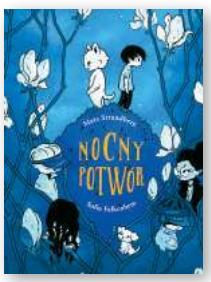

Mats Strandberg, Sofia Falkenhem
Nocny potwór
Czarna Owca

Frank boi się ciemności, bo gdy śpi, może się pojawić jakiś potwór i odgryźć mu rękę lub nogę. Oj, gdyby tylko wiedział, że sam wkrótce stanie się potworem! Historia o poszukiwaniu swojego ja i o tym, by odważyć się być innym.

Bolesław Ludwiczak
Mam przyjaciela, który obsługuje samoloty
Media Rodzina

Piotr jest koordynatorem obsługi naziemnej, z kolegami i koleżankami przygotowuje samolot do rejsu i czuwa nad odprawą pasażerską, transportem pasażerów i przesyłek lotniczych, załadunkiem bagaży i tankowaniem paliwa. Dziś opowie nam o swojej pracy.

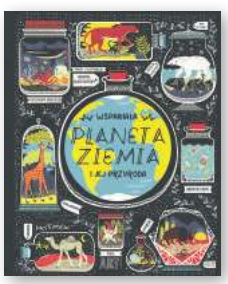

Rachel Ignotofsky
ART. Wspaniała planeta Ziemia i jej przyroda
Egmont.pl

Czy można znaleźć życie w kropli wody? Jakie stworzenia żyją na pustyni, a jakie na dnie oceanu? Na te i wiele innych pytań mali zdobywcy wiedzy znajdą odpowiedzi w tej książce. Ilustrowany przewodnik po niezwykłych zakątkach.

eprasa.pl 4601838bb1

Jørn Lier Horst, Hans Jørgen Sandnes
Operacja Wrak
Media Rodzina

Silny sztorm wyrzucił na plażę w Elvestad mnóstwo śmieci i innych przedmiotów. Mali detektywi, Tiril i Oliver, znajdują wśród nich coś, co naprowadza ich na trop ekologicznego skandalu. Okazuje się też, że na dnie morza leży wrak statku pełen złotych monet...

Małgorzata Warda
Sylwia i Planeta Trzech Słońc
Media Rodzina

Sylwia nie może się doczekać 11. urodzin, bo tata obiecał stworzyć dla niej grę komputerową, w której to ona będzie główną bohaterką. Pełna przygód gra opowiada o równoległym świecie, gdzie można otrzymać dar widzenia w ciemności, oswoić skrzydlatego kojota i spotkać cieniste istoty.

Dorota Sumińska
Skąd przyszedł pies?
Wydawnictwo Literackie

„To opowieść o długiej drodze, jaką przeszedł wilk, by stać się psem", pisze Dorota Sumińska i opowiada o nie zawsze miłych przygodach, które przeżywali pies i człowiek. Trzeba je poznać, by zrozumieć psa i stać się jego najlepszym przyjacielem.

Rachel Williams
Gabinet zoologii
Dwie Siostry

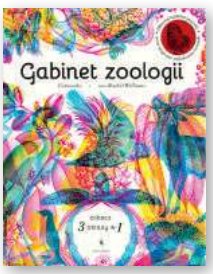

Przyroda nie śpi! Poznaj zwierzęta aktywne o różnych porach i ich sposoby na przetrwanie w różnych środowiskach. Album o zwierzętach dziennych i nocnych z dziesięciu fascynujących miejsc. Spójrz przez kolorowe soczewki, aby odkryć ich sekrety!

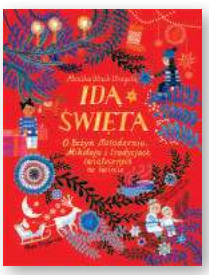

Monika Utnik-Strugała
Idą święta
Nasza Księgarnia

Znajdziecie tu odpowiedzi na pytania, dlaczego Boże Narodzenie obchodzimy 25 grudnia, dlaczego organizuje się jarmarki, czy wszystkie dzieci dostają prezenty tego samego dnia i dlaczego ubieramy choinkę. O Bożym Narodzeniu, Mikołaju i tradycjach świątecznych na świecie.

Małgorzata Strękowska-Zaremba
Lilana
Nasza Księgarnia

Wracając z wakacji, rodzice Natalii nagle gubią drogę i trafiają do osady, o której zapomniał świat. W Lilanie życie płynie inaczej – jak w tajemniczym ogrodzie. Pewnie dlatego mama, tata, Natalia, a nawet mały Kajtek czują, że tylko tu mogą być szczęśliwi. Zatopiona w zieleni osada ma jednak wiele sekretów.

Beata Ostrowicka
Szczygły
Nasza Księgarnia

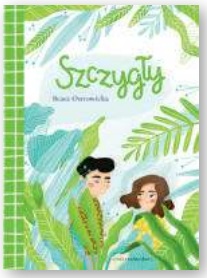

W okolicy, gdzie mieszka Zojka, często kręci się bezdomny piesek, którego dziewczyna dokarmia. Robi to także ponury Igor. Zoja i Igor nie znają się dobrze, ale ich drogi się krzyżują. Choć tego nie wiedzą, wiele ich łączy. Pewnego dnia z przytuliska dla zwierząt, w którym oboje pomagają, ktoś kradnie szczygły…

Maja Lunde
Śnieżna siostra
Wydawnictwo Literackie

Pięknie ilustrowana wigilijna opowieść, która zostanie z wami na długo! O smutku, współczuciu, stracie, rodzinie, szczęściu, przyjaźni, miłości i magii Bożego Narodzenia.

Frances Hardinge
Czara Cieni
Czarna Owca

12-letnia Zgódka umie się bronić przed duchami, jednak raz traci czujność i w jej ciele schronienie znajduje inna dusza. Duch jest silny, dziki i brutalny, ale może być jej jedyną ochroną, gdy dziewczynka zostaje wysłana pod opiekę bogatej rodziny ojca.

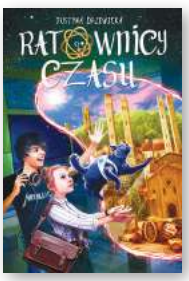

Justyna Drzewicka
Ratownicy czasu
Jaguar

Humor i subtelnie podana wiedza w opowieści o podróży w czasie do Bolonii XV w. Dwójka współczesnych nastolatków spotyka młodego Mikołaja Kopernika! W książce znajdują się komiksowe, humorystyczne ilustracje Jędrzeja Łanieckiego oraz mnóstwo ciekawostek i zaskakujących faktów z życia astronoma.

Marcin Kalita
Krzysztof Piątek. Gole, które cieszą
Egmont.pl

Książka o chłopcu, który marzył, by zostać wielkim piłkarzem i grać w jednej drużynie ze swoim największym idolem Robertem Lewandowskim. Dziś już wiemy, że Piątkowi udało się wspiąć na szczyt. Gra w reprezentacji Polski, a jego „pistolety" znają wszyscy kibice.

Anna Czerwińska-Rydel
Zdobyć Koronę. Opowieść o Jerzym Kukuczce. Audiobook
Buka

Posłuchaj ósmej części serii „Mistrzowie Wyobraźni", opowieści o jednym z najwybitniejszych himalaistów XX w. Audiobook zawiera 3 CD i książeczkę o górach, wspinaczce i słynnych alpinistach. Czyta Andrzej Chyra, muzyka Paweł Mykietyn. Do rodzinnego słuchania.

eprasa.pl 4601838bb1

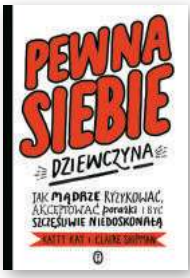

Katty Kay, Claire Shipman
Pewna siebie dziewczyna
Wydawnictwo Literackie

Must-have każdej dziewczyny podpowiada, jak mądrze ryzykować, akceptować porażki i być szczęśliwie niedoskonałą. „Wiara w siebie jest tym czymś, co pomaga ci dokonywać rzeczy, które wydają się trudne, przerażające albo niemożliwe", piszą autorki poradnika.

Alice Broadway
Tusz
We need YA

Leora jest przekonana, że jej zmarły ojciec powinien zostać zapamiętany na zawsze. Wie, że zasługuje on, aby wszystkie tatuaże zostały przekształcone w księgę skóry. Jednak kiedy odkrywa, że jego tusz zmieniono, a księga jest niekompletna, zaczyna się zastanawiać, czy go znała. Nic nie jest takie, jakie się wydawało.

Claudia Pietschmann
Chmura
Media Rodzina

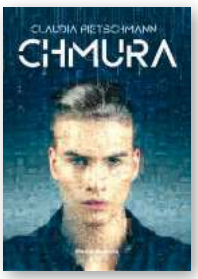

Nikt nie rozumie Emmy tak dobrze jak Paul poznany *online*. Choć jeszcze nigdy nie spotkali się w realu, w sieci dzielą się tajemnicami. Chłopak ma dla dziewczyny mnóstwo niespodzianek. Problem w tym, że każda najmniejsza przysługa zaczyna niebezpiecznie przypominać osaczanie...

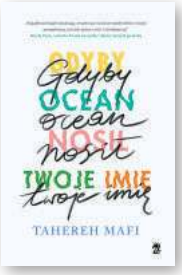

Tahereh Mafi
Gdyby ocean nosił twoje imię
We need YA

Bycie inną nie musi oznaczać bycia gorszą. Ale świat nie jest idealny i Shirin naprawdę nie ma łatwego życia. Z każdym dniem bardziej zamyka się w sobie i coraz silniej oddaje muzyce. Czy Ocean James zmieni jej życie?

Kimberly McCreight
Kolizja
Czarna Owca

Niezwykli Outliersi powracają. Wylie uwolniła się z ośrodka zamkniętego. Jednak to nie oznacza, że niebezpieczeństwo już jej nie grozi. Wkrótce zaczyna odkopywać dawne tajemnice i coraz głębiej zapuszcza się w wielki spisek.

Aleksandra Polak
Król Kier
We need YA

Alicja, uczennica ostatniej klasy liceum, do tej pory wiodła wręcz nudne życie. Jednak przewrotny los i seria nieprzewidzianych zdarzeń rzucają ją na głęboką wodę magii i miłości. Kiedy poznaje Hadriana z Circus Lumos, wie, że nic nie będzie takie jak dawniej.

Marah Woolf
Iskra bogów. Nie kochaj mnie
Media Rodzina

Nastoletnia Jess na górskim obozie spotyka Caydena, nie wiedząc, że to... tytan Prometeusz, któremu Zeus w każdym stuleciu pozwala stanąć do walki o śmiertelność. Czy Cayden odniesie zwycięstwo? Zderzenie współczesności i mitologii, pierwszy tom trylogii o starciu bogów i tytanów na Ziemi.

Grzegorz Gajek
Strażnicy Starego Lasu, t. 1. Biała wieża
Jaguar

Kiedy na Stary Las spada przeklęta mgła, pod wpływem której umierają rośliny, a zwierzęta chorują, strażnicy kniei obwiniają o to przybywających ze wschodu ludzi. Jeden tylko Lelek, młody samotnik, wierzy, że przyczyna leży gdzie indziej. Pierwszy tom trylogii *fantasy* opartej na bestiariuszu i wierzeniach słowiańskich.

Becky Albertalli i Adam Silvera
A jeśli to my
We need YA

Kiedy Arthur i Ben spotykają się na poczcie, nie wiedzą, co szykuje dla nich los. Być może nic – zostaną rozdzieleni. A może spotkają się ponownie? Co jeśli Arthur stara się za bardzo, a Ben wcale? Co jeśli życie to nie jest broadwayowski musical?

Michał Leśniewski
ART. Ale komputery!
Megabajtowe historie cyfrowe
Egmont.pl

Czym były pierwsze komputery? Jak wyglądało przejście od wielkich maszyn do zaawansowanych smartfonów mieszczących się w kieszeni? Odpowiedzi na te i wiele innych pytań znajdują się w książce!

Adam Faber
Miasto snów
We need YA

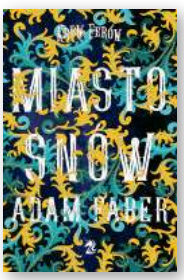

Nowa seria w uniwersum bestsellerowych „Kronik Jaaru". March Sky jeszcze nie ma pojęcia, kim tak naprawdę jest. Zwykłą dziewczyną z małego, szkockiego miasteczka, a może kimś więcej? Rówieśnicy jej nie oszczędzają, a matka skrywa tajemnice przeszłości, które nie mają ujrzeć światła dziennego.

Jean-Yves Ferri, Didier Conrad
Asteriks. Córka Wercyngetoryksa
Egmont.pl

Nocą do wioski Galów przybywa tajemnicza dziewczyna w towarzystwie dwóch wodzów Arwernów. Ich pojawienie się wzbudza poruszenie mieszkańców, Adrenalina bowiem to córka wielkiego wodza Galii – Wercyngetoryksa! Czy Asteriks i Obeliks dadzą sobie radę z pełną energii nastolatką?

Zebrała Agata Gogołkiewicz

eprasa.pl 4601838bb1

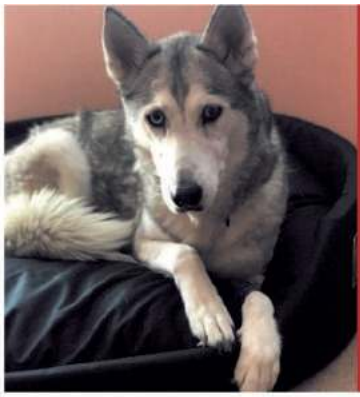

Wyślij SMS o treści JASIA

7412
koszt SMS 4,92 zł z VAT

7910
koszt SMS 11,07 zł z VAT

91950
koszt SMS 23,37 zł z VAT

i kup tapetę

„Mam na imię Jasia. Mam już blisko 10 lat.
Kiedyś byłam bezdomna, miesiącami koczowałam na działkach. Tam czasem dał ktoś resztki ze stołu, a czasem kijem po plecach... Chudłam, robiłam się coraz słabsza, dużo spałam pod krzakiem starego grabu, zagrzebana w stercie liści. I gdyby nie ludzie, którzy mnie wtedy przygarnęli, dziś nie czytalibyście mojej opowieści.

Mieszkam w dużym domu, tu jest moja rodzina. Dwoje tak dobrze znanych mi ludzi, kocham ich bardzo. W moim domu są też inne zwierzęta, które, tak samo jak ja, kiedyś były bezdomne, a dziś mogą wygrzewać stare kości na kanapie przy kominku, albo skryć się w sypialni na łóżku, pod gruba kołdrą. Co kto lubi.

Żyjemy ze sobą w zgodzie, bo każdy z nas ma już swoje lata i wiele w życiu przeszedł. Gdy starość to twoje drugie imię, nie w głowie są awantury. W moim domu mieszkają staruszki i psy chore. Odkąd znalazłam tu swoje miejsce na ziemi, byłam jednym z najzdrowszych tu zwierzaków. Byłam...

Dziś moje ciało toczy nieznana choroba. Przez kilka ostatnich dni źle się czułam, moja rodzina zawiozła mnie do lekarza. Okazało się, że mam ponad 40 stopni gorączki. Mam również silną anemię, problemy z nerkami, podwyższone enzymy trzustkowe i krytycznie niskie płytki krwi. Zrobili mi test płytkowy na choroby odkleszczowe, wyszedł negatywny. Lekarz zalecił dalszą pilną diagnostykę. Powiedzieli, że powinnam pilnie mieć zrobiony RTG z kontrastem, rozmaz krwi na obecność pasożytów, rezonans...

Tyle, że to moja kolejna choroba w ostatnim czasie (miałam niedawno skręt jelit i operację). Do tego jestem kolejnym chorym zwierzakiem i moja rodzina, choć stara się ze wszystkich sił zapewnić nam to co najlepsze, to czasem brakuje im po prostu pieniędzy.

Ja wiem, że są pieski w znacznie gorszym stanie, że są takie, co nie mają swojego domu. Ale bardzo Was proszę, dajcie i mi szansę, pomóżcie opłacić diagnostykę i leczenie. Tak bardzo źle się czuję, a tak bardzo chciałabym dalej żyć. Mam fantastyczny dom i cudowną rodzinę, brakuje mi jednak pieniędzy na leczenie. Błagam, pomóżcie mi wyzdrowieć. Jasia."

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem JASIA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

Wielka, świąteczna zbiórka ciuchów, książek i biżuterii oraz wszystkiego innego - dołączysz?

Tysiące ciuchów, butów, milion książek, dziesiątki stojaków i skrzyń z biżuterią, a także rękodzieła, galanteria, art deco, antyki, artykuły kolekcjonerskie, zabawki, rzeźba i obrazy, bibeloty, artykuły zoologiczne, kosmetyki i mnóstwo innych, już od 5 zł - a wszystko zebrane od osób prywatnych, firm i instytucji. Bo na Targach Dobroczynnych nie znajdziesz nic kupionego, choć mnóstwo rzeczy to rzeczy nowe. Idea Targów, czyli "zero waste", to nadawanie drugiego życia rzeczom już raz kupionym - w ramach tego projektu chronimy naszą Planetę poprzez recycling wszystkiego. Beneficjentami - dodatkowymi - są zwierzęta i dzieci.

1 grudnia w Krakowie, a 21 grudnia w Warszawie odbędą się kolejne już, tym razem świąteczne Targi Dobroczynne organizowane przez Fundację Centaurus. 100 % dochodu z Targów zasili dobre cele, czyli zwierzaki i dzieciaki. To największa tego typu impreza charytatywna w Polsce. Na ostatnich targach w Pałacu Kultury w Warszawie Centaurus zgromadził kilkanaście tysięcy osób. Zebrano ponad 120 000 złotych! I tysiące rzeczy znalazło nowy dom. Bo Centaurus zbiera rzeczy niepotrzebne, lub których mamy zbyt wiele, lub nietrafione prezenty, lub po prostu dane z dobroci serca - i na Targach wystawia je na 1000 m². Można wybrać sobie cokolwiek za wrzutę do puszki lub przekazanie darowizny przez terminal płatniczy, których jest kilka na całej imprezie. Kwoty darowizny są sugerowane na bilecikach, ale zasada jest taka, że każdy daje ile może i uważa. W ten sposób możemy też znaleźć oryginalny prezent, bo Targi zasilają Darczyńcy z całego świata.

Wstęp na Targi Dobroczynne Centaurus zrobił wolny od opłat, więc warto przyjść dla samego klimatu i poszperania sobie w rzeczach. Dodatkowo podczas imprezy gości zespół gitarowy na żywo i kuchnia wegańska w wykonaniu Happy Cakes. Czyli słono słodkie stoły - ale bez cukru i często bez glutenu, laktozy i jajek. To doskonała okazja, aby przekonać się, że zdrowe słodycze i wytrawna kuchnia mogą być wyśmienite i zaskakujące w smaku. Na miejscu nabyte przez nas rzeczy będą też pakowane przez działaczy Centaurusa od razu na prezenty.

Tak więc jeśli chcesz chronić środowisko i zmniejszyć konsumpcjonizm i ilość śmieci oraz wesprzeć jednocześnie zwierzęta i dzieci jak również spędzić w dobrym klimacie kilka godzin - ta impreza Centaurusa jest właśnie dla Ciebie.

1 grudnia, Kraków - 10.00-18.00
Stara Zajezdnia, ul. Wawrzyńca 12

21 grudnia, Warszawa - 10.00-20.00
Pałac Kultury, Sala Marmurowa

A jeśli chcesz wesprzeć ideę Centaurusa własną paczką, czyli wysłać ciuchy, buty, antyki, książki, hand made, pamiątki, bibeloty, wyposażenie kuchni i domu, kosmetyki, biżuterię oraz cokolwiek przyjdzie Ci do głowy - kieruj paczki na adres:

Fundacja Centaurus
Szczedrzykowice 10, 59-230 Prochowice

Więcej informacji www.targidobroczynne.pl
lub 518 569 487 (Karolina)

eprasa.pl 4601838bb1

Polaków nie widać

Donald Tusk żegna się z funkcją szefa Rady Europejskiej. Za kilka dni zastąpi go Belg, liberał Charles Michel.

Tusk się żegna, ale tak, by otworzyć nowy rozdział kariery – a niewątpliwie chciałby, żeby okazało się nim stanowisko szefa Europejskiej Partii Ludowej, czyli międzynarodówki partii chadeckich i ludowych. Głosowanie w tej sprawie odbędzie się na początku grudnia. Żeby zostać wybranym, Tusk musi zdobyć przychylność liderów różnych partii tworzących EPL. I walczy o nią – zwróćmy uwagę, jak jest aktywny, jeździ z wykładami, wydaje książkę. Opisuje w niej europejskie kryzysy z czasów jego kadencji: interwencję rosyjską na Ukrainie, kryzys grecki, brexit, kryzys imigracyjny. Wyjaśnia, dlaczego zachowywał się tak, a nie inaczej. To wszystko jest obliczone nie na Polskę, tylko na Europę. To rodzaj autopromocji.

A gdyby tak Tusk zdecydował się niebacznie na start w polskich wyborach prezydenckich? Co wówczas by mówił? Jak prezentowałby swoje pięć lat w Brukseli z punktu widzenia kraju?

Czy mówiłby to, co wszyscy – że miejsce Polski jest w oślej ławce? Że nikt nas nie słucha? Pewnie tak. Innymi słowy, nie wyszedłby poza banał.

A mógłby, bo Polska od lat ponosi inne straty. Regularnie jesteśmy pomijani przy rekrutacji na stanowiska nie tylko w Komisji Europejskiej, ale i w innych organizacjach międzynarodowych. Statystycznie jest gorzej niż w czasach PRL. Trudno to nawet nazwać regresem, to kompletny upadek i szorowanie po dnie.

We wrześniu w Sejmie mówiła o tym Dominika Krois, nominowana na stałego przedstawiciela RP przy Biurze Narodów Zjednoczonych i organizacji międzynarodowych w Wiedniu: „Jesteśmy członkiem założycielem ONZ. Zależy nam na tym, aby również w tych organizacjach, w każdej z nich, pracowali Polacy. Płacimy składki na te organizacje. To są bardzo poważne pieniądze i chcielibyśmy mieć również lepszy wpływ, większe znaczenie w danych organizacjach. Automatycznie pracownik danej organizacji jest związany z krajem pochodzenia i w pewnym sensie również zobowiązany do bardzo bezpośredniej współpracy. Tak że wspierałabym zatrudnienie Polaków we wszystkich tych organizacjach. Sytuacja obecnie jest dość kiepska. Są organizacje, w których w ogóle Polaków nie ma".

To nie są nowe opinie, mówi się o tym od lat. I przez te lata nie został zbudowany żaden mechanizm, który ułatwiałby polskim dyplomatom i urzędnikom karierę, na różnych poziomach, w strukturach UE czy ONZ. A za czasów PiS doszło wręcz do blokowania Polaków, którzy wygrywali różne konkursy i dostawali tam pracę. Tak było chociażby z Tomaszem Chłoniem, polskim dyplomatą, który wygrał wieloetapowy konkurs na stanowisko szefa Biura NATO w Moskwie. Po zwycięstwie pozostała tylko formalność – polskie MSZ musiało akredytować go w rosyjskiej stolicy. I Witold Waszczykowski, ówczesny szef resortu, odmówił.

Podobnych przypadków podstawiania nogi rodakom było za czasów PiS więcej. Teraz więc Polaków się omija, nie ma nas w kolejnych transzach ambasadorów unijnych, nie ma w innych instytucjach. Niby jest państwo, a jakby go nie było. I to jest najsmutniejsze podsumowanie ostatnich lat.

Attaché

Były prezydent Lech Wałęsa podczas wysłuchania w Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów USA. Dotyczyło ono m.in. sytuacji politycznej w Polsce i w regionie.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 4601838bb1

JOLKA

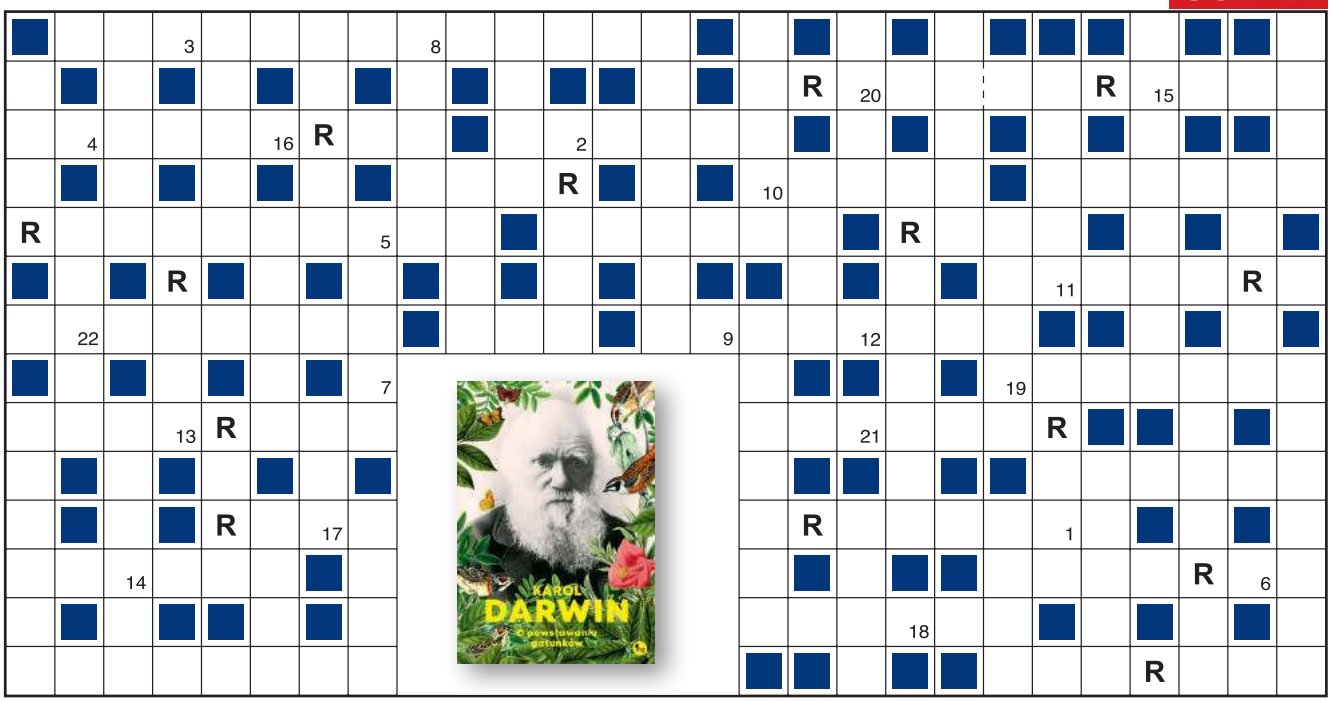

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- włókno syntetyczne zamiast wełny
- stan z miastem Mobile
- likier kminkowy z Łotwy rodem
- był nim Stasiek w piosence Grzesiuka
- Fersen, faworyt Marii Antoniny, lub Oxenstierna
- …Mniejsza oddzielona od Europy Bosforem i Dardanelami
- Atlas dźwigał na nich sklepienie niebieskie
- okrągły, błyszczący, kolorowy, z dziurką
- dla niektórych pracowników nienormowany
- unosi się z paleniska
- warzywo na zupę, karocę i lampion
- nimfa, która zakochała się w Narcyzie
- prefabrykowany lub przestępczy
- imię dowódcy Afrika Korps
- Marcela, Olsena albo słodziaków
- część łańcucha DNA
- porwał ją Parys
- na południu graniczy z Nevadą i Utah
- Światosławowicz z opery Borodina
- linia wokół niżu atmosferycznego
- z jego ikry czarny kawior
- nabijać ją to obławiać się
- pomieszczenie z koją
- ten taniec wywoływał oburzenie obrońców moralności
- ich przebojem „Dust in the Wind"
- wagonik wywrotka
- wyżyna w Górach Skalistych
- i twarz, i zewnętrzna powierzchnia
- obrzucanie inwektywami
- premier musi, więc go ujawnia, żona – nie
- gra karciana z królami bitnymi
- i wodór, i fosfor
- końskie – okolone chrapami
- kropka na kostce do gry
- czasem przechodzi koło nosa
- roślina z rzepami
- Chjeno…
- wędliny, sera lub cytryny
- siły, mody albo fajerwerków
- czynne lub bierne wyborcze
- kwietniowy dzień żartów
- kucki
- imię aktorki Gąsiorowskiej-Żurawskiej
- przewożona zbiornikowcem
- rozstęp, szczelina w skale
- bywa, że komuś zmiękła
- zatarg, polemika, konflikt
- Augiasza do oczyszczenia
- Wielka… – mityczne zwierzę
- zagadka wierszem
- dział zakładu odzieżowego
- auto z Indii
- ogół poruszanych zagadnień
- zbiór zwyczajów
- z niej Parys
- obrysowywane konturówką
- encyklopedyczna zwykle w życiu nieprzydatna
- połączenie kilku konkurencji lekkoatletycznych
- długa i wiotka gałązka
- Rosja, Prusy lub Austria w historii Polski
- …o wyborze na posła, senatora

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-935". Do rozlosowania książki Karola Darwina „O powstawaniu gatunków" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 listopada 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-932" z 3 listopada: *Myślenie rodzi pomysły.*
Nagrody otrzymują: Wiesława Grochowska z Warszawy, Grażyna Nowosielska z Wałbrzycha, Urszula Oponiczewska z Poznania.

eprasa.pl 4601838bb1

PENETRACJE

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

PROF. JERZY HAUSNER,
BYŁY WICEPREMIER

Jeśli ktoś ma interesujący pomysł, na który banki nie chcą dać pieniędzy, rząd może sprzyjać powstawaniu funduszy *venture capital* albo oferować jakiegoś rodzaju gwarancje kredytowe. Warto rozważać zastosowanie innych rozwiązań – np. przekazanie pałeczki samorządom, które dysponują wielkim majątkiem. One, na poziomie lokalnym, mogłyby wspierać społeczne eksperymenty, budując na bazie swojego majątku lokalne fundusze pożyczkowe lub gwarancyjne, wspomagając ubezpieczenia wzajemne.

DOGMATU

PIOTR SZUMLEWICZ,
PUBLICYSTA

Nie znoszę dumnych pseudointelektualistów, którzy analizują swoje prywatne problemy, nadając im status ogólności, nauczycieli dobrego życia we wspólnocie, którzy gardzą swoimi uboższymi sąsiadami. Nie znoszę tych, którzy korzystając z najnowszych wynalazków technicznych, w technice dostrzegają zagrożenie dla trwania cywilizacji i rzekomo podstawowych ludzkich wartości, a nie widzą problemu, że ich mętne dywagacje uzasadniają system, w którym grypa w połowie świata jest śmiertelną chorobą; którzy boleją nad klonowaniem i widzą w nim instrument niewolnictwa, a dążenie do stworzenia globalnych instytucji, które pozwoliłyby dystrybuować leki i chleb, uznają za niebezpieczną demagogię.

PLAYBOY

AGNIESZKA RADWAŃSKA,
TENISISTKA

Generalnie mój tata nigdy do spokojnych nie należał. I z biegiem czasu po prostu bardziej przeszkadzał na korcie, niż pomagał. Non stop dogadywał. Praktycznie co piłkę był jakiś tekst. Na początku tata wciskał mnie w przeróżne rzeczy i byłam z nimi kojarzona. Zwłaszcza kiedy zrobiło się o mnie głośniej. Uważam, że to był jego straszny błąd. Ja miałam grać w tenisa i to miał być tylko sport. A potem nagle było tyle szumu wokół rzeczy w ogóle ze sportem niezwiązanych. Mieszał politykę z tenisem, co nie powinno mieć miejsca. Absolutnie chciał kontrolować wszystko, o wszystkim decydować.

Twój STYL

ALEKSANDRA KONIECZNA,
AKTORKA

Przyjemnie jest, gdy mnie rozpoznają na ulicy albo w moim ulubionym bistro na Ząbkowskiej, na Pradze-Północ. Sześć lat temu osiedliłam się tu na stałe. Ujęła mnie autentyczność architektury i obrazki, których nie ma już nigdzie. Podwórko studnia, dzieciaki biegają na bosaka w brudnych portkach, krzesła wystawione, ludzie siedzą na słońcu – bo jest ciepło, bo jest wolne. Na Pradze więcej wypada, można pójść w piżamie po mleko. Zdarzało mi się. I ten luz mi dziś bardzo odpowiada.

Kiedy masz silne poczucie indywidualności… Rolf Buchholz, rekordzista świata w liczbie kolczyków. Konkretnie – 480 sztuk.

FOT. PAP/EPA

Aby język giętki…

MACIEJ STUHR O NAZWACH ULIC
Obstawiam, że za sto lat raczej będzie ulica Tokarczuk, a nie Glińskiego.

JAN KLATA O OBŁĘDZIE WŁADZY
Każe nam wybierać. Albo zaakceptujesz fałszywą polską mitologię, albo jesteś złym Polakiem.

ANJA RUBIK O PODRYWACH
Nigdy nie lubiłam, jak mężczyźni mnie podrywali. Chyba wypracowałam język ciała, który wysyła sygnał „Stop" zanim w ogóle na coś się odważą.

JERZY URBAN O SELFIE
Kiedy poruszam się po ulicach, młodzi ludzie robią sobie ze mną selfie. Pokazują kciuk w górę, a nie środkowy palec.

ANDRZEJ GRABOWSKI O JĘZYKU
Jedni i drudzy jadą po bandzie. Ale złe słowa, niezależnie jak są opakowane, zawsze pozostaną złymi słowami.

SONIA BOHOSIEWICZ O JANUSZU MAJEWSKIM
To mój teść, a moje dzieci Teodor i Leonard to jego wnuki.

PIOTR MACHALICA O SOBIE
Przez długi czas odbierany byłem jak misiu, a ja nie jestem, k… żaden misiu. Jestem krnąbrnym, nieposłusznym, kochającym ludzi i świat facetem.

KATARZYNA SKRZYNECKA O MĘŻU MARCINIE
Żartuje, że kobieta nie tyje, kobieta zwiększa swoją użytkową powierzchnię erotyczną.

RENATA PRZEMYK O EMOCJONALNOŚCI
Nadwrażliwość jest bardzo cenna w sztuce, w życiu bywa ogromnym balastem.

WOJCIECH BONOWICZ O PISANIU DZIENNIKA
Rewelacyjnych myśli mamy prawdopodobnie trzy, cztery na całe życie.

KINGA DĘBSKA O MILANÓWKU
Senne podwarszawskie miasteczko, wcale niemodne, ale pełne zieleni, starych drzew i domów, ludzi niespieszących się donikąd.

eprasa.pl 4601838bb1

Trumny wieko też ma być eko

Pod Paryżem powstał pierwszy cmentarz ekologiczny. Chowane będą na nim wyłącznie szczątki w trumnach i urnach biodegradowalnych, a więc wykonanych z tektury lub nieobrobionego drewna. Niedozwolone będzie chemiczne konserwowanie zwłok, np. balsamowanie, oraz ubieranie ich w odzież niewykonaną z włókien naturalnych. Co więcej, nagrobki zostaną zastąpione dyskretnymi drewnianymi znakami. Budowa ekocmentarzy to kolejna inicjatywa aglomeracji paryskiej na rzecz ograniczenia emisji dwutlenku węgla. Szacuje się, że tradycyjny pochówek generuje średnio 833 kg tego gazu cieplarnianego.

Śmierć nie zwalnia od dożywocia

Własną śmierć, ale bez pochówku, przeżył Benjamin Schreiber, odsiadujący dożywocie w jednym z amerykańskich więzień. Po tym jak zasłabł w celi w 2015 r. i był pięciokrotnie reanimowany, mężczyzna uznał, że technicznie rzecz biorąc, był przez chwilę martwy, wyrok zatem wypełnił. Jednak sąd apelacyjny właśnie orzekł, że Schreiber pozostanie za kratkami, dopóki lekarz sądowy nie stwierdzi, że jest na dobre martwy. Wcześniej sąd niższej instancji odrzucił wniosek mordercy, powołując się na fakt, że był on w stanie osobiście domagać się zwolnienia, co „samo w sobie potwierdza jego obecny status jako osoby żywej".

MEMY BEZ ŚCIEMY

Kolorowa niewdzięczność

Londyńscy strażacy spotkali się z nietypowym przejawem niewdzięczności. Do incydentu doszło podczas ratowania papugi o imieniu Jessie, która od trzech dni nie schodziła z jednego z dachów, co sugerowało jakąś kontuzję. Ratownik, poinstruowany przez specjalistów, zaczął akcję od powiedzenia ptakowi, że go kocha. W odpowiedzi, oprócz deklaracji odwzajemnienia uczuć, usłyszał, że ma się odp... Następnie ararauna zignorowała prośby o opuszczenie dachu wypowiadane po turecku i grecku, mimo znajomości tych języków. Po takim zaniżeniu poziomu ptak sfrunął na dół.

Gry – tak, wypaczenia – nie

Chiny kontynuują walkę z masowym uzależnieniem nastolatków od gier wideo. Kolejną bronią w tej wojnie są obostrzenia w dostępie do działających w kraju platform gier *online*. Zgodnie z nowymi przepisami gracze w wieku poniżej 18 lat nie będą mogli z nich korzystać w godz. 22.00-8.00. W dni powszednie nieletni będą mogli grać tylko przez 90 minut, a w weekendy i święta – dwa razy dłużej. Ograniczono również maksymalne miesięczne kwoty, jakie młodzież może przeznaczać na granie w sieci. W zeszłym roku Pekin zapowiedział zmniejszenie liczby nowych gier *online* w celu ograniczenia problemu krótkowzroczności u dzieci i młodzieży.

eprasa.pl 4601838bb1

Tancerze Saint Louis Ballet w niezwykłej sesji z psami. Zdjęcia tworzą książkę „Dancers & Dogs”, autorstwa Kelly Pratt i Iana Kreidicha.

Słodko i zaszczytnie… płacić za parkowanie

Jak co roku w listopadzie Uniwersytet Alaski w Anchorage zorganizował nietypową akcję na rzecz niezamożnych studentów. Każdy, kto zalegał z karnymi opłatami za nieprawidłowe parkowanie na terenie kampusu, mógł je spłacić w części lub w całości, przekazując potrzebującym studentom nieotwarte słoiki z masłem orzechowym, dżemem, marmoladą itp. I jak tu nie nazwać pomysłodawców całego przedsięwzięcia słodziakami?

Strach się bać

Przy okazji Halloween media przypomniały o prawdopodobnie najstraszniejszym amerykańskim domu strachów. Wizyta w McKamey Manor trwa osiem godzin, a wśród atrakcji są podtapianie, podduszanie, oblewanie sztuczną krwią, umieszczanie w zamrażarce, zmuszanie do jedzenia robaków oraz rzucanie o podłogę. Kolejka zainteresowanych tą osobliwą rozrywką, którzy muszą m.in. dostarczyć zaświadczenie o dobrym stanie zdrowia i podpisać 40-stronicowe zrzeczenie się roszczeń o odszkodowanie, przeważnie liczy ok. 20 tys. masochistów. Co ciekawe, odwiedziny w McKamey Manor są darmowe – właściciel zachęca jedynie do przekazania darowizny w postaci karmy dla psów.

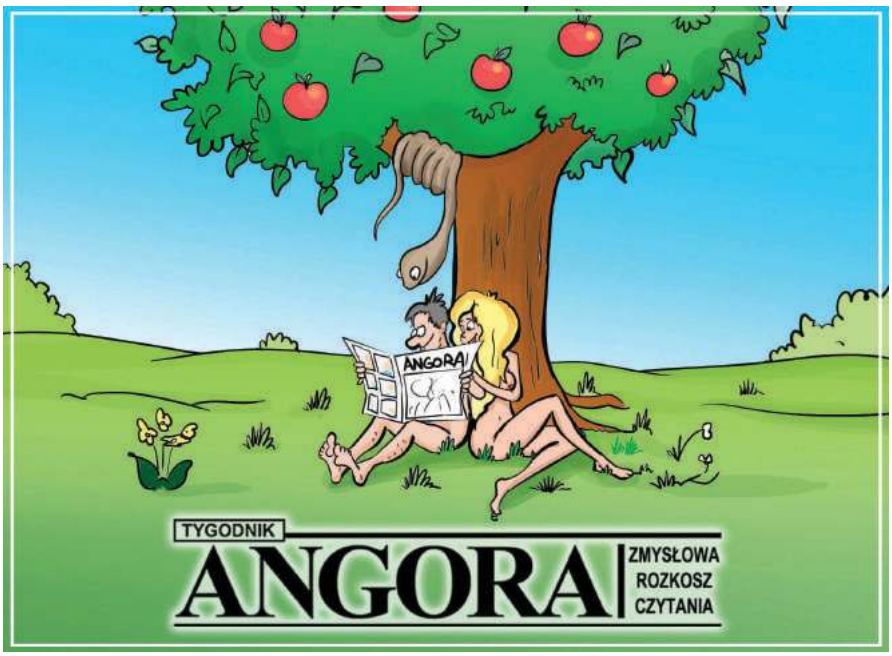

FOT. A-MEM (2), ANONIMOWY INTERNAUTA, EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 4601838bb1

Projekt okładki do książki C. Aveline'a „Dziwne przygody małego murzynka", 1961 r.

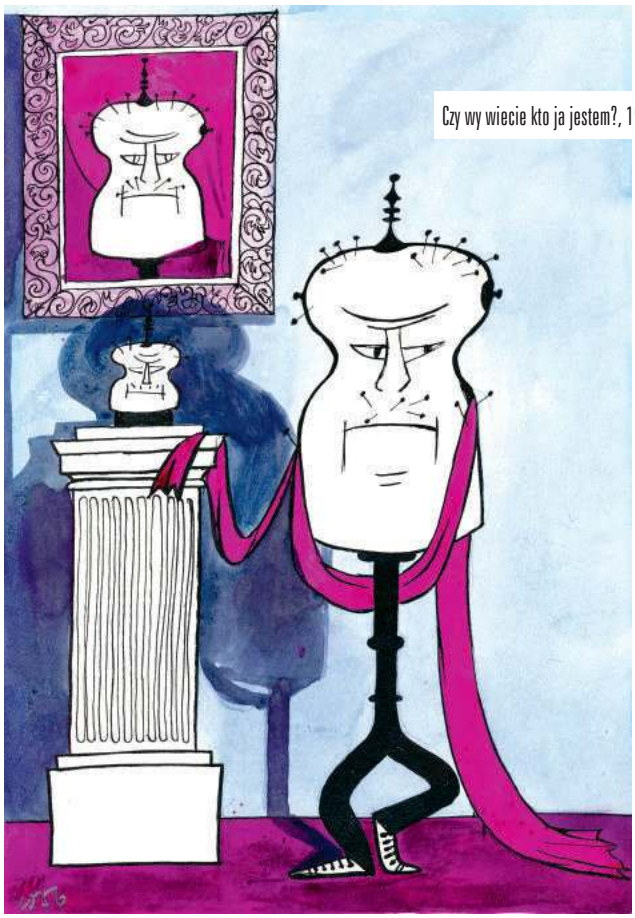

Czy wy wiecie kto ja jestem?, 1956 r.

Oczy są radarem mózgu

Ignacy Witz

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Kozia 11
Wernisaż 21 listopada, wystawę można oglądać do 22 marca

W 100. rocznicę urodzin Ignacego Witza Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego przypomina sylwetkę i twórczość artysty. Karykaturzysta, ilustrator, malarz, grafik, krytyk sztuki. Jako satyryczny rysownik prasowy zadebiutował pod koniec lat 30. w czasopismach lwowskich – „Kontrataku" i „Omnibusie", a jako karykaturzysta w latach 40. podjął współpracę ze „Szpilkami". Od powojnia do końca życia pracował jako ilustrator książek i autor opracowań graficznych dla takich wydawnictw jak Książka i Wiedza, Nasza Księgarnia czy Iskry. Był też krytykiem sztuki i recenzentem wystaw.

Projekt okładki do książki W. Gubariewa „Przygoda, jakiej nie było", 1962 r.

Projekt ilustracji do książki „Słoń Trąbalski" Juliana Tuwima, lata 50.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4601838bb1

NOSTALGICZNA OPOWIEŚĆ O WŁOSKIM POŁUDNIU

VALERIA BRUNI TEDESCHI
(„ZWARIOWAĆ ZE SZCZĘŚCIA")

MARCELLO FONTE
(„DOGMAN")

ASPROMONTE

MIEJSCE, GDZIE CZAS SIĘ ZATRZYMAŁ

W KINACH OD 22 LISTOPADA

ANICA

AURORA

TEATR CAPITOL

adaptacja i reżyseria
Olaf LUBASZENKO

autor
Derek BENFIELD

przekład
Emilia MILKOWSKA

AKT RÓWNOLEGŁY

PREMIERA LISTOPAD 2019

• KUP BILET TEATR CAPITOL 2019

www.teatrcapitol.pl •

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 4601838bb1